

Ksiegga Krwi III

BARKER CLIVE



calibre 0.9.27

CLIVE BARKER

Ksiega Krwi III
(SON OF CELLULOID)

KSIĘGA KRWI

Wszyscy jesteśmy księgami krwi, pod śnieżną bielą kart tętni krew gotowa wytrysnąć szkarłatną fontanną.

SYN CELULOIDU I. ZAPOWIEDŹ

Pomimo postrzału Barberio czuł się nieźle. Owszem, kiedy oddychał głęboko, czuł w piersiach ucisk, a rozwalone udo nie należało do najmiłszych widoków, ale nie raz już go dziurawiono i zawsze wychodził z tego z uśmiechem. Najważniejsze, że w końcu był wolny. Nikomu, przysiągł, nikomu nie da się znów zapuszkować; raczej się zabije niż da się raz jeszcze wsadzić do pudła. Jeżeli szczęście nie dopisze i nie będzie miał innego wyjścia, wpakuje sobie lufę w usta i pociągnie za spust. Nie ma mowy, nie zawłoką go już żywcem do celi.

Jeśli siedzi się w ciupie i odmierza życie sekundami, robi się ono zbyt długie. Zrozumienie tej lekcji zajęło mu zaledwie kilka miesięcy. Życie robi się długie, monotonne i ogłupiające, a jeśli nie jesteś dość silny, szybko dochodzisz do wniosku, że lepiej umrzeć niż żyć w tym pierdłu, do którego cię wpakowano. Lepiej w samym środku nocy zadyndać na pasku niż znosić brzemień kolejnych dwudziestu czterech godzin, kolejnych osiemdziesięciu tysięcy czterystu sekund.

Tak więc postawił na zrywkę.

Zaczął od kupienia na więziennym czarnym rynku spluwy. Kosztowała go wszystko, co posiadał, i jeszcze garść rewersów do splacenia na wolności, o ile zostanie przy życiu. Potem wykonał najklasycniejszy ruch: przeszedł przez mur. I ów bóg strzegący drobnych włamywaczy, kimkolwiek był, czuwał nad nim tej nocy, gdyż, do cholery, udało mu się przeleźć przez ten mur i zwiać, a nawet pies z kulawą nogą go nie zauważył.

A gliny? Począwszy od niedzieli pieprzyły wszystko równo i dokładnie, szukając go tam, gdzie nawet nie trafił; zatrzymując jego brata i bratową pod zarzutem ukrywania go, podczas gdy tamci nawet nie wiedzieli, że zwiął; wypuszczając list gończy z jego rysopisem z czasów przedwziętych, kiedy był o dobre dziesięć kilo grubszy niż obecnie. Wszystkiego tego dowiedział się od Geraldine, swej dziewczyny z dawnych lat, która opatrzyła mu nogę i obdarowała butelką southern comfort. Flaszka ta, nie, mai pusta, znajdowała się w jego kieszeni. Przyjął wtedy gorzałę i współczucie i udał się w drogę, ufając legendarnej głupocie prawa i bogu, który doprowadził go tak daleko.

Nazwał tego boga Sing-Singiem. Wyobrażał go sobie jako tłustego faceta z uśmiechem od ucha do ucha i pierwszorzędnym salami w jednej ręce, a filiżanką czarnej kawy w drugiej. Wierzył, że Sing-Sing pachnie dobrym żarciem jak dom za czasów, gdy mama miała jeszcze dobrze w głowie, a on był jej dumą i radością.

Na nieszczęście, kiedy jedyny sokolooki glina w całym mieście wypatrzył Barberia, leżącego w zaułku, i rozpoznał go na podstawie zdezaktualizowanego listu gończego, Sing-Sing spoglądał w inną stronę. Młody gliniarz, najwyżej dwudziestolatek, rwał się do tego, by zostać bohaterem. Był zbyt tępy, by pojąć lekcję, jaką niósł w sobie ostrzegawczy strzał Barberia. Zamiast się ukryć i dać opryszkowi szansę ucieczki, wymusił rozstrzygnięcie, idąc przez zaułek w jego kierunku.

Barberio nie miał wyboru. Strzelił.

Glina odpowiedział ogniem. Tu zapewne Sing-Sing się wtrącił i zmącił celność policjanta, gdyż kula, która miała trafić zbiega w serce, walnęła Barberia w nogę, natomiast jego pocisk, wiedziony boską mocą, wbił się prosto w nos gliniarza. Sokolooki runął tak nagle, jakby właśnie przypomniał sobie o randce z ziemią, a Barberio umknął klnąc, ranny i przerażony. Nigdy dotąd nie zastrzelił człowieka, a teraz zaczął od gliny. Niezłe wejście w fach.

Ale Sing-Sing nadal go chronił. Zraniona noga bolała, lecz zabiegi Geraldine powstrzymały krwawienie, trunek cudownie uśmierzył ból i oto w parę godzin później Barberio przekuśtykał już pół miasta, tak gęstego od mściwych glin jak Bal Policjanta. Teraz prosił swego opiekuna jedynie o miejsce, gdzie mógłby spokojnie wypocząć. Nie długo, tylko tyle, by złapać dech i zaplanować dalsze posunięcia. Godzina czy dwie drzemki też nie byłyby od rzeczy.

Problem w tym, że bolał go brzuch -- był to ostry ból, nasilający się z każdym dniem. Może odpocząwszy nieco, Barberio znalazłby telefon i zadzwonił do Geraldine prosząc, by nakłoniła słodkimi słówkami jakiegoś lekarza do obejrzenia go. Początkowo planował, że przed północą opuści miasto, lecz teraz ów wariant wydawał się mało prawdopodobny. Mimo zagrożenia zmuszony był spędzić tu gdzieś noc, a może nawet i większość następnego dnia, a próbę wydostania się z miasta podjąć dopiero wtedy, gdy nabierze trochę sił i wyjmą mu kulę z nogi.

Rany, ale ten brzuch nadawał! Barberio podejrzewał, że to wrzód, pamiątka po ohydnej breji, którą klawisze nazywali jedzeniem. Wielu facetów z więzienia miało problemy z brzuchem i dupą. Był jednak cholernie pewien, że po kilku dniach przy pizzy i piwie przejdzie mu to.

W słowniku Barberia nie istniało słowo "rak". Nie zaprzętał sobie głowy tą koszmarną chorobą, a z pewnością nie łączył jej ze sobą. To byłoby tak, jakby jakiś rzeźny wół, idąc pod nóż, zadreślał się wrastającym kopytem. Człowiek z jego branży, żyjący za pan brat ze śmiercią, nie oczekuje, że szejnie przez nowotwór złośliwy. Ale tym właśnie był ów ból.

Na tyłach kina "Movie Palace" była kiedyś restauracja, lecz przed trzema laty zniszczył ją ogień i nikt nawet nie uprzątnął pogorzeliska.

Nie nadawała się do odbudowania, toteż nikt zbytnio się nią nie interesował. W sąsiedztwie niegdyś bywało gwarno, ale to w latach sześćdziesiątych i wczesnych siedemdziesiątych. Przybytki rozrywki -- restauracje, bary i kina -- miały wtedy swój złoty okres, który trwał przeszło dekadę. Potem doszło do nieuchronnego upadku. Coraz mniej dzieciaków przychodziło tu wydawać swoją forszę; pojawiły się nowe lokale do podbicia, nowe miejsca, w

których należało się pokazać. Bary pozamykały swe podwoje, restauracje poszły w ich ślady. Pozostał tylko "Movie Palace", pamiątka dawnych dni w dzielnicy, która z każdym rokiem stawała się coraz bardziej niebezpieczna.

Bujne powoje, poprzetykane przegniłymi belkami, pokrywające pusty plac, przypadły do gustu Barberiowi. Noga dawała znać o sobie, potykał się ze zmęczenia, a brzuch bolał coraz bardziej. Potrzebował miejsca, gdzie będzie mógł złożyć otumanioną głowę, i to cholernie szybko; gdzie będzie mógł dokończyć southern comfort i pomyśleć o Geraldine.

Dochodziła pierwsza trzdzieści, kocie schadzki na placu trwały w najlepsze. Kiedy rozsunał kilka desek płotu i zagłębił się w cień, zwierzaki, spłoszone, uciekły w krzaki. Schronienie cuchnęło szczynami, ludzkimi i kocimi, śmieciami i spalenizną, ale dla niego było prawdziwym sanktuarium.

Barberio oparł się o tylną ścianę "Movie Palace" i wyrzucił z siebie nadmiar southern

comfort oraz zółci. Kawalek dalej, pod samą ścianą, jakieś dzieciaki postawiły szalas z dźwigarów, osmalonych desek i skorodowanego żelastwa. "Idealny -- pomyślał. -- Sanktuarium wewnątrz sanktuarium." Sing-Sing szczyrzył do niego zatłuszczone zęby. Barberio, jęcząc cicho -- brzuch dziś naprawdę dawał mu w kość -- powlókł się wzdłuż muru i wsunął się do wnętrza owej szopy.

Ktoś tu kiedyś sypiał -- zbieg siadając wymacał wilgotny worek. Jakaś butelka z brzękiem upadła na cegłę. Śmierdziało tu tak strasznie, jakby gdzieś wzbierały ścieki -- wołał nie myśleć, dlaczego. Wszystko tu było plugawe, ale mimo to dawało większe poczucie bezpieczeństwa niż ulica. Siedział oparty o ścianę "Movie Palace" i długo, powoli dochodził do siebie.

Nie dalej niż o przecznicę, a może nawet bliżej, niczym dziecko zbudzone w nocy, zawyla syrena wozu policyjnego, i spokój prysnął bez śladu. Zbliźali się tu, by go zabić, wiedział o tym. Igrali z nim, pozwolili mu myśleć, że uciekł, a cały czas krążyli jak rekiny, bezszelestnie, czekając, aż będzie zbyt zmęczony, by stawić opór. Rany, zabił glinę; załatwią go na cacy, jak tylko go dostaną. Ukrzyżują go.

"OK, Sing-Singu, co teraz? Zetrzyj ze swej twarzy ten wyraz zdziwienia i wyciągnij mnie z tego."

Przez chwilę nic się nie działo. Potem oczyma duszy ujrzał uśmiech boga i niespodziewanie poczuł, że w plecy uwierają go jakieś zawiasy.

"Kurczę! Drzwiczki. Opieram się o drzwiczki."

Stękając z bólu, odwrócił się i przesunął palcami po klapie, przy której siedział. Jeśli wierzyć dotykowi, była to mała kratka doprowadzająca powietrze, najwyżej trzy stopy kwadratowe. Może wiodła do kanału wentylacyjnego, a może do czyjejś kuchni -- jedna cholera! Wewnątrz jest bezpieczniej niż na zewnątrz -- tej lekcji uczy się każdy noworodek przy pierwszym klapsie.

Od wycia syreny cierpła mu skóra. Serce biło szybciej. Grube palce Barberia wędrowały wzdłuż krawędzi kratki, szukając jakiegoś zamka i, do diabła, znalazły klódkę, równie przeżartą przez rdzę, jak reszta metalu.

"No, Sing-Singu -- modlił się. -- Jeszcze jeden raz, to wszystko, o co cię proszę. Wpuść mnie, a na zawsze będę twój, przysięgam."

Pociągnął za klódkę, ale ta diaboliczna nie zamierzała ustąpić. Albo była solidniejsza niż mu się zdawało, albo on był słabszy. Może i jedno, i drugie.

Samochód z każdą sekundą był coraz bliżej. Wycie zagłuszyło nawet jego własny oddech.

Wyciągnął z kieszeni spluwę, zabójczynię gliny i wepchnął ją w klódkę jak łom. Niezbyt nadawała się do tego, była zbyt krótka, ale kilka chwil wysiłku, okraszonych przekleństwami, załatwiło sprawę. Zamek ustąpił, deszcz płatków rdzy zasypał mu twarz. Barberio ledwie stłumił okrzyk triumfu.

Teraz pozostawało tylko otworzyć kratkę i uciec z tego wrednego świata w mrok.

Przesunął palce pomiędzy prętami i pociągnął. Przeszył go ból, skręcił mu trzewia, docierając aż do nogi. Zakręciło mu się w głowie.

--Otwórz się, do cholery -- powiedział do kratki. -- Sezamie, otwórz się.

Drzwiczki ustąpiły. Otworzyły się nagle, przewracając go na wilgotny barłóg. W chwilę później znów stał, wpatrując się w jeszcze głębszą ciemność, wewnątrz "Movie Palace".

"Niech gliny przyjeżdżają -- pomyślał z satysfakcją. -- Mam kryjówkę, w której będzie mi

ciepło". Bo było tam ciepło, prawdę mówiąc, gorąco. Powietrze w dziurze cuchnęło, jakby od wieków nie dotarł tam świeży powiew.

Kiedy przeczołgał się przez drzwiczki w kompletną czerń, czuł w nodze mrówki, bolało jak diabli. W tym samym czasie zawroźnienie syreny ucichło, samochód skręcił za pobliski róg. Czyż to nie tupot praworządnych stóp słychać było na chodniku?

Niezgrabnie obrócił się w ciemności, wlokąc za sobą bezwładną kończynę, stopę wielkości arbuza, i zamknął drzwiczki. To podnoszenie mostu zwodzonego i pozostawienie wroga po drugiej stronie fosy napelniło go taką satysfakcją, że nie liczyło się nawet, iż tamci mogą równie łatwo otworzyć kratkę i wśliznąć się za nim do środka. Niczym dzieciak był pewien, że nikt go nie znajdzie, że tak długo, jak on nie będzie widział prześladowców, oni nie zobaczą jego.

Jeśli gliny rzeczywiście szukały go na placu, robiły to cicho. Może się jednak mylił, może ścigali nie jego, a jakiegoś innego nieszczęsnego gnoja? No cóż. Znalazł sobie miłą kryjówkę, w której mógł odpocząć, i wszystko było cacy.

Zabawne, powietrze nie było tu takie złe. Nic ze stęchlizny, typowej dla wnek lub piwnic. Ono po prostu żyło. Nie chodziło tu o świeży powiew -- czuło się, że nie

ma tutaj żadnej wentylacji, ale mimo to wibrowało. Śpiewało mu w uszach, kąsało jego skórę jak zimny prysznic, wpełzało do nosa i wyczyniało cuda w jego głowie. Czuł się świetnie, zupełnie jak na hajcu. Noga już nie bolała, a jeśli nawet, uwagę jego odwracały obrazy krążące pod czaszką. Wypełniał się obrazami po same brzegi: tańczącymi dziewczynami i całującymi się parami, pożegnaniami na dworcach, starymi, ciemnymi domami, komikami, kowbojami, podmorskimi przygodami -- scenami, których nie przeżyłby w ciągu miliona lat, ale które poruszały go teraz jak autentyczne doświadczenia, prawdziwe i niepodważalne. Chciał płakać podczas pożegnań, ale i chciał śmiać się z komików, tyle że dziewczyny potrzebowały zalotnych spojrzeń, a kowbojom należało wtórować okrzykami.

Gdzie się właściwie znajdował? Zamrugnął, starając się przeniknąć wzrokiem owe połyskliwe obrazy. Przebywał w miejscu szerokim najwyżej na cztery stopy, ale za to wysokim i rozjaśnionym przez migocące światło, prześlizgujące się przez szczeliny w ścianie. Barberio nazbyt był zamroczony, aby pojąć pochodzenie owego światła, a szum w uszach nie pozwalał mu zrozumieć dialogu, dobiegającego z ekranu po drugiej stronie ściany. Był to "Satyricon", kolejny z dwóch filmów Felliniego, jakie tej soboty prezentowano w "Pałace" na nocnym seansie.

Barberio nigdy nie widział tego filmu, nie słyszał też o Fellinim. Czułby zresztą niesmak. Wolął podmorskie przygody i filmy wojenne. I tańczące dziewczyny. Wszystko o tancerkach.

Zabawne, choć nikogo więcej nie było w kryjówce, miał dziwaczne wrażenie, że jest obserwowany. Przez kalejdoskop rewii Busby'ego Berkeleyya, migocący pod jego czaszką, czuł, że jakieś oczy -- nie kilkoro, tysiące -- obserwują go. Nie było to takie złe, by musiał sobie lyknać, ale te oczy wciąż tam były, gapiły się na niego, jakby był czymś wartym oglądania, czasem śmiały się z niego, czasem płakały, ale przeważnie wgapiały się w niego głodnym wzrokiem.

Prawdę mówiąc, nic nie mógł na to poradzić. Nie czuł rąk ani nóg. Nie wiedział -- i nawet lepiej, że nie wiedział -- iż czolgając się, rozdrapał ranę i wykrwawiał się na śmierć.

Okolo drugiej pięćdziesiąt, kiedy "Satyricon" Felliniego dobiegał do niejasnego końca,

Barberio zmarł w szczelinie pomiędzy murem budynku a tylną ścianą sali projekcyjnej.

"Movie Palace" był niegdyś Domem Misyjnym i gdyby zbieg, konając, spojrzal w górę, zobaczyłby może widoczny jeszcze poprzez brud, absurdalny fresk, przedstawiający Zastęp Aniołów, i doznał osobistego Wniebowzięcia. Ale umarł, oglądając tańczące dziewczęta i to go urządziło.

Falszywą ścianę, tę, która przepuszczała światło ekranu, wzniesiono, by zasłonić fresk z Zastępem. W tym geście kryło się z całą pewnością więcej szacunku niż w ewentualnym zamalowaniu aniołów, a poza tym człowiek, który zarządził ową poprawkę, brał pod uwagę, że popyt na kino prędzej czy później przeminie, a kiedy tak się stanie, on po prostu zburzy ścianę i wróci do interesu opartego na wielbieniu Boga, a nie Grety Garbo.

Nigdy do tego nie doszło. Popyt, choć niepewny, nigdy nie siadł, a filmy leciały dalej. Ów niewierny Tomasz, który nazywał się Harry Cleveland, zmarł, a o szczelinie zapomniano. Nikt z żyjących nawet nie podejrzewał jej istnienia. Barberio, przeszukawszy całe miasto, nie znalazłby bardziej sekretnego miejsca na swoją śmierć.

Szczelina ta -- a zwłaszcza zawarte w niej powietrze -od pięćdziesięciu już lat żyła własnym życiem. Niczym zbiornik przyjmowała elektryzujące spojrzenia tysięcy, dziesiątek tysięcy oczu. Przez pół wieku wiodła zastępczy żywot dzięki kinomanom z drugiej strony ekranu w "Movie Palace", odciskającym w migocącej iluzji swe sympatie i pasje, a energia ich emocji, niczym leżakujący koniak zyskiwała na sile w powietrzu wypełniającym kryjówkę. Prędzej czy później musiało dojść do wylądowania. Brakowało tylko katalizatora.

Do czasu nowotworu Barberia.

II. GŁÓWNY WĄTEK

Dziewczyna w wiśniowej sukience z cytrynowym nadrukiem snuła się po ciasnym foyer "Movie Palace" już od dwudziestu minut i wyglądała na dość zaniepokojoną. Była już niemal trzecia nad ranem i nocny seans dawno się skończył.

Od chwili gdy Barberio zmarł na tyłach kina, minęło osiem miesięcy, osiem leniwych miesięcy, w najlepszym razie nieszczęśliwych dla interesu. A mimo to nocne podwójne seanse w piątki i soboty zawsze wypełniały widownię. Dziś były dwa filmy z Eastwoodem, spaghetti westerny. Zdaniem Birdy, dziewczyna w wiśniowej sukience nie wyglądała na wielbicielek westernów; to nie było babskie kino. Może przyciągał ją tu nie tyle gwałt bijący z ekranu, co sam Eastwood, choć Birdy nie widziała nic pociągającego w jego wiecznie zmrużonych oczach.

--Może ci pomóc? -- zapytała. Dziewczyna spojrzała na nią nerwowo.

--Czekam na swojego chłopaka -- powiedziała. -- Na Deana.

--Zgubiłaś go?

--Pod koniec filmu poszedł do toalety i jeszcze nie wrócił.

--Czy czuł się... hm... źle?

--O nie -- odpowiedziała szybko dziewczyna, chroniąc swego partnera przed podejrzeniem o nietrzeźwość.

--Wyślę kogoś, żeby go poszukał -- oznajmiła Birdy.

Zrobiło się późno, była zmęczona, a trawka przestawała już działać. Myśl, że miałyby spędzić w tej norze więcej czasu niż należało, nie wyglądała specjalnie zachęcająco. Chciała wrócić do domu, do łóżka i spać. Po prostu -- spać. Mając trzydzieści cztery lata, uznała, że wyrosła z seksu. Łóżko było do spania, zwłaszcza dla grubych dziewczyn.

Pchnęła wahadłowe drzwi i wetknęła głowę do sali projekcyjnej. Ogarnął ją gęsty zapach papierosów, prażonej kukurydzy i ludzi. Było tu o kilka stopni cieplej niż w foyer.

--Ricky?

Ricky zamykał wyjście na drugim końcu sali.

--Smród już się ulotnił -- zawołał do niej.

--Świetnie. -- Kilka miesięcy temu w okolicach ekranu potwornie cuchnęło.

--Coś zdechło na podwórzu, koło drzwi -- powiedział.

--Możesz poświęcić mi minutę? -- odkrzyknęła.

--Czego chcesz?

Ruszył powoli w jej stronę po czerwonym chodniku, pogrążony w myślenie. Jego koszulka głośno głośliła: "Tylko Młodzi Umierają Dobrze".

--Problemy? -- spytał, wycierając nos.

--Tam jest dziewczyna. Mówi, że jej chłopak przepadł w kiblu.

Ricky wyglądał na zbolalego.

--W kiblu?

--Właśnie. Zajrzysz? Nie masz nic przeciwko temu, co?

"Mogłaby sobie darować te docinki" -- pomyślał, posyłając jej nieszczęry uśmiech. Rzadko się teraz do siebie odzywali. Zbyt wiele ich łączyło, to zawsze rozwalalo przyjaźń na dłuższą metę. Poza tym Birdy miała na swym koncercie kilka wielce niemiłych, choć trafnych uwag na temat jego kumpli, na które zareagował dość gwałtownie. Nie odzywali się potem do siebie przez trzy i pół tygodnia. Teraz trwał niewygodny rozejm, bardziej w imię zdrowia

psychicznego niż czegokolwiek innego. Nie przestrzegali go zbyt skrupulatnie.

Zawrócił, powlókł się w dół przejścia i ruszył wzdłuż rzędu E w kierunku toalety, podnosząc po drodze siedzenia foteli. Te siedzenia widywały lepsze dni w czasach "Voyagera". Teraz wyglądały jak postrzelane; domagały się odnowienia albo nawet wymiany. W samym rzędzie E cztery z nich pocięto tak, że nie mogła im pomóc żadna naprawa. Zauważył też piąte, dzisiejszy nabytek. Jakiś bezmyślny gówniarz znudził się filmem albo swoją dziewczyną, a był zbyt przymulony, by wyjść. Bywały czasy, kiedy sam to robił -- uważał to za wyraz wolności, protest przeciwko kapitalistom, którzy prowadzili takie przybytki. Bywały czasy, kiedy robił wiele durnych rzeczy.

Birdy patrzyła, jak znika w "męskiej". "Będzie miał frajdę -- pomyślała z krzywym uśmiechem. -- To w sam raz dla niego." I pomyśleć, że kiedyś napalala się na niego, za dawnych czasów -- sześć miesięcy temu -- kiedy w jej stylu byli chudzi jak brzytwa mężczyźni z nosami jak Jimmy Durante i encyklopedyczną wiedzą na temat filmów de Niro. Teraz widziała go takim, jaki był naprawdę: szczątek z utraconego statku nadziei. Wciąż maniak pigulek, wciąż teoretycznie biseksualny, wciąż oddany wczesnym filmom Polańskiego i symbolicznemu pacyfizmowi. Jaki właściwie towar miał między uszami? "Ten sam co ja" -- zbesztala siebie myśląc, że jednak w tym typie jest coś sexy.

Odczekała kilka sekund, obserwując drzwi. Nie pojawił się jednak, wróciła więc na chwilę do foyer, zobaczyć, co z dziewczyną. Mała paliła papierosa niczym początkująca aktorka, która nie umie jeszcze tego robić z klasą. Opierała się o poręcz i zadarłszy sukienkę, drapała się w nogę.

--Rajstopy -- wyjaśniła.

--Kierownik poszedł po Deana.

--Dzięki. -- Drapała się dalej. -- Mam od nich wysypkę. Jestem na nie uczulona.

Na ładnych nogach dziewczyny widać było plamy, które raczej psuły efekt.

--To dlatego, że mi gorąco i smętnie -- ciągnęła. -- Kiedy jest mi gorąco i smętnie, uczulenie daje znać o sobie.

--Och.

--Wiesz, Dean pewnie spłynął, gdy tylko się odwróciłam. To by do niego pasowało. On się nie pier... On się nie przejmuje.

Birdy widziała, że dziewczyna jest bliska łez, a to już był kanał. Źle znosiła łzy. Klótnie, nawet bójkę, w porządku. Łzy, nie ma mowy.

--Wszystko będzie OK. -- Tylko tyle mogła powiedzieć, żeby zapobiec łzom.

--Nie, nie jest -- odparła dziewczyna. -- 1 nie będzie OK, bo to sukinsyn. Wszystkich traktuje jak śmieci. -- Zdusiła na wpół wypalonego papierosa spiczastym czubem wiśniowego buta, dbając o to, by zgasić wszystkie żarzące się drobiny tytoniu.

--Mężczyźni się nie przejmują, co? -- powiedziała, patrząc na Birdy z roztkliwiającą wprost szczerością. Pod fachowo położonym makijażem ukrywała się co najwyżej siedemnastolatka. Tusz nieco się rozmazał, a pod oczyma rysowały się worki świadczące o zmęczeniu.

--Nie -- potwierdziła Birdy, odwołując się do bolesnych doświadczeń. -- Niczym się nie przejmuje.

Pomyślała ponuro, że nigdy nie wyglądała tak atrakcyjnie jak ta zmęczona nimfetka. Oczy

miała za małe i zbyt grube ręce. "Nie okłamuj siebie, dziewczyno, jesteś po prostu gruba. Ale ręce wyglądają najgorzej" -- przekonywała siebie. Bywali mężczyźni, całe mnóstwo, którzy lecieli na wielkie piersi, na pokaźny tyłek, ale żaden, którego знаła, nie przepadał za grubymi rękami. Zawsze chcieli zamykać przegub swej dziewczyny pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym. W ten prymitywny sposób oceniali związek. Gdyby chciała być brutalna wobec siebie, musiałaby stwierdzić, że jej przegubów nie można było w żaden sposób wyróżnić. Grube dłonie dały początek grubym przedramionom, które przechodziły w grube ramiona. Mężczyźni nie mogli objąć jej przegubów, gdyż nie miała przegubów i to ich odstręczało. Cóż, taki był przynajmniej jeden z powodów. Poza tym zawsze była bystra, a to zdecydowanie przeszkadzało, jeśli chciało się mieć facetów u swoich stóp. Biorąc jednak pod uwagę wszystkie powody, dla których nie znalazła szczęścia w

miłości, skłaniała się ku twierdzeniu, że najbardziej zawiniły właśnie grube ręce.

A tamta dziewczyna ramiona miała szczuple niczym tancerka z Bali, przeguby jej zdawały się być z cienkiego, delikatnego szkła.

Doprawdy, załamujące. Na dodatek pewnie nie była zbyt rozgarnięta. Boże, ta dziewczyna miała wszelkie fory.

--Jak się nazywasz? -- spytała Birdy.

--Lindi Lee -- odpowiedziała dziewczyna. Pewnie tak.

Ricky miał wrażenie, że gdzieś popełnił błąd. "To nie może być toaleta" -- powiedział do siebie.

Wszystko wskazywało na to, że stał na głównej ulicy jakiegoś miasteczka z pogranicza, jakie oglądał w paru setkach westernów. Dokoła szalała chyba burza piaskowa. Musiał przymrużyć oczy w obawie przed wirującym pyłem. Odniósł jednak wrażenie, że przez wiry brunatno-szarego powietrza dostrzega sklep, biuro szeryfa i saloon. Stały tam, gdzie powinny być kabiny. Nie opodal zatańczył zblakany chwast, gnany gorącym, pustynnym wiatrem. Pod stopami Ricky'ego znajdował się ubity piach, kafelki znikły bez śladu. Znikło bez śladu wszystko, co choć trochę mogło kojarzyć się z toaletą.

Ricky popatrzył w prawo, w dół ulicy. Tam, gdzie powinna była znajdować się ściana kibla, ulica oddalała się w namalowaną przestrzeń. To był fałsz, oczywiście, wszystko tu było fałszem. Gdyby tylko Ricky zdołał się dostatecznie skoncentrować, przeniknąłby przez tę uludę odkrywając, jak osiągnięto ów efekt -- projekcjami, sztuczkami z ukrytym oświetleniem, dekoracjami na płótnie, miniaturkami, całą gamą trików. A jednak, mimo iż koncentrował się tak intensywnie, jak tylko było to możliwe w stanie lekkiego zaburzenia przestrzeni, nie mógł zwalczyć, zdemaskować tej iluzji.

Wiatr wciąż wiał, chwast nadal się toczył. Gdzieś pośród burzy trzasnęły wrota stodoły, otworzyły się i znów trzasnęły targane podmuchami. Czuć było nawet końskie lajno. Efekt doprowadzono do perfekcji. Podziw zapierał dech.

Ale ktokolwiek stworzył tę niesamowitą scenografię, dopiął już swego. Zrobił wrażenie na Ricky'm, mógł już skończyć zabawę.

Ricky odwrócił się ku drzwiom toalety. Zniknęły. Ściana pyłu zmasała wszelki ślad po nich i Ricky nagle poczuł się samotny i zagubiony.

Wrota stodoły nie przestawały trzaskać. W narastającej burzy przekrzykiwały się jakieś głosy. A gdzie saloon i biuro szeryfa? Budynek również przesłonił piach. Ricky posmakował

czegoś, czego nie znalazł od dziecięcych lat: paniki spowodowanej zniknięciem opiekuna. Tym razem utracił zdrowy rozsądek.

Gdzieś na lewo od niego rozległ się strzał, coś świsnęło mu koło ucha. Poczul ostry ból. Ostrożnie podniósł rękę i dotknął obolałego miejsca. Odstrzelono mu kawałek ucha. Kolczyk zniknął, a palce splamila krew. Ktoś, kto chciał rozwalić mu łeb, właśnie chybił, a może po prostu urządzał sobie morderczy ubaw.

--Hej, człowieku! -- krzyknął prosto w gębę tej żalosalnej fikcji i odwrócił się na pięcie, by sprawdzić, czy dostrzeże napastnika. Nikogo jednak nie widział. Ukrył go wirujący piach, nie było szans, by w którąkolwiek stronę ruszyć się z miejsca, nie ryzykując. Rewolwerowiec mógł być w pobliżu, mógł czekać, aż ofiara ku niemu podejdzie.

--To mi się nie podoba -- powiedział głośno Ricky, licząc na to, że rzeczywisty świat jakoś go usłyszy i wkroczy, by wybawić strzępy jego umysłu. Pogrzebał w kieszeni dzinsów, szukając pigułki albo dwóch, czegokolwiek, co mogłoby poprawić sytuację, ale wyprztykał się już z prochów, a w zakamarkach szwów nie zawieruszyło się nawet byle walium. Poczul się nagi. Tak się zamotać w koszmary a la Zene Grey!

Padł drugi strzał, ale temu już nie towarzyszył świst. Ricky był pewien, że to znaczyło, iż został trafiony. Obyło się jednak bez krwi i bólu, nie mógł więc tego potwierdzić.

Nagle usłyszał to niepowtarzalne skrzypnięcie drzwiczek saloonu, a zaraz potem -- jakiegoś innego człowieka, będącego tuż tuż. Burza na moment ucichła. Czy rzeczywiście widział saloon i wytaczającego się stamtąd młodego człowieka, który porzucił namalowany świat stolików, luster i rewolwerowców? Nim zdołał wyteńczyć wzrok, piasek zasypał mu oczy i Ricky zwątpił w to, co ujrzał. I wtedy przeżył kolejny wstrząs: chłopak, po którego tu przyszedł, ni stąd ni zowąd pojawił się tuż obok i runął mu w ramiona. Wargi miał trupiosine. Jego kostium, podobnie jak ubiór Ricky'ego, nie pasował do tego filmu. Wystrzałowa kurtka imitowała styl lat pięćdziesiątych, a na koszulce widniało uśmiechnięte oblicze Myszki Miki.

Lewe oko Myszki było przekrwione i wciąż jeszcze krwawiło. Kula nieomylnie znalazła serce tego młokosa. Zdażył jeszcze wyszeptać pytanie: "Co tu się odpierdala?" i skonał.

Jego ostatnim słowem brakowało stylu, ale nie sposób było odmówić im szczerości. Ricky przez chwilę przyglądał się stężalej twarzy chłopaka, bezwładne ciało zrobiło się jednak zbyt ciężkie i nie miał wyboru, musiał je puścić. Kiedy zetknęło się z ziemią, piasek na moment zamienił się w zasikane kafelki. I znów fikcja wzięła górę: kurz zawirował, zablakany chwast podjął swą wędrówkę, a Ricky raz jeszcze znalazł się na środku głównej ulicy Deadwood Gulch, z trupem pod nogami.

Miał wrażenie, że połknął mrożonego indyka. Uległ czemuś na kształt tańca świętego Wita, poza tym bardzo chciało mu się łać. Jeszcze chwila a zmoczy portki.

"Gdzieś tu -- pomyślał -- gdzieś w tym obłąkanym świecie znajdują się pisuary. Jest ściana pokryta napisami, prawdziwa książka telefoniczna dla erotomanów. Jest hasło: To nie jest schron przeciwatomowy, wydrapane na kafelkach i mnóstwo obsceniczných rysunków. Są zbiorniki na wodę, rolki, które od dawna nie oglądały papieru, i połamane sedesy. Unosi się ohydny smród moczu i zastarzałych piardów. Trzeba to odnaleźć! Na Boga, odnaleźć tę rzeczywistość, zanim fikcja dokona nieodwracalnego spustoszenia."

Jeżeli przyjąć, że saloon i sklep to w rzeczywistości kabiny, pisuary musiały znajdować się za plecami Ricky'ego. Należało się więc cofnąć. Cóż mogło być gorszego od stania na środku

ulicy, gdzie ktoś urządził sobie strzelaninę?

Dwa kroki, dwa ostrożne kroki i znów trafił jedynie na powietrze. Ale przy trzecim -- no no, cóż my tu mamy? -- dłoń dotknęła chłodnej powierzchni kafelek.

--Hurra! -- zawołał.

Znalazł pisuar. Dotykając go, czuł się jak ktoś, kto odkrył złoto w sicie pełnym śmiecia.

"Czyż to nie mdlący odór lizolu, bijący z kanalizacji? Tak, chłopie, to właśnie to."

Wciąż pokrzykując, rozpiął rozporek i pospiesznie uwolnił pęcherz od bólu, opryskując sobie buty. No, do licha, dokopał tej iluzji. Jak się odwróci, zobaczy, że złudzenie przysło. Saloon, martwego chłopaka, burzę -- wszystko trafi szlag. To był tylko jakiś odjazd, spowodowany marną chemią; kiepski towar padł mu na mózg i puścił w trąbę jego wyobraźnię. A jednak, kiedy Ricky strząsała ostatnie krople na swoje błękitne zamszaki, usłyszał głos gwiazdora westernów:

--Lejesz na mojej ulicy, chłopcze?

Głos Johna Wayne'a, prawdziwy do ostatniej, niewyraźnej sylaby, dochodził tuż zza jego pleców. A Ricky nie mógł sobie nawet pozwolić na w-tył-zwrot. Facet niewątpliwie rozwaliby mu łeb. To czuło się w jego tonie, tę groźną miękkość, która ostrzegała: "Jestem gotów złapać za spluwę, zrób więc coś głupiego". Kowboj był uzbrojony, a Ricky miał w garści jedynie swego palanta, który w żadnym wypadku nie mógł równać się z rewolwerem.

Jak najostrożniej ukrył swoją broń i zapiął spodnie, po czym podniósł ręce. Ściana toalety zafalowała i znów zniknęła. Wicher zawył, ze zranionego ucha ściekała na szyję krew.

--OK, chłopcze. Odepnij teraz pas z bronią i rzuć go na ziemię. Słyszałeś? -- polecił Wayne.

--Tak.

--Rób to grzecznie i powoli. Ręce trzymaj wciąż na widoku.

Ten facet nie bajerował.

Grzecznie i powoli, tak jak tamtem nakazał, Ricky odpiął pasek, wyciągnął go ze szlufek džinsów i rzucił na podłogę. W zderzeniu z kafelkami klucze powinny brzęknąć, modlił się, żeby tak się stało. Nic z tego. Usłyszał jedynie głuche szcęknięcie, jakby upadły na ziemię.

--Świetnie -- stwierdził Wayne. -- Zaczynasz postępować, jak należy. Co masz na swoje usprawiedliwienie?

--Przepraszam -- podsunął słabo Ricky.

--Przepraszasz?

--Za sikanie na ulicy.

--Nie wydaje mi się, by "przepraszam" było wystarczającym zadośćuczynieniem -- powiedział Wayne.

--Ale naprawdę mi przykro. To był błąd.

--Takich obcych, jak ty, mamy w tych stronach serdecznie dość. Dzieciak z portkami wokół kostek sadił kupę na środku saloonu. To właśnie nazywam nieokrziesaniem! Gdzie was tego uczą, sukinsyny? To takie wykształcenie dają owe dziwaczne szkoły na Wschodzie?

--Nie wiem, co powiedzieć.

--I dobrze, że nie wiesz -- oświadczył Wayne, przeciągając słowa. -- Byłeś z tym dzieciakiem?

--W pewnym sensie.

--Co to za gadka? -- Wbił lułę w plecy Ricky'ego. Efekt był dość realistyczny. -- Byleś z nim czy nie?

--Chciałem tylko powiedzieć...

--Na tym terytorium nie masz nic do powiedzenia, stary, możesz mi wierzyć.

Odciągnął z trzaskiem spust.

--Czemu się nie odwrócisz, synu? Zobaczymy, z czego jesteś zrobiony.

Ricky znalazł takie obrazki. Człowiek odwraca się, sięga po ukrytą spluwę i Wayne go zabija. Bez gadania, bez dyskusji o etyce takiego postępowania. Kula załatwia sprawę skuteczniej niż słowa.

--Odwróć się, powiedziałem.

Ricky najwolniej jak mógł, odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz z bohaterem tysiąca strzelanin. Zobaczył go, a właściwie jego wyidealizowany wizerunek. Wayne ze środkowego okresu swojej kariery, jeszcze nie taki gruby i nie schorowany. Wayne z "Rio Grande", okryty kurzem dalekich szlaków, o oczach zmęczonych odwiecznym wpatrywaniem się w horyzont.

Ricky nigdy nie gustował w westernach. Nie trawił tego wymuszonego kultu męskości, wielbienia brudu i taniego heroizmu. Jego pokolenie wkładało kwiaty w lufy karabinów. Wtedy uważał to za coś fajnego; prawdę mówiąc, sądził tak i teraz.

Ta twarz, tak kretyńsko męska, tak bezkompromisowa, uosabiająca legendę o chwale pionierskich początków Ameryki, o moralności doraźnego wymiaru sprawiedliwości, o czułości przepelniającej serca brutalni. Aż go ręce świerzbiły, by rąbnąć tego dupka.

Pieprzyć to! Jeżeli aktor, kimkolwiek był, zamierzał go zastrzelić, cóż szkodziło wpakować pięść w gębę sukinsyna? Myśl zamieniła się w czyn; Ricky zacisnął palce i zamachnął się. Kostki zderzyły się z podbródkiem Wayne'a. Aktor był wolniejszy niż jego filmowe kreacje. Nie zdążył uchylić się przed ciosem. Ricky skorzystał z okazji, by wytrącić mu rewolwer. Potem zasypał kowboja lawiną uderzeń w korpus, tak jak pokazywano to na filmach. Ów popis mógł robić wrażenie.

Rosły mężczyzna zachwiał się pod naporem ciosów. Potknął się, ostroga wplątała się we włosy martwego chłopaka. Stracił równowagę i pokonany runął w pył.

Leżał, sukinsyn! Ricky poczuł dreszcz, jakiego nigdy dotąd nie udało mu się zaznać, euforię płynącą z przewagi fizycznej. Mój Boże! Pokonał największego kowboja na świecie. Zwycięstwo stłumiło wrodzony krytycyzm Ricky'ego.

Burza piaskowa znów nabrała sił. Wayne wciąż leżał, zalany krwią z rozbitego nosa i pękniętej wargi. Tumany kurzu ograniczały widoczność, kryjąc jego upokarzającą klęskę.

--Wstawaj! -- zażądał Ricky, starając się zapanować nad sytuacją, póki jeszcze miał na to szansę.

Poprzez wirujący piach dostrzegł uśmiech Wayne'a.

--No, chłopcze -- zadrwił kowboj, rozcierając podbródek. -- Jeszcze zrobimy z ciebie mężczyznę...

I nagle jego ciało rozwiał się w kłębach kurzu, ustępując miejsca czemuś innemu, kształtowi, którego Ricky nie potrafił nazwać. Czemuś, co było i nie było Wayne'em, raptownie tracącym cechy ludzkie.

Piach natarł z furją, wdzierając się do uszu i w oczy. Ricky, zataczając się, uniknął z pola walki. Krztusił się. Jakimś cudem znalazł ścianę, a potem drzwi i nim jeszcze dotarło do niego,

gdzie się znalazł, huczająca burza wypluła go w ciszę "Movie Pałace".

I choć w dniu, w którym zdecydował się na zapuszczenie wąsów, obiecał sobie, że nigdy już nie będzie pękał, teraz jęknął tak, że nie powstydzilaby się tego Fay Wray, i zemdlął.

A w foyer Lindi Lee tłumaczyła Birdy, dlaczego nie przepada za kinem.

--Wiesz, to Dean lubi westerny. Mnie specjalnie nie ciągnie do kina. Ale zdaje się, że nie powinnam ci tego mówić...

--Nie przejmuj się.

--Chodzi mi o to, że ty pewnie kochasz kino. Pracujesz tu.

--Niektóre filmy lubię. Nie wszystkie.

--O? -- Dziewczyna wyglądała na zaskoczoną. Wydawało się, że łatwo ją zaskoczyć. -- Wiesz, ja lubię filmy przyrodnicze.

--Tak...

--Łapiesz, o co mi chodzi? Zwierzęta... i w ogóle.

--Tak... -- Birdy przypomniała sobie, jak doszła do wniosku, że Lindi Lee nie należy do rozgarniętych. Trafiła w sedno.

--Ciekawe, co ich zatrzymało? -- zamyśliła się Lindi.

Kawał życia, jaki Ricky spędził pośród tumanów piasku, w rzeczywistości trwał może dwie minuty. Ale w filmach czas jest elastyczny.

--Pójdę sprawdzić -- zaproponowała Birdy.

--Pewnie wyszedł beze mnie -- zasepiła się znów Lindi.

--Zobaczę.

--Dzięki.

--Nie łam się -- powiedziała Birdy, kładąc dłoń na chudym ramieniu dziewczyny. -- Jestem pewna, że wszystko gra.

Zniknęła za wahadłowymi drzwiami sali projekcyjnej, zostawiając Lindi Lee samą w foyer. Dziewczyna westchnęła. Dean nie był pierwszym, który od niej uciekł tylko dlatego, że nie dała mu tego, czego chciał. Miała swoją własną koncepcję, kiedy i jak należy iść z chłopakiem na całość; to nie był ten czas, a Dean nie był tym chłopakiem. Był zbyt śliski, zbyt zmienny, a jego włosy cuchnęły naftą. Jeśli zwał, trudno, nie będzie wylewała wiader łez. Jak mawiała jej matka: ~W morzu jest jeszcze pełno ryb".

Kiedy gapiała się na plakat reklamujący gwóźdź przyszłego tygodnia, coś glucho stuknęło za jej plecami. Na środku foyer siedział, wpatrując się w nią, łaciaty królik, tłusty, zaspany rozkoszniaczek.

--Cześć -- powiedziała do królika.

Zwierzak uroczo polizal swe futerko.

Lindi Lee kochała zwierzęta; uwielbiała te filmy, gdzie pokazywano je w ich naturalnym środowisku w takt muzyki Rossiniego -- gdzie skorpiony urządzały sobie potańcówki godowe, a każdego niedźwiadka słodko nazywano gagatkiem. Ale najbardziej ze wszystkich lubiła króliki. Królik dał kilka susów i już był przy niej. Uklękla, by go pogłaskać. Był ciepłutki, a ślepka miał okrągłe i różowe. Przekicał obok niej, kierując się na schody.

--Oj, chyba nie powinieneś tam iść -- powiedziała.

Po pierwsze, na górze było ciemno. Po drugie, wisząca na ścianie tabliczka głosiła: "Nieupoważnionym wstęp wzbroniony". Ale królik wyglądał na zdecydowanego i wyprzedził ją,

bystrzak. Poszła więc za nim.

Szczyt schodów tonął w całkowitej czerni. Królik przepadł. Na jego miejscu siedziało teraz coś innego, o jaskrawo płonących oczach.

Lindi Lee nie wymagała złożonych iluzji. W odróżnieniu od tamtego chłopaka, nie trzeba jej było otaczać kompletną fikcją. Ona już śniła. Łatwy kąsek.

--Cześć -- powiedziała, trochę zaniepokojona tym, co miała przed sobą. Wyteżyła wzrok, próbując wyłowić z ciemności jakiś zarys, choćby ślad twarzy. Nic jednak nie znalazła. Nawet nie słyszała oddechu.

Zeszła stopień niżej, ale to coś sięgnęło po nią i schwyciło, zanim upadła. Uciszyło ją szybko i czule.

Dziewczyna niewiele miała w sobie energii, którą można by jej skraść, ale mogła posłużyć innemu celowi. Delikatne ciało wciąż jeszcze było pąkiem; otwory nie zaznały penetracji. To coś wciągnęło Lindi na szczyt schodów i ukryło, by zbadać w przyszłości.

--Ricky? O Boże, Ricky!

Birdy uklękła przy ciele Ricky'ego i potrząsnęła nim. Przynajmniej oddychał, to już coś. Początkowo miała wrażenie, że cały tonie we krwi, ale z ulgą stwierdziła, że miał tylko zadraśnięte ucho.

Znów nim potrząsnęła, tym razem brutalniej, ale nie zareagował. Gorączkowo poszukiwała pulsu: był regularny i silny. Ktoś musiał napaść na Ricky'ego; prawdopodobnie zrobił to chłopak Lindi Lee. A gdzie w takim razie sam się podziewał? Może nadal w kiblu, uzbrojony i niebezpieczny? Nie, mowy nie ma, nie będzie na tyle głupia, by tam zajrzeć, za często oglądała to w filmach. "Kobieta w niebezpieczeństwie" -- standard. Ciemny pokój, przyczajona bestia. Nie, zamiast pakować się w tę konwencję, zamierzała zrobić to, do czego nie raz w duchu nakłaniała bohaterki: oprzeć się ciekawości i wezwać gliny.

Zostawiwszy Ricky'ego tam, gdzie leżał, poszła do foyer. Było puste. Pewnie odpuściła sobie chłopaka, a może znalazła na ulicy kogoś, kto odprowadził ją do domu. Tak czy inaczej, zamknęła za sobą drzwi frontowe, pozostawiając w powietrzu nikły aromat dziecięcego pudru Johnsona. "OK, to ułatwia sprawę" -- powiedziała sobie Birdy, wchodząc do kasy, by zadzwonić po gliny. Była nawet zadowolona, że dziewczyna znalazła w sobie dość zdrowego rozsądku, by darować sobie tę parszywą randkę.

Podniosła słuchawkę i z miejsca ktoś się odezwał.

--Cześć tam -- powiedział jakiś głos, nosowy i nieprzyjemny. -- Chyba już dość późno jak na korzystanie z telefonu, co?

Jedno było pewne: to nie był nikt z centrali. Nawet nie wybrała jeszcze numeru. Poza tym ów głos barwą przypominał głos Petera Lorre'a.

--Kto mówi?

--Nie poznajesz mnie?

--Chcę mówić z policją.

--Chciałbym ci pomóc, naprawdę chciałbym.

--Wyłącz się pan, dobra? To pilne! Muszę połączyć się z policją.

--Już to słyszałem -- zapiszczało w słuchawce.

--Kim pan jest?

--Już zagrałaś ten motyw.

--Mam tu rannego, czy mógłby pan...

--Biedny Rick.

"Wiedział, jak mu na imię! "Biedny Rick", powiedział, tak jakby znał go doskonale."

Pot ściekał jej na brwi. Czula, jak przeciska się przez pory skóry. Wiedział jak mu na imię.

--Biedny, biedny Rick -- powtórzył głos. -- Ale wciąż jestem pewien, że będziemy mieli nappy end. A ty nie?

--To sprawa życia i śmierci -- nalegała Birdy, marząc o tym, by opanowanie w jej głosie nie było tylko udawane.

--Wiem -- stwierdził Lorre. -- Czy to nie podniecające?

--Niech cię cholera! Złaż z tego telefonu. Albo pomóż mi...

--W czym ci pomóc? Czyż taka gruba dziewczucha, jak ty, może w sytuacji takiej, jak ta, zrobić coś więcej niż tylko się rozbeczeć?

--Ty pieprzony zboku.

--Cała przyjemność po mojej stronie.

--Czy ja cię znam?

--I tak, i nie. -- Głos teraz falował.

--Jesteś jednym z kumpli Ricky'ego, tak? Jednym ze świrów, z którymi się kiedyś trzymał? Ta idiotyczna zabawa jest całkiem w waszym stylu. Dobra, udał ci się ten kretyński dowcip, a teraz wyłącz się, zanim więcej narozrabiasz.

--Jesteś zaniepokojona -- stwierdził głos, łagodniejąc. -- Rozumiem... -- Zmienił się w niepojęty sposób, podniósł się o oktawę. -- Próbujesz pomóc mężczyźnie, którego kochasz. -- Ton był teraz kobiecy, akcent zupełnie inny. Zmienił się w głos Garbo.

--Biedny Richard -- zwróciła się do Birdy. -- Tak bardzo się starał, nieprawdaż? -- Była łagodna jak baranek.

Birdy zabrakło słów; kreacja była równie nienaganna, jak przedtem Peter Lorre -- tak kobieca, jak przedtem była męska.

--W porządku, jestem pod wrażeniem -- przyznała. -- A teraz pozwól mi porozmawiać z glinami.

--Czyż to nie wspaniała noc na spacer, Birdy? Tylko my dwie i nikt więcej.

--Wiesz jak mi na imię?

--Oczywiście, że wiem, jak ci na imię. Jestem ci bardzo bliska.

--Co chcesz przez to powiedzieć?

Odpowiedzią był jedynie gardłowy śmiech, uroczy śmiech Garbo.

Birdy miała już tego dość. Sztuczka była zbyt perfekcyjna. Czula, że ulega iluzji, iż naprawdę rozmawia z gwiazdą.

--Nie -- powiedziała do słuchawki. -- Nie przekonałaś mnie, słyszysz? -- I wtedy wysiadły jej nerwy. -- Jesteś kanciara! -- wrzasnęła tak głośno, że aż poczuła drżenie słuchawki, a potem rąbnęła nią o widelki. Wyszła z kasy i ruszyła w kierunku drzwi wejściowych. Lindi Lee nie zatrzasnęła ich za sobą. Były zamknięte na zamek i zasuwkę.

--Cholera! -- powiedziała cicho.

Foyer skurczyło się nagle, podobnie jej zapas zimnej krwi. Wyobrazila sobie, że się policzkuje -- standardowa technika bohaterki na skraju hysterii. "Przemyśl to -- pouczyła

siebie. Po pierwsze, drzwi są zamknięte. Lindi Lee tego nie zrobiła, Ricky nie zdołałby nawet do nich dojść, ona sama też nie miała z tym nic wspólnego. Czyli...

Po drugie, w kinie jest psych, może ten sam, z którym rozmawiała przez telefon. Czyli...

Po trzecie, tamten czy tamta, musi mieć dostęp do innego aparatu. Jedyne, o którym wiedziała Birdy, znajdował się na piętrze, w magazynie. Ale żadna siła nie zawlokłaby jej tam teraz. Powód? Patrz -- "Bohaterka w niebezpieczeństwie". Czyli...

Po czwarte, trzeba skorzystać z kluczy Ricky'ego i otworzyć drzwi.

Tak, to było najważniejsze: klucze Ricky'ego.

Wróciła na widownię. Wszystkie światła migotały, a może to tylko jej przerażony wzrok odmawiał posłuszeństwa? Nie, lekko migotały; całe wnętrze zdawało się falować, jakby oddychało.

Zignoruj to, weź klucze.

Pognała w głąb przejścia, świadoma -- jak zawsze, kiedy biegła -- że jej piersi i pośladki podskakują. "Jeśli ktoś mnie tu widzi -- pomyślała -- ma niezły ubaw." Półprzytomny Ricky jęczał. Birdy poszukała wzrokiem kluczy. Jego pasek zniknął.

--Ricky... -- powiedziała, nachylając się nad jego twarzą. Jęczał coraz głośniejsze. -- Ricky, słyszysz mnie? Gdzie są klucze?

--Birdy?

--Zamknięto nas, Ricky. Gdzie są klucze?

--...Klucze?

--Nie masz swojego paska, Ricky -- mówiła powoli, jak do debila. -- Gdzie są twoje klucze?

Łamigłówka, nad którą pracowała obolała głowa Ricky'ego, złożyła się nagle w całość. Usiadł.

--Chłopak! -- zawołał.

--Jaki chłopak?

--W kiblu. Martwy.

--Martwy? Chryste! Martwy? Jesteś pewien?

Wyglądało na to, że Ricky jest w jakimś transie. Nie patrzył na nią, jego wzrok zatrzymywał się w połowie drogi, dotykając czegoś, czego nie umiała dostrzec.

--Gdzie są klucze? -- zapytała ponownie. -- Ricky, to ważne. Skoncentruj się.

--Klucze?

Chciała trzasnąć, ale na jego twarzy już i tak była krew i wyglądałoby to na sadyzm.

--Na podłodze -- powiedział po chwili.

--W kiblu? Na podłodze w kiblu?

Ricky skinął głową. Zdawało się, że ten ruch wyzwolił w nim jakieś okropne myśli; przez chwilę miała wrażenie, że jest bliski płaczu.

--Wszystko będzie dobrze -- pocieszyła go. Dłonie Ricky'ego znalazły jego twarz. Badał swoje rysy, szukając potwierdzenia własnej tożsamości.

--Naprawdę tu jestem? -- zapytał cicho.

Birdy nie usłyszała tego. Zbliżyła się do toalety. Musi tam wejść, trup nie trup, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości. Wejść, złapać klucze, wyjść. Natychmiast.

Przeszła przez drzwi. Przemknęło jej przez głowę, że nigdy dotąd nie była w męskiej

toaletcie. Miała szczerą nadzieję, że będzie to pierwsza i ostatnia okazja.

Toaleta tonęła w mroku. Światła migotały tu równie kapryśnie, jak na widowni, były jednak o wiele słabsze. Stała przy drzwiach czekając, aż oczy oswoją się z nowymi warunkami, a potem rozejrzała się.

Pomieszczenie było puste. Nie widziała żadnego chłopaka, martwego czy też żywego. Znalazła jednak klucze. Pasek Ricky'ego leżał w rynience ściekowej pisuaru. Wyciągnęła go, mimo iż intensywny zapach lizolu przyprawił ją o ból głowy.

Zdjąwszy klucze z kółka, wyszła z toalety we względną świeżość widowni. Już po wszystkim; tak łatwo poszło.

Ricky wgramolił się na jeden z foteli i tkwił w nim bezwładnie, wyglądając jak obraz nędzy i rozpaczy. Usłyszał Birdy i podniósł wzrok.

--Mam klucze -- oznajmiła.

Coś stęknął. "Boże, wygląda na chorego" -- pomyślała. Nie mogła jednak już zdobyć się na współczucie. Najwidoczniej miał halucynacje, zapewne po jakichś środkach. Sam był sobie winien.

--Tam nikogo nie ma, Ricky.

--Co?

--W kiblu nie ma trupa, w ogóle nikogo nie ma. A przy okazji, co brałeś?

Ricky popatrzył na swoje rozedrgane dłonie.

--Nic nie brałem. Szczerze.

--Kretyn -- powiedziała. Mogła podejrzewać, że robi ją w konia, tyle że takie kawały nie były w jego stylu. Pod tym względem Ricky miał w sobie coś w purytanina; to było jedną z jego zalet.

--Potrzebujesz lekarza?

Potrząsnął głową, nadąsany.

--Jesteś pewien?

--Powiedziałem: nie! -- warknął.

--OK, ja proponowałam.

Szła już do wyjścia, mijając rzędy foteli. Mamrotała coś pod nosem. Przy drzwiach do foyer zatrzymała się.

--Zdaje się, że mamy nieproszonego gościa -- zawołała do Ricky'ego. -- Ktoś bawił się naszym telefonem. Popilnujesz przy drzwiach, aż zawołam gliny?

--Za minutę.

Ricky siedział w niepewnym świetle lamp i zastanawiał się. Skoro Birdy twierdziła, że chłopaka tam nie ma, nie było powodu w to wątpić. Najlepiej byłoby samemu to sprawdzić. Zyskałby pewność, że przeżył drobne zaburzenie rzeczywistości pod wpływem jakiegoś kiepskiego towaru, poszedłby do domu, walnął się spać i zbudził około południa wyleczony. Nie miał jednak ochoty pakować się do tej śmierdzącej nory. A jeżeli to ona się myliła, miała zaburzenia? Czyż nie ma czegoś takiego jak złudzenie normalności?

Z trudem zwał się z fotela, minął przejście i pchnął drzwi toalety. Wewnątrz było stosunkowo ciepło, ale nie na tyle, by nie mógł się przekonać, że nie ma tam żadnych burz piaskowych, martwych dzieciaków, rewolwerowców ani nawet kawalka zabląkanego chwastu. "Ten mój umysł to dopiero coś -- pomyślał. -- Stworzyć tak realistyczny alternatywny świat.

Cudowny trik. Szkoda, że nie posłużył czemuś lepszemu, a tylko wystraszył mnie jak diabli. Czasem się wygrywa, czasem przegrywa."

I wtedy zobaczył krew. Na kafelkach. Smugę krwi, zbyt wielką jak na jedno rozwalone ucho. Ha! Nie wymyślił sobie tego wszystkiego. Widział krew, widział ślady butów; wszystko, co dotąd uważał za urojenia, wydarzyło się naprawdę, O Jezu, co jest właściwie gorsze -- wiedzieć czy nie wiedzieć? Czyż nie lepiej byłoby się ludzić myśląc, że to był tylko kiepski odlot, niż znać prawdę, mieć świadomość swoich nikłych szans wobec mocy, zdolnej przekształcić świat?

Ricky przyjrzał się smudze krwi i idąc jej tropem, przeciął toaletę, zatrzymując się pod kabiną, która podczas owej burzy musiała się znajdować na lewo od niego. Teraz drzwi były zamknięte, dopiero teraz. Morderca, kimkolwiek był, ukrył w niej chłopaka. Ricky nie musiał nawet zaglądać do środka.

--OK -- powiedział. -- Tu cię mam.

Pociągnął za klamkę. Drzwi otworzyły się i zobaczył chłopaka, rozpartego na klozecie, z szeroko rozstawionymi nogami i wiszącymi bezwładnie rękami. Wydłubano mu oczy. Po chamsku, bez chirurgicznej precyzji. Wypchnięto je, zostawiając na policzkach strzępy mięśni.

Ricky zatkał dłonią usta, mówiąc sobie, że nie rzygnie. Żołądek buntował się, ale posłuchał rozkazu. Mężczyzna puścił się pędem w kierunku wyjścia, jakby się obawiał, że trup wstanie i zażąda zwrotu pieniędzy za bilet.

--Birdy... Birdy...

Ta tłusta dziwa myliła się, myliła się na całego. Była tu śmierć i jeszcze coś gorszego.

Ricky wyrwał się z kibla prosto w czeluść widowni.

Światła, osłonięte abażurami w stylu Art Deco, tańczyły, pelgały jak płomyki tuż przed wygaśnięciem. Ciemności by nie zniósł, zwariowałby.

Nagle odnalazł w owym migotaniu coś znajomego, coś, czego nie umiał nazwać. Przez chwilę stał w przejściu, beznadziejnie zagubiony.

I wtedy usłyszał ten głos. Choć był pewien, że to nadchodzi śmierć, podniósł wzrok.

--Halo, Ricky -- powiedziała, idąc ku niemu wzdłuż rzędu E. To nie była Birdy. Nie, Birdy nigdy nie nosiła przejrzystych białych sukienek, nie miała zmysłowych warg, tak pięknych włosów czy oczu obiecujących taką słodycz. Szła ku niemu Monroe, przeklęta róża Ameryki.

--Nie powiesz mi cześć? -- zbeształa go łagodnie.

--...er...

--Ricky, Ricky, Ricky. Po tym wszystkim.

"Po tym wszystkim?" Co chciała przez to powiedzieć?

--Kim jesteś?

Obdarzyła go promiennym uśmiechem.

--Tak jakbyś nie wiedział.

--Nie jesteś Marylin. Marylin nie żyje.

--W filmach nikt nie umiera, Ricky. Wiesz to równie dobrze, jak ja. Zawsze można raz jeszcze przewinać celuloidową taśmę...

Z tym właśnie skojarzyło mu się migotanie światła, z ruchem taśmy w projektorze; z klatkami, gnającymi jedna za drugą; z iluzją życia, stworzoną z doskonałego ciągu maleńkich zgonów.

--...i oto znów jesteśmy, znów rozmawiamy, znów śpiewamy. -- Wybuchnęła śmiechem, przypominającym brzęk lodu w szklance. -- Nigdy nie mylimy tekstów, nie starzejemy się, nie gubimy rytmu...

--Ty nie istniejesz -- przerwał jej Ricky.

Zdawała się być rozczarowana tym stwierdzeniem, tak jakby czepiał się drobiazgów.

Doszła już do końca rzędu i stała teraz nie dalej niż o trzy stopy od Ricky'ego. I z tej odległości iluzja była równie pełna i oszołamiająca. Zapragnął ją posiąść, tutaj, w przejściu. I co, do cholery, nawet jeśli była fikcją? I fikcje dają się pieprzyć, jeśli tylko nie zależy ci na małżeństwie.

--Pragnę cię -- oznajmił, zdumiony własną śmiałością.

--I ja cię pragnę -- odpowiedziała, co wprawilo go w jeszcze większe osłupienie. -- Prawdę mówiąc, potrzebuję cię. Jestem bardzo słaba.

--Słaba?

--Wiesz, niełatwo być obiektem westchnień. Odczuwasz, że trzeba ci tego coraz bardziej. Trzeba ludzi, którzy na ciebie patrzą. W dzień i w nocy.

--Ja patrzę.

--Czy jestem piękna?

--Jesteś boginią, kimkolwiek jesteś.

--Jestem twoja, oto, kim jestem.

Doskonała odpowiedź. Definiowała siebie w odniesieniu do niego. Jestem funkcją ciebie, stworzona z ciebie dla ciebie. Najdoskonalsza fantazja.

--Nie przestawaj na mnie patrzeć, Ricky, patrz na mnie wiecznie. Potrzebuję twoich rozkochanych spojrzeń. Nie mogę bez nich żyć.

Im dłużej na nią patrzył, tym wyraźniej ją widział. Migotanie ustało. Wszędzie panował spokój.

--Czy chcesz mnie dotknąć? Myślał, że nigdy o to nie zapyta.

--Tak -- odpowiedział.

--To dobrze -- uśmiechnęła się kokieteryjnie.

Wyciągnął rękę, by dotknąć jej ciała. W ostatniej chwili wdzięcznie umknęła spod jego palców i śmiejąc się podbiegła w kierunku ekranu. Ochoczo podążył za nią. Skoro chciała się bawić, jego też to urządziło.

Wpadła w ślepy zaułek. Ten kraniec sali nie dawał żadnej szansy ucieczki i sądząc z gestów zachęty, jakie mu posyłała, doskonale o tym wiedziała. Odwróciła się do niego i przywarła do ściany, rozchylając nieco nogi.

Kiedy dzieliło ich już tylko parę jardów, wiatr znikąd zadarł jej sukienkę. Podczas gdy fala jedwabiu podnosiła się, odsłaniając jej ciało, Marylin śmiała się, mrużąc oczy. Nic nie miała pod spodem.

Ricky raz jeszcze wyciągnął rękę; tym razem nie bronila się. Sukienka uniosła się nieco wyżej. Nie mogąc oderwać wzroku, wpatrywał się w to, co dotąd było dla niego zagadką, w futerko, o którym marzyły miliony.

I widział tam krew. Niewiele, kilka odcisków palców na wewnętrznej stronie uda. Nieskazitelnego piękno jej skóry zostało naruszone. Ale Ricky'emu to nie przeszkadzało i dopiero, kiedy poruszyła lekko biodrami i wargi rozchylili się, pojął, że źródłem wilgotnego

połysku w jej wnętrzu nie były soki jej ciała, ale coś zupełnie innego. Ledwie jej mięśnie drgnęły, krwawe oczy, które skryła wewnątrz swego ciała, wpily się w Ricky'ego.

Odkryła w jego spojrzeniu, że nie schowała ich dość głęboko, ale gdzież dziewczyna, skrywająca swą nagość jedynie pod cienką zasłoną, mogła ukryć owoce swej pracy?

--Ty go zabiłaś -- powiedział Ricky, wciąż wpatrzony w wargi i gapiące się spomiędzy nich oczy. Obraz był tak sugestywny, że nawet nie budził w nim przerażenia. Było w tym coś z perwersji; odraza, zamiast gasić pożądanie, jeszcze je podsycala. Co z tego, że to morderczyni? Była przecież legendą.

--Kochaj mnie -- powiedziała. -- Kochaj mnie wiecznie.

Podszedł do niej, wiedząc doskonale, że idzie po śmierć. Ale śmierć to sprawa względna, nieprawdaż? Ciało Marylin było martwe, ale tu żyła -- w jego mózgu czy też w rozwibrowanej matrycy powietrza, a może i tu, i tam. Nieważne, grunt, że mógł być z nią.

Objął ją, odpowiedziała mu tym samym. Zaczęli się całować. To przyszło łatwo. Nie wyobrażał sobie, że jej wargi są aż tak delikatne. Tak bardzo chciał w nią wejść, że czuł ból w kroczu.

Ręce cienkie niczym gałązki owinęły się wokół jego pasa, znalazł się w objęciach rozkoszy.

--Uczynisz mnie silną -- powiedziała. -- Tylko patrz na mnie. Umrę, jeśli nikt nie będzie na mnie patrzył. Tak to już jest z iluzjami.

Obejmowała go coraz mocniej. Ręce splecione na jego plecach nie miały już nic wspólnego z delikatnymi gałązkami. Było mu niewygodnie. Zaczął stawiać opór.

--Nie ma sensu -- zagruchala mu w ucho. -- Należysz do mnie.

Odwrócił głowę, by spojrzeć na to, co go obejmowało. Zdumiony, stwierdził, że ręce nie są już rękami, ale jakąś zaciskającą się pętlą, pozbawioną palców, dłoni i przegubów.

--O Jezu! -- zawołał.

--Popatrz na mnie, chłopcze -- powiedziała. Słowom zabrakło delikatności. To już nie Marylin trzymała go w ramionach; coś całkowicie obcego. Obręcz wciąż się zaciskała, wypierając z płuc Ricky'ego oddech, powietrze, którego, niemal zgnieciony, nie mógł ponownie zaczerpnąć. Kręgosłup trzeszczał, a race bólu przeszywały całe ciało, eksplodując w oczach wszystkimi kolorami.

--Powinieneś był wyjechać z miasta -- zauważyła Marylin. Pod doskonałymi łukami jej kości policzkowych pojawiła się twarz Wayne'a. Kowboj patrzył na niego ze wzgardą, ale to trwało tylko moment, gdyż i ten obraz pękł, a za fasadą sławnych twarzy pojawiło się coś nowego. Ricky zadał ostatnie w swym życiu pytanie:

--Kim jesteś?

Zwycięzca nie odpowiedział. Karmił się jego fascynacją. Ofiara nie odwróciła wzroku, nawet gdy z jego ciała wylonily się niczym rogi ślimaka, dwa bliźniacze organy, może anteny, wydłużające się na kształt sond, dążące ku jego głowie.

--Potrzebuję ciebie -- powiedział w końcu ów stwór szorstkim, pozbawionym delikatności głosem, nie mającym nic wspólnego z Wayne'em czy Monroe; głosem opryszka. -- Jestem kurewsko słaby. Życie w tym świecie wyczerpuje mnie.

Czerpał z Ricky'ego, żywił się jego spojrzeniami, początkowo pełnymi uwielbienia, teraz -- przerażenia. Ricky czuł, jak stwór wysysa mu życie przez oczy, upajając się obserwowaniem

jego duszy, którą odsłaniał ginąc.

Był pewien, że jest o krok od śmierci, gdyż od dłuższego czasu nie udawało mu się nabrać tchu. Sądził, że to trwa już całe minuty, nie mógł jednak tego potwierdzić.

Kiedy tak próbował wyłowić bicie swego serca, ślimacze rogi okrążyły jego głowę i wbily się w uszy. Nawet w tej sytuacji było to obrzydliwe; chciał wrzeszczeć, by przestały. "Palce" jednak wcisnęły się do wnętrza głowy, rozsadzając bębunki. Niczym natrętne tasiemce penetrowały jego mózg. Wciąż jeszcze żył, nadal wpatrywał się w swego kata i czuł, jak palce tamtego znajdują gaiki oczne i wypychają je na zewnątrz.

Oczy Ricky'ego wybaluszyły się nagle i wyskoczyły z orbit, opuściły oczodoły. Przez chwilę, kiedy staczały się po policzkach, oglądał świat pod innym kątem. Widział swoją wargę, podbródek.

To przerażające doświadczenie na szczęście trwało krótko. Potem wątek Ricky'ego, ciągnący się od trzydziestu siedmiu lat, urwał się w pół rolki, a on sam zatonął w ramionach fikcji.

Uwiedzenie i zabicie Ricky'ego nie trwało dłużej niż trzy minuty. W tym czasie Birdy wypróbowała wszystkie klucze i nie zdołała zmusić żadnego do otwarcia drzwi. Gdyby nie jej upór, zapewne wróciłaby na widownię, prosząc o pomoc. Jednakże wszelkie mechanizmy, nawet zamki i klucze, stanowiły wyzwanie, rzucone jej kobiecości. Nie znosiła owej instynktownej wyższości, jaką mężczyźni okazywali jej płci, gdy tylko chodziło o silniki, systemy i procesy logiczne. Za żadną cholere nie zamierzała wrócić do Ricky'ego skowycząc, że nie udało się jej otworzyć tych piekielnych drzwi.

W chwili gdy zrezygnowała, Ricky pożegnał się z życiem. Przyszedł jego kres. Puściła wiązanek pod adresem kluczy i przyznała się do klęski. Ricky miał dryg do tych rzeczy, dryg, którego nigdy nie zdołała złapać. Jego fart. Teraz pragnęła tylko wydostać się na zewnątrz. Odzywała się klaustrofobia. Pozostawanie w zamknięciu, podczas gdy ktoś nieznany czaił się na piętrze, nie budziło w niej zachwyty.

I jakby jeszcze tego było mało, światła foyer wysiadły, z każdym mignięciem były coraz słabsze.

"Co tu się, do cholery, dzieje?"

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, zgasły wszystkie lampy, a zza drzwi sali projekcyjnej dobiegł jakiś szelest. Przez szczelinę przesączało się światło, silniejsze niż z latarki. Pulsujące, różnobarwne.

--Ricky? -- rzuciła w ciemność. Zdawało się, że mrok połknął to słowo. Może tak, a może po prostu nie wierzyła, że to Ricky, i coś jej nakazało, skoro już musiała zawołać, zniżyć głos do szeptu. \

--Ricky...

Skrzydła wahadłowych drzwi poruszyły się lekko, jakby z drugiej strony coś na nie napierało.

--...czy to ty?

Powietrze było naelektryzowane; kiedy szła ku drzwiom, spod jej butów strzelały iskry, a włosy na rękach zjeżyły się. Światło po tamtej stronie drzwi z każdym jej krokiem stawało się coraz jaśniejsze.

Przystanęła, zastanawiając się, co właściwie robi. Wiedziała, że to nie Ricky. Może to ów

tajemniczy rozmówca -- mężczyzna czy też kobieta -- jakiś martwooki maniak z odjazdem na punkcie prześladowania tęgich kobiet?

Cofnęła się do kasy, wciąż pośród iskier, i-sięgnęła pod blat po Przypał, żelazny pręt, który chowała tam od dnia, kiedy kasę oblegało trzech potencjalnych rabusiów o wygolonych głowach, uzbrojonych w elektryczne wiertarki. Rozwrzeszczała się wówczas i zbiegli, ale przysięgła sobie, że następnym razem prędzej stłucze któregoś albo wszystkich do nieprzytomności niż da się sterroryzować.

Uzbrojona, znów stanęła pod drzwiami.

Otwarły się nagle i niesamowity ryk wypełnił jej umysł. Wyraźnie rozróżniała słowa:

--Oto patrzy na ciebie, dzieciaku.

Drzwi wypełniało oko, jedno ogromne oko. Hałas był ogłuszający. Oko mrugało, wielkie, wilgotne i leniwe, wpatrywało się w stojącą przed nim lalkę z wyniosłością właściwą Jedynemu Prawdziwemu Bogu, stworzycielowi celuloidowej Ziemi i celuloidowego Nieba.

Birdy była przerażona, żadne inne słowo nie mogło oddać jej stanu. Nie było tu miejsca na niepokój typu "Uważaj, tam z tyłu!", nie było miejsca na ekscytujące oczekiwanie czy na rozkoszny dreszczyk. To był prawdziwy strach, strach z głębi trzewi, niczym nie upiększony, ohydny jak gówno.

Usidlona nieustępliwym spojrzeniem owego oka, słyszała własne skomlenie; nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Jeszcze chwila i upadnie na chodnik tuż pod drzwiami, i to już z całą pewnością będzie koniec.

I wtedy przypomniała sobie o Przypale. Kochany Przypał. Oburącz uniosła pręt i wymachując nim, pobiegła w kierunku oka.

Jeszcze go nie dopadła, a już się zamknęło. Światło zgasło i Birdy znów miała wokół siebie ciemność. Po owej wizji pozostało pieczenie siatkówek.

Z ciemności doleciały do niej słowa:

--Ricky nie żyje.

Tylko tyle. Ale było to gorsze niż tamto oko, niż głosy duchów Hollywood, gdyż jakimś cudem wiedziała, że usłyszała prawdę. Kino zamieniło się w rzeźnię. Ricky miał rację mówiąc, że chłopak Lindi Lee, Dean, nie żyje. Teraz i jego spotkał ten sam los. Wszystkie drzwi były pozamykane, gra dotyczyła zatem już tylko dwóch osób. Jej i tamtego.

Rzuciła się ku schodom, nie mając jeszcze planu działania, pewna jednak, że dalszy pobyt w foyer równał się samobójstwu. Ledwie dotknęła stopą najniższego stopnia, wahadłowe drzwi ponownie otwarły się z westchnieniem i coś szybkiego i migoczącego ruszyło jej śladem. Podczas gdy bez tchu pięła się po schodach, przeklinając swą nadwagę, trzymało się o krok lub dwa za nią. Jaskrawe błyski, emanujące z jego ciała, przelatowały obok niej. Była pewna, że przeciwnik szykuje kolejną sztuczkę.

Wpadła wreszcie na piętro, nadal nie mogąc uwolnić się od owego natrętnego wielbiciela. Korytarz, który miała przed sobą, oświetlony jedną, lepka od brudu żarówką, nie wyglądał zachęcająco. Ciągnął się przez całą długość kina, dając dostęp do kilku magazynów wypełnionych śmieciem: plakatami, okularami do projekcji trójwymiarowych, zapleśniałymi fotosami. Była pewna, że w jednym z magazynów znajduje się wyjście na wypadek pożaru. Tylko w którym? Tu na górze była tylko raz, i to przed dwoma laty.

--Cholera. Cholera. Cholera -- powtarzała. Podbiegła do pierwszego z magazynów. Drzwi

były zamknięte. Załomotała w nie na znak protestu. Nie ustąpiły. Tak samo drugie. I trzecie. Nawet gdyby była w stanie przypomnieć sobie, gdzie należało szukać wyjścia, wyważenie drzwi przyszłoby jej z trudem. Używając Przypału, mogła to załatwić w dziesięć minut, tyle że tuż za jej plecami czaiło się tamto Oko. Cóż tu mówić o dziesięciu minutach -- nie miała nawet dziesięciu sekund.

Pozostawało tylko jedno: konfrontacja. Odwróciła się na pięcie, modląc się w duchu, gotowa stanąć twarzą w twarz z klatką schodową i nieznanym prześladowcą. Korytarz był pusty.

Przyjrzała się smutnemu ciągowi przepalonych żarówek i łuszczącej się farbie, pragnąc chyba odkryć tam coś niewidzialnego, ale przeciwnik nie stawiał jej czoła; znów był za nią. Za jej plecami ponownie rozbłysły jaskrawe światła, blask dał początek wizji i z całego korytarza zbiegły się ku dziewczynie niemal zapomniane, wspaniałe obrazy. Sceny z tysiąca filmów, spuszczone ze smyczy; każda przywoływała jedyne w swoim rodzaju skojarzenia. Birdy zaczynała już pojmować, z jakim to niesamowitym tworem ma do czynienia. Objawił się jej duch kina, syn celuloideu.

--Oddaj mi duszę -- powiedziało "Tysiąc gwiazd".

--Nie wierzę w istnienie duszy -- odpowiedziała zgodnie z prawdą.

--Oddaj mi zatem to, co oddajesz ekranowi, co każdy mu oddaje. Daj mi trochę miłości.

To dlatego wciąż przewijały się przed nią te sceny. Wszystkie przywoływały momenty, w których publiczność w magiczny sposób zespalała się z ekranem patrząc, patrząc i patrząc aż do bólu oczu. Sama to często robiła. Oglądała jakiś film i czuła, że wzruszył ją tak głęboko, iż niweczące iluzję napisy końcowe dostarczały niemal fizycznego cierpienia, jakby traciła coś z siebie, jakby jakąś część jej wewnętrznego "ja" ginęła wraz z bohaterami. Może tak właśnie było? Może powietrze unosiło ładunek jej pragnień i składało go gdzieś wraz z ładunkami innych serc, magazynowało w jakimś schowku, aż...

Aż do tej chwili. Do momentu narodzin dziecka ich zbiorowej emocji: technikolorowego uwodziciela, banalnego, durnego i urzekającego.

"W porządku -- pomyślała. -- Zrozumieć kata to jedno, a czym innym jest zmusić go, by nie dopełnił obowiązków wynikających z jego fachu."

Obrazy kreowane przez potwora spowijały ją nawet wtedy, gdy analizowała ową zagadkę. Nic na to nie mogła poradzić. Urocze migawki z żywotów, które przeżyła; twarze, które kochała. Gish w "Złamanej lili", Garland z pieskiem Toto u boku, obserwująca trąbę powietrzną nad Kansas, Astaire w "Panach w cylindrach", Welles w "Obywatelu Kane", Brando i Crawford, Trący i Hepburn -- ludzie tak zakorzenieni w sercach widzów, że nie potrzebowali nawet imion. O ileż wspanialej było oddawać się takim właśnie chwilom; widzieć tylko rozchylenie ust, a nie sam pocałunek; cios, a nie pojednanie; cień, a nie potwora; ranę, a nie śmierć.

Usidlił ją bez dwóch zdań. Zawładnął jej oczyma, przykuł ją do podłogi.

--Czy jestem piękny? -- spytał. Tak, był piękny.

--Czemu mi się nie oddasz?

Przestała myśleć, nie potrafiła już właściwie tego wszystkiego ocenić i nagle w natłoku wizji pojawiło się coś, co niczym uderzenie sprawiło, że znów była sobą. Dumbo! Gruby słonik. Jej gruby słonik. Właśnie to, gruby słonik, w którym widziała siebie.

Czar przyl. Odwróciła wzrok od potwora. Przez ułamek sekundy kącikiem oka widziała pod tym całym blichtrzem coś chorego i paskudnego. Kiedy była dzieckiem, wszystkie bachory z okolicy przeżywały ją Dumbo. Przez dwadzieścia lat żyła z tym idiotycznym, szarym koszmarem, nie mogąc się od niego uwolnić. Jego grube cielsko przypominało o jej własnej tuszy, jego smutne oczka -- o wyobcowaniu. Pomyślała o tym, jak garnał się do trąby swej matki, uznanej za Wściekłą Słonice, i zapragnęła zatłuc tego potwora, żerującego na sentymentach.

--To pierdolone łgarstwo! -- wypluła.

--Nie wiem, o czym mówisz -- zaprotestował.

--Co się więc pod tym kryje? Sądzę, że coś wrednego.

Światła zamigotały, parada zapowiedzi straciła swój rytm. Birdy dojrzała za świetlistą kurtyną inny kształt, mały i ciemny. Pełen wątpliwości. Wątpliwości i lęku przed śmiercią. Nawet na dziesięć kroków wyczułaby odór tego lęku.

--A jaki jesteś pod spodem? Zrobiła krok w jego kierunku.

--Co ukrywasz? No?

Znalazł w sobie głos. Ludzki i przerażony.

--Nic do mnie nie masz.

--Próbowałeś mnie zabić.

--Chcę żyć.

--Ja również.

Na krańcu korytarza zrobiło się ciemno, pojawił się zastarzały smród zgnilizny. Znała go, było w nim coś zwierzęcego. Zeszłej wiosny, jak tylko stopniały śniegi, na podwórzu za swym mieszkaniem znalazła szczątki zwierzęcia. Pieska lub kota, trudno to było określić. Podczas grudniowych śnieżyc ział przyniósł śmierć jakiemuś udomowionemu zwierzakowi. Szczątki padły ofiarą robaków, żółtawych, szarych i różowych -- pastelowa przynęta dla much, złożona z tysiąca ruchomych części.

Taki sam smród panował teraz w korytarzu. Może poza tymi urojeniami kryło się coś cielesnego?

Znalazłszy w sobie dość odwagi, wciąż nękana wizją Dumba, zbliżyła się do niewyraźnej sylwetki. Na wypadek, gdyby stwór próbował zrobić coś głupiego, uniosła w górę Przypał.

Deski pod jej stopami zatrzeszczały, ale była zbyt zainteresowana swoim łupem, by słuchać ich ostrzeżeń. Nadszedł czas, by dorwać tego zabójcę, potrząsnąć nim i wydusić zeń jego sekret.

Przeszli tak przez cały korytarz -- on się cofał, ona nacierała. Aż w końcu nie miał już żadnego wyjścia.

Nagle deski ustąpiły pod jej ciężarem. Runęła na parter w chmurze kurzu. Puściła Przypał i wyrzuciła ręce, by się czegoś złapać, ale wszystko było przeżarte przez robaki i kruszyło się jej w palcach.

Zwalila się niezgrabnie na coś miękkiego. Tu smród zgnilizny był bez porównania mocniejszy, wpychał jej żołądek do gardła. Wyciągnęła rękę, wszędzie było ślisko i zimno. Miała wrażenie, że wpadła do wnętrza częściowo wypatroszonej ryby. Przez deski pierwszego piętra przenikało niespokojne światło. Rozejrzała się, choć Bóg jeden wie, że tego nie chciała. Leżała pośród szczątków jakiegoś człowieka; ci, którzy żywili się jego ciałem, rozwlekli je

dokoła. Chciała wyc. Instynkt nakazywał jej zedrzeć spódnicę i bluzkę, klejącą się już od tej substancji, ale nie mogła zostać naga, nie w obecności syna celuloideu.

Przyglądał się jej z góry.

--Teraz już wiesz -- powiedział, przegrany.

--To ty...

--Tak, to ciało, które kiedyś zajmowałem. Nazywał się Barberio. Kryminalista, nie efektownego. Nigdy nie dążył do wielkości.

--A ty?

--Jego rak. Jestem tą jego częścią, która miała aspiracje, która pragnęła być czymś więcej niż tylko zwyczajną komórką. Jestem chorobą, która marzy. Nic dziwnego, że kocham kino.

Syn celuloideu, nachylony nad krawędzią rozbitej podłogi, płakał. Teraz, kiedy nie miał już powodu, by roztaczać filmowe wizje, widać było jego prawdziwe ciało.

Był obrzydliwy -- nowotwór utuczony na zaprzepaszczonych emocjach. Obly pasożyt o ciele niczym surowa wątroba. Na końcu odwłoku na moment uformowały się pofałdowane, bezzębne usta, które oznajmiły:

--Zamierzam znaleźć nowy sposób na zjedzenie twojej duszy.

Zwalił się w dół, spadł tuż obok Birdy. Pozbawiony mieniącego się, technicolorowego płaszcza, był wielkości małego dziecka. Kiedy wysunął czulek, by jej dotknąć, odsunęła się, ale niewiele miała szans na unik. Nisza była wąska i w części zablokowana czymś, co wyglądało na połamane krzesła i porzucone modlitewniki. Jedynym wyjściem było to, przez które się tu dostała i które znajdowało się piętnaście stóp wyżej.

Rak ostrożnie dotknął jej stopy. Poczula mdłości. Nic nie mogła na to poradzić, choć wstydziła się reagować tak prymitywnie. Skręcało ją jak nigdy dotąd.

--Idź do diabła! -- powiedziała, kopiąc go w łeb. Wciąż się jednak zbliżał. Obrzydliwa masa wzięła jej nogi. Kiedy wpelzał na nią, czuła, jak przelewają się jego wnętrzności.

Napór jego masy na brzuch i podbrzusze dostarczył jej niemal seksualnych doznań. Dala się ponieść ciągowi skojarzeń i przemknęło jej przez myśl odrażające pytanie, czy taki stwór może mieć także ambicje erotyczne? Coś w natarczywym przekształcaniu się jego macek, dotykających jej skóry, w delikatnym wnikanii pod bluzkę, w wyciąganiu się, by sięgnąć do jej warg, mogło kojarzyć się tylko z pożądaniem. "Niech się zbliży -- pomyślała. -- Niech się tylko zbliży, skoro musi."

Pozwoliła mu pełznąć, aż cały ułożył się na jej ciele; zwalczyła wszelkie pokusy, by go zrzucić -- a potem zatrzasnęła pułapkę.

Przetoczyła się.

Kiedy ostatnio sprawdzała swoją wagę, ważyła dwieście dwadzieścia pięć funtów, a od tego czasu zapewne jeszcze przytyła. Przygniotła potwora. Zanim zdołał pojąć, co i dlaczego się dzieje, już z porów jego skóry zaczął się sączyć obrzydliwy płyn.

Rak podjął walkę, ale nawet wijąc się, nie mógł wyleźć spod Birdy. Wbiła weń paznokcie i zaczęła rozdzierać jego boki, wyrrywając całe kawały gąbczastej materii i uwalniając coraz więcej ciecży. Gniewne wycie przeszło w skowyt, świadczący o bólu. Po krótkiej chwili choroba pełna marzeń zrezygnowała z walki.

Birdy jeszcze przez jakiś czas leżała nieruchomo. To, co było pod nią, zamarło.

W końcu wstała. Nie sposób było stwierdzić, czy nowotwór jest martwy. Zgodnie z tym, co wiedziała, nigdy nie był żywą istotą. Poza tym nie zamierzała go znów dotykać. Lepiej już było zmagać się z samym diabłem niż po raz drugi brać w ręce raka Barberia.

Popatrzyła w górę, na korytarz; była zrozpaczona. Czyż ma tu umrzeć wzorem Barberia? W chwilę później jednak, kiedy znów spojrzała na przeciwnika, zauważyła za nim kratkę. Póki na dworze panowała noc, nie było jej widać. Teraz świtało i przez pręty prześlizgiwały się promienie słońca.

Nachyliła się nad kratką, pchnęła ją mocno i nagle do wnętrza wdarł się dzień. Ciężko było przecisnąć się przez tak mały otwór, poza tym Birdy wciąż miała wrażenie, że monstrum chwyta ją za nogi, ale w końcu wydostała się na zewnątrz, mając tylko nieco podrapane piersi.

Zapuszczone podwórze nie zmieniło się zbyt wiele od wizyty Barberia, bardziej tylko zarosło pokrzywami. Birdy spędziła na nim jeszcze chwilę, wdychając świeże powietrze, a potem ruszyła w kierunku płotu i znajdującej się za nim ulicy.

Idącą do domu, tłustą kobietę o błędnym wzroku i cuchnącym ubraniu szerokim łukiem omijali zarówno gazeciarze, jak i psy.

III. SCENY USUNIĘTE PRZEZ CENZURĘ

To nie był koniec.

Policja zjawiała się w "Movie Palace" tuż po dziewiątej trzydzieści. Birdy przyjechała wraz z nimi. Rewizja ukazała okaleczone ciała Deana i Ricky'ego, a także szczątki "Sonny'ego" Barberia. Na piętrze, w rogu korytarza, znaleziono wiśniowy but.

Birdy nie odezwała się słowem, ale swoje wiedziała. Lindi Lee nie opuściła kina.

Bileterkę oskarżono o zamordowanie dwóch osób, choć nikt właściwie w to nie wierzył i uniewinniono z braku dowodów. Wyrokiem sądu została skierowana pod opiekę psychiatrów na okres nie krótszy niż dwa lata. Ta kobieta mogła nie być morderczynią, ale ewidentnie była obłąkana. Niczyjej reputacji nie służą opowieści o chodzących nowotworach.

W początkach następnego lata Birdy zrobiła sobie tygodniową głodówkę. Uwolniła swe ciało głównie od nadmiaru wody, ale to wystarczyło, żeby przekonać jej przyjaciół, iż pragnie uporać się ze swą tuszą.

W następnym weekend zniknęła na dwadzieścia cztery godziny.

Birdy znalazła Lindi Lee w opuszczonym domu w Seattle. Nie trudno było trafić na jej ślad: w owych dniach biedna Lindi już coraz słabiej panowała nad sobą, a co dopiero mówić o unikaniu potencjalnych prześladowców. Tak się jednak złożyło, że rodzice dziewczyny już przed kilkoma miesiącami zrezygnowali z poszukiwań. Tylko Birdy nie ustępowała; zapłaciła pewnemu detektywowi za odnalezienie Lindi i w końcu jej cierpliwość została nagrodzona widokiem kruchej ślicznotki -- bardziej kruchej niż przedtem, ale wciąż pięknej -- siedzącej w pustym po-

kój u. Powietrze roiło się od much. Na środku podłogi znajdowała się kupa, być może ludzka.

Birdy jeszcze przed otwarciem drzwi wyciągnęła pistolet. Lindi Lee, wyrwana z zadumy, podniosła wzrok i uśmiechnęła się do gościa. To powitanie trwało zaledwie moment; pasożyt, okupujący ciało Lindi, rozpoznał Birdy, zobaczył broń i pojął, co zamierza zrobić.

--No cóż -- powiedział wstając, by przyjąć gościa.

Oczy Lindi Lee pękły, pękły jej usta, pochwa i tyłek, uszy i nos; wszystko pękło i nowotwór wylał się z niej obrzydliwymi różowymi strugami. Wyciekł z jej bezmlecznych piersi, ze skaleczenia na kciuku, z siniaka na udzie. Ze wszystkich otworów Lindi Lee.

Birdy podniosła pistolet i oddała trzy strzały. Rak skoczył ku niej, zachwiał się i runął. Kiedy znieruchomiał, Birdy spokojnie wyjęła z kieszeni buteleczkę z kwasem, zdjęte nakrętkę i wylała parującą ciecz zarówno na pozostałości po raku, jak i po dziewczynie. Nowotwór rozpuścił się bez jednego krzyku. Zostawiła go tam, skapanego w słońcu i duszących oparach.

Spełniwszy swoją powinność, wyszła na ulicę i ruszyła swoją drogą, w duchu planując, że będzie żyła jeszcze długo po tym, jak pojawią się napisy, zwiastujące koniec owej szczególnej komedii.

KRÓL TRUPIOGŁOWY

(RAWHEAD REX)

Spośród wszystkich zwycięskich armii, jakie przez stulecia tratowały uliczki Zeal, najwięcej osiągnęła wątła struga weekendowiczów; cisnęła wreszcie wioskę na kolana. Ani rzymskie legiony, ani hordy Nor ma no w, ani też koszmary wojny domowej nie zmusiły jej do rezygnacji ze swej tożsamości na rzecz okupanta. Zeal, które przetrwało wieki krwi i terroru, ugięło się dopiero przed turystami -- nowymi barbarzyńcami, zbrojnymi w uprzejmość i grubą gotówkę.

Wioska stanowiła idealny cel inwazji. Usytuowana czterdzieści mil od Londynu, pośród typowych dla hrabstwa Kent sadów i plantacji chmielu, leżała na tyle daleko od stolicy, że warto było w niej odetchnąć, ale i na tyle blisko, że w razie złej pogody szybko można było uciec. We wszystkie weekendy pomiędzy majem a październikiem stawała się rajem dla strudzonych londyńczyków. W każdą słoneczną sobotę zalewali wioskę, przywożąc swoje psy, plastikowe piłki i tłumy dzieci. Wypuszczali je rozwrzeszczanymi bandami na okoliczne łąki, a sami zasiadali "Pod Wysokim Mężem" i nad szklanicami ciepłego piwa snuli opowiadki spod znaku czterech kólek.

Mieszkańcy Zeal ze swej strony nie trapiли się zbytnio weekendowiczami, tamci przynajmniej nie uciekali się do rozlewu krwi. Jednakże ów brak agresywności czynił tę Inwazję bardziej zdradliwą.

Zmęczeni miastem ludzie zaczęli stopniowo odciskać na wiosce swe początkowo niezauważalne, lecz trwale piętno. Wielu z nich zamarzyło o domu na wsi, urzekły ich kamienne chaty pośród rosnących dębów, zachwyciły gołębie na przykościelnych cisach. "Nawet powietrze -- mawiali, oddychając głęboko. -- Nawet powietrze jest tu świeższe. Pachnie Anglią".

Najpierw kilku, a potem coraz więcej zaczęło dogadywać się z miejscowymi i wynajmować samotne stodoły i opustoszałe domy, jakich pełno było w Zeal i na jego peryferiach. W każdy słoneczny weekend widać było, jak stoją wśród gruzów i chaszczki planując, jak rozbudują kuchnię albo gdzie ustawią toalety. I choć wielu z nich, wróciwszy do komfortu Killburn lub St. John's Wood, rezygnowało z przeprowadzki, co roku jeden czy dwaj dobijali targu z kimś ze wsi.

I tak mijaly lata, a rdzennych mieszkańców Zeal zabierała starość, otwierając drogę cywilizowanej dziczy. Okupacja była subtelna, ale każde baczne oko natychmiast wychwytywało zmiany. Dostrzegało się je w gazetach, jakie zaczęła sprowadzać poczta -- który z mieszkańców Zeal kupował sobie egzemplarz "Harper's and Queen" albo kartkował "Times Literary Supplement"? Świadectwo nowego stanowiły również nowe, jaskrawe auta, tłoczące się na wąskiej ulicy, szumnie zwanej High Road, która stanowiła kręgosłup osady. Czuło się to również, słuchając plotek "Pod Wysokim Mężem", gdzie sprawy przyjezdnych stały się ważnym tematem dyskusji i drwin.

W istocie, z czasem najeżdźcy znaleźli sobie jeszcze trwalsze miejsce w sercu Zeal, w miarę jak wieczne demony ich gorączkowego życia, Rak i Zawał Serca, zbierały swe żniwo, dopadając swe ofiary nawet w tej nowo odkrytej krainie. Podobnie jak niegdyś Rzymianie, jak Normanowie i wszyscy inni zdobywcy, i ci niedzielni goście wiązali się ściśle z ziemią, nie budując na niej, ale spoczywając pod nią.

Druga dekada tamtego września, ostatniego września w dziejach Zeal, była wyjątkowo

dżdżysta.

Thomas Garrow, jedyny syn nieodżałowanego Thomasa Garrowa, powodowany zdrową chęcią pracy, w pocie czoła kopał dół w narożniku Trzyakrowego Pola. Poprzedniego dnia, we czwartek, nad wsią przeszła gwałtowna burza i ziemia namokła. Oczyszczenie gruntu pod przyszłoroczną orkę nie było tak łatwe, jak się Thomas spodziewał, ale poprzysiął sobie, że do końca tygodnia skończy z tym polem. Usuwanie kamieni i wybieranie piachu z przestarzałych maszyn, które jego ojciec, leniwy skurczybyk, porzucił, gdzie popadło, pozwalając im rdzewieć, było ciężką harową. "To musiały być naprawdę niezłe lata" -- pomyślał Thomas. Cholernie dobre lata, jeśli jego ojciec mógł sobie pozwolić na marnowanie tak dobrego sprzętu. Jeżeli już o tym mowa, mógł sobie też pozwolić na pozostawienie najlepszej części trzech akrów nie zaoranej i to dobrej, zdrowej gleby. A w końcu był to Ogród Anglii, ziemia na wagę złota. Pozostawienie trzech akrów odlogiem stanowiło luksus, na który w obecnych ciężkich czasach nikt nie mógł sobie pozwolić. Jezu, jaka to była ciężka robota: praca, do której ojciec pędził go od małego i którą od tamtej pory darzył najgłębszą nienawiścią. Ale trzeba to było zrobić.

Dzień zaczął się dobrze. Traktor po remoncie generalnym spisywał się lepiej, a poranne niebo gęste było od mew, przylatujących tu znad wybrzeża w poszukiwaniu świeżo wykopanych robaków. Dotrzymywały mu jazgotliwego towarzystwa, ich bezczelność i temperament zawsze go bawiły. Później jednak, kiedy po obiedzie w "Pod Wysokim Mężem" wrócił na pole, wszystko zaczęło iść na opak. Najpierw zaczął przerywać silnik -- ta sama usterka, za której usunięcie Thomas wyłożył właśnie dwieście funtów -- a potem, gdy tylko udało mu się znów zabrać do pracy, natrafił na glaz.

Nie robił wrażenia, wystawał z ziemi na stopę, widoczna część miała może jard średnicy, powierzchnia była gładka i naga. Ani śladu mchu, jedynie kilka rys, które kiedyś mogły tworzyć napis. Może wyznaczenie miłosne, ale raczej coś w stylu: "Był tu Kilroy", a najprawdopodobniej data i nazwisko. Czymkolwiek kiedyś był ten glaz, pomnikiem czy kamieniem milowym, teraz stał się zawalidrogą. Thomas będzie musiał go wykopać, inaczej w przyszłym roku straci dobre trzy jardy ziemi ornej. Nie było szans, by obok glazu tej wielkości przejechać plugiem.

Thomas nie mógł pojąć, jakim cudem to cholerstwo przeleżało na polu tyle czasu i nikt nie spróbował go usunąć. Z drugiej strony jednak, od ostatnich zbiorów z Trzyakrowego Pola minęło mnóstwo czasu z pewnością nie miały one miejsca podczas trzydziestu sześciu lat jego żywota, a może nawet -- jak przyszło mu teraz do głowy -- nie za życia jego ojca. Z jakiegoś powodu ta polać ziemi Garrowów leżała odlogiem od wielu lat, może więc i od pokoleń. Pod czaszką Thomasa błąkało się niejasne wrażenie, że ktoś, zapewne ojciec, stwierdził kiedyś, iż w tym właśnie miejscu nigdy nie wyrośnie zboże. Oczywiście nonsens. Przecież pokrzywy i powoje rosły na tych przeklętych trzech akrach gęściej i bujniej niż gdziekolwiek indziej. Nie istniał więc najmniejszy powód, dla którego nie miałyby tu rosnąć zboże. Może nawet sad, choć sad wymagałby więcej cierpliwości i miłości niż Thomas zdołałby z siebie wykrzesać. Cokolwiek zdecydowałby się tutaj posadzić, na tak bogatej glebie będzie rosło lepiej niż gdzie indziej, a on dorobi się trzech akrów żyznej ziemi, wzbogacającej niepewne dochody.

Jeśli tylko zdoła wykopać ten cholerny glaz.

Przeszło mu przez myśl, że mógłby wynająć jedną z koparek, pracujących na budowie na północnym skraju wioski, po to jedynie, by tu podjechała i rozwiązała problem jednym kłapieniem metalowych szczęk. Pozbyłby się kamienia w dwie sekundy. Był jednak zbyt

dumny, by biec po pomoc, ledwie pojawiły się pierwsze problemy. Zresztą, nie tak wiele było tu do roboty. Sam go wykopie, tak jak zrobiłby to jego ojciec. To właśnie postanowił. Teraz, w dwie i pół godziny później, żałował pochopnej decyzji.

Przyjemne popołudniowe słońce z czasem stało się nieznośne, a rozedrgane, parne powietrze dusiło. Nad nizinami przetoczył się głuchy grzmot i Thomas poczuł, że włosy na jego karku stają, naelektryzowane. Niebo nad polem opustoszało; płocze mewy odleciały nad morze, łaknąc słonego morskiego powietrza.

Nawet ziemia, która rankiem, kiedy ostrza przewracały skiby, tchnęła tak słodkim, a jednocześnie ostrym aromatem, teraz cuchnęła i kiedy Thomas wkopywał się w czarno-ziem otaczający kamień, chcąc nie chcąc powrócił myślą do zgnilizny, która czyniła glebę tak żyzną. Myśli krążyły bezsensownie wokół niezliczonych, niewiele znaczących zgonów, których ślady odkrywał za każdym wbiciem łopaty w ziemię. Zazwyczaj nie rozważał takich spraw i dlatego przygnębiło go to. Na moment przerwał pracę. Oparł się na łopacie żalując, że podczas obiadu sięgnął po czwarty kufel Guinnessa. Normalnie dawka nie byłaby zbyt wielka, ale dziś czuł, jak piwo kotłuje mu się w żołądku, ciemne niczym ziemia na łopacie, zamieniając kwasy i na pół strawiony posiłek w błoto.

"Pomyśl o czymś innym -- upomniał siebie. -- Inaczej się porzygasz". Żeby nie dręczyć się tym dłużej, popatrzył na pole. Nic w nim nie było nadzwyczajnego, ot, nieforemny czworobok, otoczony wyrosniętym żywopłotem z glogów. W cieniu glogów leżały szczątki dwóch stworzeń: martwego szpaka i czegoś, co już trudno było rozpoznać. Było tu dziwnie pusto, ale ostatecznie, cóż w tym mogło być niezwykłego. Wkrótce nadejdzie jesień, lato trwało zbyt długo i było za gorące, by się nim rozkoszować.

Spojrzał w górę, ponad żywopłoty i dostrzegł brudno-żółtą chmurę, posyłającą błyskawicę w kierunku wzgórz. Popołudniowa jasność zbiegła się tuż nad horyzontem w cienką, błękitną linię. "Wkrótce będzie padać -- pomyślał i z ulgą powitał tę myśl. -- Chłodny deszcz, może ulewa jak poprzednim razem. Oby dziś na dobre oczyścił powietrze".

Thomas ponownie popatrzył na nieruchomy glaz i uderzył weń łopata. Wyskoczyła biała iskierka.

Sklął głośno i barwnie kamień, siebie i pole. Glaz spoczywał teraz w fosie, którą wokół niego wykopał. Thomasowi brakło już pomysłów, otoczył kamień rowem, głębokim na dwie stopy, wbił pod niego kolki, oplótł go łańcuchem i nawet uruchomił traktor, by go wywlec. Nie było powodów do radości. Widocznie będzie musiał pogłębić rów i wbić mocniej paliki. Nie zamierzał poddać się temu cholerstwu.

Zaciskając zęby, kopał dalej. Na grzbiet jego dłoni spadły pierwsze krople, ale ledwie to zauważył. Z doświadczenia wiedział, że praca tego rodzaju wymaga pełnego oddania, pochylonej głowy i odrzucenia wszystkiego, co mogłoby rozpraszać. Odrzucał wszystkie inne myśli. Istniała tylko ziemia, łopata, kamień i jego własne ciało.

Wbić, wygarnąć. Wbić, wygarnąć. Thomas tak głęboko pograżył się w transie, że nie był nawet pewien, ile czasu upłynęło, zanim glaz się poruszył.

To drgnięcie przywróciło mu przytomność. Thomas wyprostował się, słysząc trzask kręgosłupa, nie do końca pewien, czy kamień naprawdę się poruszył, czy może to tylko jemu drgnęła powieka. Postawiwszy stopę na opornym glazie, pchnął. Tak, glaz się ruszył. Mężczyzna był zbyt zmęczony, by się uśmiechnąć, ale czuł, że zwycięża. Dostał tego drania.

Deszcz się wzmagał, orzeźwił go. Thomas wbił pod kamień jeszcze kilka kolków, chcąc go bardziej podważyć. Zamierzał jak najszybciej zakończyć tę walkę. "Koniec z tobą -- pomyślał. -- Koniec." Trzeci palik wszedł głębiej niż dwa poprzednie, zdawało się, że przebił pęcherz gazu, zebranego pod kamieniem, wypuszczając żółtawą chmurę tak cuchnącą, że Thomas musiał cofnąć się o krok i złapać nieco świeżego powietrza. Nic to jednak nie dało. Zdolał jedynie pozbyć się flegmy, wypełniającej gardło i płuca. Cokolwiek kryło się pod tym kamieniem -- a w smrodzie czuło się coś zwierzęcego -- gniło.

Zmusił się jednak do pracy, lykając powietrze haustami, byle tylko nie przez nos. Głowa mu pękała, tak jakby spęczniały mózg napierał na czaszkę, chcąc się z niej wyzwolić.

--Pieprzę cię -- powiedział Thomas i wbił pod kamień kolejny palik. Miał wrażenie, że jego kręgosłup tego nie wytrzyma. Pęcherz na prawej dłoni pękł. Na ramieniu mężczyzny usadowił się giez. Pożywał się bez przeszkód. Ostatni kolek wbił niemal nieświadomie.

I wtedy kamień się zakolysał.

Thomas nawet go nie dotknął. Głaz wypychała jakaś siła, napierająca od dołu. Sięgnął po łopatę, wciąż jeszcze uwięzioną pod kamieniem. Poczul nagle, że jest jego własnością. Łopata była jego, była jego częścią i nie chciał, by znajdowała się blisko dołu. Nie teraz, kiedy kamień dygotał, jakby krył się pod nim bliski wybuchu gejzer. Nie kiedy powietrze stawało się żółte, a mózg pęczniał jak dynia w sierpniu.

Szarpnął mocno łopatę, nawet nie drgnęła. Zaklął i złapał ją oburącz, odchodząc na długość rąk od dziury. Kiedy tak ciągnął, kamień wynurzał się coraz szybciej, wyrzucając w powietrze fontanny ziemi, robaków i kamyków.

Thomas raz jeszcze naparł na łopatę, ale nie ustąpiła. Nie tracił czasu na analizowanie tego faktu. Dość miał tej pracy, chciał jedynie wyciągnąć łopatę, swoją łopatę, z tej dziury i uciec w diabły.

Kamień podnosił się jeszcze wyżej, ale Thomas nadal nie puszczał styliska. Wbił sobie do głowy, że musi odzyskać łopatę. Dopiero gdy znajdzie się w jego rękach cała i bezpieczna, będzie mógł posłuchać instynktu i zwiać.

Ziemia pod jego stopami eksplodowała. Głaz stoczył się na bok, lekki jak piórko, jakby zdmuchnięty przez kolejny obłok gazu, ohydniejszy od poprzedniego. W tej samej chwili łopata wyłoniła się z dziury i Thomas zobaczył, co ją przytrzymywało.

Nagle wszystko na niebie i ziemi straciło sens. Łopatę trzymała ręka, żywa ręka, tak szeroka, że z łatwością mogła zacisnąć się na ostrzu.

Thomas zrozumiał, co się dzieje. Rozstępująca się ziemia, ręka, smród. Znal to z koszmarnej bajki, jaką słyszał, siedząc na kolanach ojca.

Teraz pragnął wypuścić łopatę, ale nie panował już nad swoją wolą. Mógł jedynie podporządkować się nakazom płynącym spod ziemi i ciągnąć ją dalej, aż popękają mu wiązadła i ścięgna zaczną krwawić.

Skryty pod wątlą warstwą ziemi, Trupio głowy poczul zapach nieba. Podział na jego przytępione zmysły jak eter, przyprawił o mdłości. Królestwa do wzięcia, odległe zaledwie o parę cali. Po tylu latach, po nie kończącej się niewoli jego oczy znów ujrzały światło, odczuł ludzkie przerażenie.

Głowa przebiła się już na powierzchnię; czarne włosy, uwieńczone robactwem, skóra, pokryta czerwonymi pajęczkami. Owe pająki, wżerające się w szpik kostny, drażniły go już od

stu lat. Nie mógł doczekać się, kiedy je zmiażdży. "Ciągnij, ciągnij" -- nakazywał człowiekowi i Thomas Garrow ciągnął, dopóki w jego żalonym ciele tliły się jeszcze jakieś siły, a Trupiołowy cał po calu wylaniał się ze swego grobu.

Glaz, który więził go od tak dawna, został wreszcie usunięty i olbrzym wynurzał się bez przeszkód, odrzucając ziemię jak wąż starą skórę. Tors był już wolny. Barki, dwukrotnie szersze niż u człowieka, szczupłe, pokryte bliznami ramiona, którym nie sprostałaby żadna ludzka istota. Krew tętniła w żyłach, sycąc się wskrzeszeniem. Długie, mordercze palce rytmicznie darły ziemię, nabierając siły.

Thomas Garrow stał i patrzył. Nie czuł nic poza zdumieniem. Strach odczuwają ci, którzy mają jeszcze szansę na przeżycie, on nie miał żadnej.

Trupiołowy już opuścił grób. Po raz pierwszy od wieków zaczął się prostować. Kiedy zaprezentował się w całej swej okazałości -- górował nad sześciostopowym Garrowem o dobry jard -- z jego torsu spadły grudy wilgotnej ziemi.

Thomas Garrow stał w cieniu Trupiołowego, wbijając wciąż wzrok w czeluść, z której wyłonił się Król. Prawą dłoń nadal zaciskał na stylisku łopaty. Trupiołowy podniósł go za włosy. Skóra głowy nie utrzymała ciężkiego ciała, więc olbrzym złapał go za szyję, bez trudu zamykając ją w ogromnej dłoni.

Twarz Garrowa zalała się krwią i to go otrzeźwiło. Śmierć była nieunikniona i wiedział o tym. Popatrzył na swoje nogi, majtające bezradnie nad ziemią, a potem podniósł wzrok i spojrzał prosto w bezlitosną twarz Trupiołowego.

Była wielka jak księżyc w pełni. Wielka i bursztynowa. Z bladej, dziobatej tarczy tego księżyca spoglądały na niego płonące ślepie. Skojarzyły mu się z ranami, tak jakby ktoś wybił w mięsistej głowie olbrzyma dwie dziury i wstawił w nie świece.

Ogrom tej twarzy oszołomił Garrowa. Farmer przyjrzał się niesamowitym oczom, wilgotnym szparom, pełniącym rolę nosa, i wreszcie -- przerażony jak dziecko -jego ustom. Boże, co to były za usta! Tak szerokie, tak przepastne, iż zdawało się, że głowa potwora rozpada się na dwie części. Tak właśnie wyglądała ostatnia myśl Thomasa Garrowa; że pęknięty księżyc wali się z nieba prosto na jego głowę.

Potem Król odwrócił ciało do góry nogami -- zawsze tak postępował z pokonanym wrogiem -- i wrzucił, głową w dół, do jamy, pogrzebał w tym samym grobie, w którym przodkowie farmera więzili go przez całe wieki.

Gdy nad Zeal rozpętała się burza, Król skrył się w stodole Nicholsonów, o milę od Trzyakrowego Pola. W wiosce wszyscy zajmowali się swoimi sprawami, nie zważając zbyt na deszcz. Niewiedza zapewniała im spokój. Nie było pośród nich Kasandry, a rubryka "Gwiazdy mówią o Twojej przyszłości" w najnowszym numerze "Gazety" słowem nawet nie wspomniała, że Bliźnięta czy Lwy, Strzelca i kilka innych znaków w najbliższym czasie spotka śmierć.

Wraz z gromami nadciągnął deszcz, wielkie, lodowate krople, dające początek oberwaniu chmury. Rynsztoki zamieniły się w rwące strumienie i to dopiero zapędziło ludzi do domów.

Na budowie mokła bezużyteczna koparka, która jeszcze przed chwilą kształtowała z grubsza ogródek Ronnie'ego Milona. Operator uznał ulewę za sygnał, że należy udać się do baraku i pogawędzić o wyścigach konnych i kobietach.

Troje wieśniaków, kryjących się w bramie urzędu pocztowego, obserwowało wzbierające

ścieki narzekając, że to zdarza się przy każdym deszczu i że za pół godziny w kotlinie na krańcu High Road zbierze się tyle wody, iż będzie można pływać łódką.

W samej zaś kotlinie, w zakrystii kościoła św. Piotra, kościelny Declan Ewan wpatrywał się w zachłanne strugi wody, które ściekały po stoku, tworząc pod bramą coś na kształt niewielkiego morza. "Wkrótce zbierze się jej tyle, że będzie się można utopić" -- pomyślał i zdziwiony, skąd mu to przyszło do głowy, odwrócił się od okna, wracając do składania ornatów. Był dzisiaj dziwnie podekscytowany i nie mógł, nie był w stanie, a nawet nie chciał tego stłumić. Uczucie to nie miało nic wspólnego z burzą, choć już od dziecka kochał pioruny. Nie, coś innego nie dawało mu spokoju, nie umiał jednak tego określić. Tak jakby znowu był dzieckiem. Jakby znów nadeszło Boże Narodzenie i lada moment miał się pojawić u drzwi Mikołaj, pierwszy bóg, w którego uwierzył. Samo skojarzenie sprawiło, że chciał się roześmiać, ale zakrystia była zbyt dostojnym miejscem, więc powstrzymał się od tego, pozwalając sobie jedynie na marzenia.

Podczas gdy wszyscy uciekli przed deszczem, Gwen Nicholson mokła. Wciąż znajdowała się na podwórzu za domem i ciągnęła kucyka Amelii w kierunku stodoły. Głupie zwierzę przestraszyło się grzmotu i za nic nie chciało ruszyć z miejsca. Gwen była więc przemoczona i wściekła.

--Idziesz, durniu? -- wrzasnęła, przekrzykując burzę. Deszcz chłostał podwórko i bębnił jej w głowę. Włosy przylepiły się do skóry. -- Rusz się! Rusz się!

Kucyk nawet nie drgnął. W przerażonych oczach pojawiły się białe półksiężyce. Im więcej dokoła przetaczało się grzmotów i trzaskało błyskawic, tym mocniej się zapierał. Rozzłoszczona Gwen zdzieliła go w zad, mocniej niż należało. W odpowiedzi na uderzenie zrobił kilka kroków, gubiąc po drodze kupki parującego lajna. Gwen wykorzystała okazję. Skoro już zmusiła go do ruchu, mogła pociągnąć go dalej.

--Ciepła stodoła -- obiecywała. -- Chodź, tu jest mokro, przecież nie chcesz stać na deszczu.

Wrota stodoły były uchylone. "Nawet dla kucyka o ptasim mózdzku muszą wyglądać nęcąco" -- pomyślała. Zaciągnęła go na odległość splunięcia od stodoły, a potem kolejnym klappsem przepchnęła przez drzwi.

Tak jak obiecała temu cholernikowi, wewnątrz było sucho i słodko, mimo iż burza nadała powietrzu metaliczny posmak.

Gwen przywiązała kucyka do poprzecznej belki w jego boksie i zamaszystym ruchem zarzuciła derkę na jego połyskliwą sierść. Do licha, nie będzie przecież wycierać tego zwierzaka, to robota Amelii. Taki układ zawarła z córką, kiedy decydowały się na kupno kucyka. Amelia odpowiadała za oporządzanie i sprzątanie i trzeba przyznać, że mniej więcej wywiązywała się z tych obowiązków.

Kucyk wciąż panikował. Walił kopytami i przewracał oczami jak w kiepskiej tragedii. Na jego wargach pojawiła się piana. Gwen, czując się nieco winna, poklepała go po boku. Dała się ponieść nerwom. Miesiączka. Teraz tego żalowała. Miała tylko nadzieję, że Amelia nie wyglądała przez okno w sypialni.

Podmuch wiatru uderzył we wrota stodoły i zatrzęsnał je. Szum deszczu, dochodzący z podwórza, raptownie przycichł. Nagle zrobiło się ciemno.

Kucyk ucichł. Gwen przestała go gładzić. Wszystko znieruchomiało. Zdawało się, że jej serce też.

Zza snopów siana za jej plecami wyłoniła się jakaś postać, przewyższająca ją niemal dwukrotnie. Gwen nie widziała olbrzyma. Poczula nagły skurcz. "Cholerny okres" -- pomyślała, rozmasowując powoli podbrzusze. Zazwyczaj przychodził regularnie jak w zegarku, ale w tym miesiącu pospieszył się o dzień. Powinna wrócić do domu, umyć się i przebrać.

Trupiołowy stał wpatrzony w kark Gwen Nicholson. Mógłby ją zabić jednym uderzeniem. W żaden jednak sposób nie potrafił się zmusić, by ją dotknąć. Uległa cyklowi krwi; czuł ten zapach, przyprawiający go o mdłości. Ta krew była tabu, nigdy nie zabił kobiety skażonej jej obecnością.

Czując wilgoć między nogami, Gwen wybiegła ze stodoły i nie obejrzawszy się za siebie, pognąła do domu, zostawiając niespokojnego kucyka w mrocznej stodole.

Trupiołowy słuchał oddalającego się tupotu, czekając na trzaśnięcie drzwiami.

Odczekał jeszcze chwilę, aby upewnić się, że kobieta nie wróci, po czym podszedł cicho do zwierzęcia, wyciągnął rękę i przytrzymał je. Kucyk kopał i protestował, ale Trupiołowy w swoim życiu radził sobie ze zwierzętami daleko większymi i groźniejszymi.

Otworzył usta. Z nabrzmiąłych, krwawych dziąseł, niczym kocie pazury wyłoniły się zęby. W każdej szczęcie znajdowały się dwa rzędy, dwa tuziny ostrych jak igły szpikulców. Zaciśnięły się na karku kucyka. W głąb gardła Trupiołowego pociekła gęsta, świeża krew, łykał ją chciwie. Gorący smak świata. Poczul się silny i mądry. A przecież to był dopiero pierwszy z czekających go posiłków. Będzie się karmił wszystkim, na co mu przyjdzie ochota, i nikt go nie powstrzyma, nie tym razem. A kiedy już będzie gotów, by zrzucić ze swego tronu uzurpatorów, spali ich w ich własnych domostwach, wyrznie im dzieci, a z jelit niemowląt uczyni naszyjniki. To miejsce należało do niego. To, że na jakiś czas ujarzmili naturę, nie oznaczało, że zawładnęli ziemią. Była jego i nikt mu jej nie mógł odebrać, nawet święci. Był na to zbyt mądry. Drugi raz nie da się poskromić.

Siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze stodoły, otoczony szaro-różowymi wnętrzościami kucyka, i opracowywał najlepszą strategię, na jaką go było stać. Myślenie nigdy nie było jego najmocniejszą stroną. Zbyt wielki apetyt przyćmiewał rozsądek. Głód i poczucie siły nie odstępowały go ani na krok, zostawiając nieco miejsca na pierwotne przywiązanie do ziemi, co prędzej czy później musiało doprowadzić do rzezi.

Deszcz padał jeszcze przeszło godzinę.

Roń Milton niecierpliwił się; ta cecha jego charakteru obdarzyła go wrzodem i znaczącym stanowiskiem w biurze projektów. Nikt nie obsłużyłby cię szybciej niż Milton. Był najlepszy, lenistwa nie znosił zarówno u siebie, jak i u innych. Weźmy na przykład ten cholerny dom. Obiecali, że skończą go w połowie lipca, zrobią ogród, ułożą podjazd, wszystko załatwią -- i oto teraz, w dwa miesiące po terminie, spoglądał na dom, nie nadający się do zamieszkania. Połowa okien nie była jeszcze oszklona, brakowało drzwi frontowych, ogród budził mordercze instynkty, a podjazd zamienił się w bagnisko.

I to miał być jego zamek, jego schronienie przed światem, który dał mu niestrawność i majątek. Azyl z dala od hałaśliwego miasta, miejsce, gdzie Maggie mogła hodować róże, a dzieci -- oddychać świeżym powietrzem. Na to jednak trzeba było poczekać. "Do cholery, w tym tempie budowa przeciągnie się do następnej wiosny. Kolejna zima w Londynie." Na samą myśl o tym ciężko zrobiło mu się na sercu.

Maggie osłoniła go swą czerwoną parasolką.

--Gdzie są dzieci? -- zapytał.

--W hotelu -- zaśmiała się. -- Doprowadzają do szalu panią Blatter.

Enid Blatter znosiła jego pociechy już przez sześć weekendów. Sama kiedyś miała dzieciaki i zajmowała się Debbie i Ianem, nie tracąc zimnej krwi. Ale nawet jej humor i cierpliwość miały swoje granice.

--Lepiej wracajmy już do miasta.

--Nie, proszę, zostańmy jeszcze dzień, dwa. Pojedziemy w niedzielę wieczorem. Chcę, żebyśmy wszyscy wybrali się w niedzielę na uroczystości dożynkowe.

Teraz z kolei Roń się skrzywił.

--O cholera.

--To cząstka wiejskiego życia, Ronnie. Jeśli mamy tu żyć, musimy wtopić się w społeczność.

Kiedy był w takim nastroju, marudził jak dzieciak. Poznała go na tyle dobrze, że wiedziała, jakie teraz padną słowa.

--Ja nie chcę.

--Nie mamy wyboru.

--Możemy wracać dzisiaj.

--Ronnie...

--Nic tu nie mamy do roboty. Dzieciaki się nudzą, ty zmizerniałaś...

Twarz Maggie skamieniała; kobieta nie zamierzała ustąpić ani o cal. Znal tę twarz tak samo dobrze, jak ona jego marudzenie.

Wbił wzrok w kałuże, zbierające się w miejscu, które być może kiedyś nazwie swoim ogrodem. Jakoś nie mógł sobie tam wyobrazić trawy ani róż, nagle wydało mu się to nierealne.

--Ronnie, jeśli chcesz, to wracaj do miasta. Weź dzieciaki. Ja tu jeszcze zostanę. Przyjadę pociągiem w niedzielę wieczorem.

"Sprytna -- pomyślał. -- Lepiej już było się poddać. Dwa dni samotnego doglądania dzieciaków? Nie, dziękuję."

--OK, wygrałaś. Pójdziemy na te diabelne dożynki.

--Męczennik.

--O ile nie będę musiał się modlić podczas mszy.

Amelia Nicholson wbiegła do kuchni, niezwykle blada, i na oczach matki zemdląła. Zielony sztormiak był tłusty od wymiocin, zielone kalosze -- zalane krwią.

Gwen zawołała Denny'ego. Ich dziewczynka drżała, usta bezskutecznie próbowały wymówić jakieś słowo czy też słowa.

--Co jest?

Denny z rumorem zbiegł ze schodów.

--Na litość boską...

Amelia znów wymiotowała. Twarz miała siną.

--Co się jej stało?

--Właśnie weszła. Lepiej zadzwoń po pogotowie. Denny położył dłoń na jej policzku.

--Jest w szoku.

--Karetkę, Denny... -- Gwen ściągnęła z ramion dziewczynki sztormiak i rozluźniła jej bluzkę. Denny powoli wstał. Przez zachlapane deszczem okno widział podwórze; wrota stodoły,

targane przez wiatr, otwierały się i zamykały. Ktoś tam był w środku, coś mignęło.

--Na litość boską... karetkę! -- powtórzyła Gwen.

Denny nie słuchał. Ktoś zakradł się do jego stodoły, na jego ziemię, a tacy natręci zasługiwali tylko na jedno.

Jak na złość, wrota stodoły znów się otwarły. "Tak! Intruz."

Cofnął się w głąb.

Denny chwycił stojącą koło drzwi strzelbę, w miarę możliwości nie spuszczając z oczu podwórka. Za jego plecami Gwen zostawiła Amelię na podłodze i dzwoniła po pomoc. Dziewczynka już pojękiwała; wyjdzie z tego. Po prostu, przestraszył ją jakiś parszywy intruz i tyle. Na jego ziemi.

Otworzył drzwi i wyszedł na podwórze. Miał na sobie koszulkę z krótkimi rękawami i czuł kąśliwy powiew zimnego wiatru, ale przynajmniej przestało padać. Ziemia lśniła od deszczu, a z ganku i okapów spadały krople wody, wtórując jego krokom nerwowym bębnieniem.

Wrota stodoły znów się uchyliły i tym razem pozostały otwarte. Nie zauważył nic szczególnego. Zaczai się zastanawiać, czy nie dał się zwieść grze cieni...

Jednak nie. Dostrzegł jakiś ruch. Stodoła nie była pusta. Ktoś, nie kucyk, nawet w tej chwili go obserwował. "Zobaczą strzelbę i spocą się ze strachu. Proszę bardzo: W taki sposób włączyć na cudzy teren. Niech myślą, że chcę im odstrzelić jaja."

Sześcioma pewnymi krokami przemierzył odległość dzielącą go od stodoły i wszedł do środka.

Trafił butem na żołądek kuczka. Jedna z nóg zwierzęcia leżała na prawo od Denny'ego, górna jej część była ogryziona aż do kości. W kałużach gęstniejącej krwi odbijały się dziury w dachu. Zemdlilo go od tej jatki.

--Dobra jest -- wyzwał cienie. -- Wychodzić! -- Podniósł strzelbę. -- Słyszysz mnie, sukinsynu? Wylaż, powiedziałem, albo wyślę cię do Królestwa Niebieskiego.

Był gotów to zrobić.

Pomiędzy snopami siana, po drugiej stronie stodoły, coś się poruszyło. "Mam tego skurwysyna" -- pomyślał Denny. Intruz wstał i popatrzył na farmera z wysokości dziesięciu stóp.

--Jee-zuu!

I nagle, bez ostrzeżenia, natarł na Denny'ego. Sunął jak lokomotywa, pewnie i nieuchronnie. Farmer strzelił, kula weszła w pierś, ale napastnik nawet nie zwolnił.

Nicholson odwrócił się i uciekł. Buty ślizgały się na kamieniach, nie mógł więc nabrać dostatecznej szybkości. Tamten w dwóch susach znalazł się za jego plecami. Za trzecim go dopadł.

Gwen, usłyszawszy strzał, wypuściła słuchawkę. Dopadła do okna akurat w chwili, gdy jej słodki Denny znalazł się w cieniu ogromnej sylwetki. Olbrzym wyjął go i cisnął w powietrze jak worek pierza. Bezradnie patrzyła, jak ciało męża skręca się w kulminacyjnym punkcie lotu, by zaraz runąć na ziemię. Rąbnęło o podwórze z hukiem, który odczuła każdym nerwem. Olbrzym niczym strzala dopadł do niego i wgniótł w błoto jego kochaną twarz.

Krzyknęła i próbowała stłumić ten krzyk dłonią. Za późno. Dźwięk już się wydobył i olbrzym spojrział na nią, patrzył prosto na nią, nienawistnym wzrokiem przeszywającym okno. O Boże, zobaczył ją i teraz szedł po nią, sadząc wielkimi krokami przez podwórze i uśmiechając

się złowrogo.

Gwen podniosła Amelię i objęła ją mocno, wciskając twarz dziewczynki w swą szyję. Może nie widziała? Na pewno nie widziała. Plaskanie stóp uderzających o moką ziemię, przybrało na sile. Cień olbrzyma wypełnił kuchnię.

--Jezu, pomóż mi.

Napierał na okno, był tak ogromny, że przesłonił światło; pożądliva, odrażająca twarz rozmazała się na szybie. Przebiła się przez nią, nie zważając na szkło, wrzynające się w ciało. Olbrzym wyczuł dziecięce mięso. Łaknął dziecięcego mięsa. Pożywi się dziecięcym mięsem.

Nagle pojawiły się zęby. Uśmiech zmienił się w plugawy grymas, ze szczęk zwisały sznury śliny. Potwór zagarniał łapami powietrze niczym kot, polujący na zamkniętą w klatce mysz; wdzierał się coraz dalej i dalej, z każdym ruchem zbliżając się do swej zdobyczy.

Gwen otworzyła na oścież drzwi do przedpokoju, akurat gdy olbrzym znudził się wyciąganiem łap i zaczął przelazić przez okno, rozwalając je. Kiedy przekręcała klucz, dobiegł do niej trzask łamanego drewna i brzęk tłuczonej porcelany. Zepchnęła pod drzwi meble -- stół, krzesła i wieszak -- mimo iż miała świadomość, że w dwie sekundy obróci się w drzazgi. Amelia klęczała na podłodze, tam gdzie ją Gwen zostawiła. Na szczęście nie doszła jeszcze do siebie.

W porządku. Gwen zrobiła wszystko, co było w jej mocy. A teraz -- na górę. Podniosła córkę, lekką jak piórko, i wbiegła po schodach, przeskakując po trzy stopnie na raz. Kiedy była w połowie drogi na górę, hałas w kuchni ucichł.

Nagle zwątpiła w rzeczywistość. Na piętrze, gdzie teraz stała, panował całkowity spokój. Na parapetach zbierał się kurz, kwiaty wędły, życie w domu w najdrobniejszych nawet szczegółach toczyło się tak, jakby nic się nie wydarzyło.

--To mi się śniło -- powiedziała. -- Boże, tak, to był sen.

Usiadła na łóżku, które od ośmiu lat dzieliła z Denny, i spróbowała pomyśleć rozsądnie.

Jakiś okropny koszmar, związany z menstruacją, jakiś nieposkromiony sen o gwałcie. Położyła Amelię na różowej pierzynie -- Denny nie znosił różu, ale dla niej to ścierpiał -- i pogładziła po spoconym czole.

--To mi się śniło.

I wtedy w pokoju zrobiło się ciemno. Podniosła wzrok wiedząc, co zobaczy.

Był tam -- jej koszmar -- rozpięty na oknie, pajęczymi ramionami ogarniał całą szerokość szyby. Wczepiając się we framugę niczym akrobata, obserwował jej przerażenie, a potworne zęby to kryły się, to znów pojawiały.

Jednym ruchem zgarnęła Amelię z łóżka i rzuciła się do drzwi. Usłyszała, że szkło pękło. Do pokoju wdarł się zimny powiew. Potwór nadchodził.

Pobiegła korytarzem w kierunku schodów, ale prześladowca w mgnieniu oka popędził za nią, kuląc się w drzwiach. Jego paszcza przypominała tunel. Z okrzykiem triumfu sięgnął po oniemiałe dziecko, które tuliła w ramionach. Zdawało się, że wypełnia sobą cały wąski korytarz.

Gwen nie była w stanie mu uciec ani z nim walczyć. Z zatrwającą łatwością wpił ręce w Amelię i szarpnął. Kiedy zabierał dziewczynkę, ta krzyknęła, a jej paznokcie wryły cztery krechy na twarzy matki.

Gwen zatoczyła się w tył, oszołomiona niewiarygodną sceną, która rozgrywała się tuż przed nią. Na szczycie schodów straciła równowagę. Spadając dostrzegła jeszcze, jak zapłakana buzia zeszywniałej ze strachu Amelii znika pomiędzy rzędami zębów. Potem głowa

Gwen uderzyła o poręcz, kark trzasnął. Kiedy jej ciało objęło się o ostatnie sześc stopni, była już martwa.

Wieczorem poziom wody nieco opadł, ale sztuczne jezioro na dnie kotliny wciąż zakrywało drogę kilkucalową warstwą. W niczym niezmaconej powierzchni odbijało się niebo. Ładne to było, ale uciążliwe. Wielebny Coot łagodnie przypomniał Declanowi Ewanowi, że sprawę zapchanych ścieków należy zgłosić radzie miejskiej. Prosił o to już po raz trzeci i Declan oblał się rumieńcem.

--Przepraszam, ja...

--W porządku. Nic się nie stało, Declan. Trzeba je jednak oczyścić. Oczywiście, jesienne opady znów je zapchają.

Coot zakreślił ręką coś w rodzaju kręgu sugerując, że właściwie to, czy rada oczyści ścieki, czy też nie, nie ma większego znaczenia, po czym uwolnił się od tej myśli. Istniały daleko bardziej naglące sprawy. Po pierwsze, niedzielne kazanie. Po drugie, powód, dla którego dziś wieczór nie szło mu pisanie tego kazania. W powietrzu wisiał jakiś niepokój, sprawiający, że każde słowo pokrzepienia, przelewane na papier, martwiało już w trakcie zapisywania. Coot zbliżył się do okna, odwracając się od Declana. Roztarł dłonie. Swędziały -- może nowy atak egzemy? Gdyby tylko udało się znaleźć odpowiednie słowa, jakoś wyrazić swoje strapienie. Nigdy dotąd, przez całe czterdzieści pięć lat swojego żywota, nie czuł się równie niezdolny do rozmowy, nigdy też nie było tak ważne, żeby zabrał głos.

--Mam już iść? -- zapytał Declan. Coot potrząsnął głową.

--Jeszcze chwilę, jeśli pozwolisz... Odwrócił się do kościelnego. Declan Ewan miał dwadzieścia dziewięć lat, choć jego twarz wyglądała dużo starszej. Miękkie, mało wyraziste rysy, przedwcześnie rzedniejące włosy.

"Jak ten jajogęby zareaguje na moje objawienie? -- zastanawiał się Coot. -- Boję się, że wyjdę na durnia. Oto ja, duchowny, całym sobą oddany misterium chrześcijaństwa. Po raz pierwszy od czterdziestu lat dotknąłem rąbka tajemnicy, może nawet miałem wizję i lękam się, że zostanę wyśmiany. Dureń, dureń z tego Coota."

Zdjął okulary. Nieokreślone rysy Declana zamieniły się w mgłę. Teraz przynajmniej nie będzie widać ironicznego uśmiešku.

--Declan, dziś rano przeżyłem coś, co mogę nazwać tylko... nawiedzeniem.

Declan nie powiedział ani słowa.

--Nie bardzo wiem, jak to wyrazić... Nasze słownictwo jest bardzo ubogie, jeżeli chodzi o te sprawy... ale szczerze mówiąc, nigdy dotąd tak bezpośrednio, tak jednoznacznie nie objawił mi się...

Coot umilkł. Czy naprawdę chciał powiedzieć "Bóg"?

--Bóg -- powiedział nie wierząc, że się na to zdobył. Declan przez chwilę milczał. Coot zaryzykował włożenie okularów. Jajko nie pękło.

--Możesz to opisać? -- zapytał Declan. Nie wyglądał na poruszonego.

Coot pokręcił głową. Przez cały dzień próbował znaleźć odpowiednie słowa, ale wszystkie zdania wydawały mu się zbyt szumne.

--Jak to było? -- nalegał Declan. "Czyż nie pojmujesz, że nie istnieją właściwe słowa? Muszę spróbować, muszę" -- pomyślał Coot.

--Byłem przy ołtarzu tuż po porannej modlitwie -- zaczął. -- Nagle poczułem, że coś mnie

przenika. Prawie jak prąd. Włosy stały mi dęba. Dosłownie dęba.

Przypominając sobie to doznanie, przejechał dłonią po krótko ściętych włosach. Stały wówczas prosto jak łany siworudego zboża. I do tego szum w skroniach, w płucach i podbrzuszu. Doznał nawet wzrodu, ale o tym nie mógł powiedzieć Declanowi. A przecież stał przed ołtarzem, mając tak potężną erekcję, jakby na nowo odkrył rozkosz, płynącą z pożądania.

--Nie twierdę... Nie mogę twierdzić, że to był nasz Pan Bóg... Nie mam nawet pewności, czy miało to coś wspólnego z chrześcijaństwem. Ale dziś coś się wydarzyło. Czulem to.

Twarz Declana wciąż była nieprzenikniona. Coot przyglądał się jej przez kilka sekund, niecierpliwie czekając na wzgardę.

--No i? -- chciał wiedzieć.

--No i co?

--Nie masz nic do powiedzenia? Jajko marszczyło się przez chwilę, na skorupce pojawiła się fałda. Potem powiedziało:

--Boże, zlituj się nad nami. -- Zniżyło głos prawie do szeptu.

--Co?

--Ja też to czulem. Nie całkiem tak, jak opisałeś, nie całkiem jak elektrowstrząs, ale coś poczulem;

--Dlaczego "Boże, zlituj się"? Lękasz się czegoś? Nie odpowiedział.

--Jeśli wiesz na temat tych doznań coś, czego ja nie wiem, proszę, powiedz mi. Chcę wiedzieć, chcę zrozumieć. Na Boga, muszę to zrozumieć.

Declan zacisnął wargi.

--Cóż... -- Wyraz jego oczu wciąż trudno było rozszyfrować, ale Coot dopiero teraz dostrzegł w nich jakiś błysk. Może ślad rozpacz?

--Wiesz, z tą okolicą wiąże się pewna historia -- powiedział kościelny. -- Opowieść o dawnych mieszkańcach tej ziemi.

Coot wiedział, że Declan studiował dzieje Zeal. Dość nieszkodliwe hobby: przeszłość to przeszłość.

--Tutaj już przed wiekami była osada, na długo przed okupacją rzymską. Nikt nie wie, kiedy powstała. I prawdopodobnie w tym miejscu zawsze znajdowała się świątynia.

--Nic dziwnego. -- Coot zdobył się na uśmiech; chciał zachęcić Declana, by dodał mu ducha. Coś w nim pragnęło usłyszeć, że z jego światem jest wszystko w porządku, nawet jeśli miałyby to być kłamstwem.

Declan sposepniał. Nie miał do powiedzenia nic krzepiącego.

--I był tu las. Ogromny. Dziewiczy Bór. -- Czy w jego oczach nadal czaiła się rozpacz? -- Nie jakiś niewielki zagajnik. Las, w którym można by zgubić miasto, pełen bestii...

--Myślisz o wilkach? Niedźwiedziach? Declan potrząsnął głową.

--Tą ziemią władały niegdyś pewne istoty. Przed Chrystusem. Przed nadejściem cywilizacji. Większość z nich nie przetrwała spustoszenia ich naturalnego środowiska. Sądzę, że były zbyt prymitywne. Ale silne. Inne niż my. Nie miały w sobie nic z człowieka.

--I co dalej?

--Jedna z nich dotrwała aż do czternastego wieku. Istnieje płaskorzeźba, przedstawiająca jej pogrzeb. Znajduje się na ołtarzu.

--Na ołtarzu?

--Pod obrusem. Odkryłem ją jakiś czas temu, ale nie zaprzętałem sobie tym głowy. Aż do dzisiejszego dnia. Dziś... spróbowałem jej dotknąć.

Wyciągnął pięść i rozprostował palce. Dłoń pokrywały pęcherze. Z maleńkich pęknięć sączyła się ropa.

--To nie boli -- wyjaśnił. -- Ręka jakby zdrętwiała. Ale służy mi dobrze. Powiniennem był to przewidzieć.

W pierwszej chwili Coot pomyślał, że tamten kłamie; Potem, że musi istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie. Wreszcie przypomniał sobie porzekadło, które często powtarzał mu ojciec: "Logika jest ostatnią nadzieją tchórza".

Declan mówił dalej. Tym razem lekko podekscytowany.

--Nazwali go Trupio głowy.

--Kogo?

--Bestię, którą pogrzebali. Tak głoszą kroniki. Nazwano go Trupio głowym, gdyż głowę miał ogromną, o barwie księżycy i nagą jak żywe mięso.

Kościelny przestał panować nad sobą. Uśmiechnął się.

--Pożerał dzieci -- oznajmił i roześmiał się jak niemowlę przed otrzymaniem matczynego cycka.

Ślady masakry na farmie Nicholsonów odkryto dopiero wczesnym rankiem w niedzielę.

Mikę Glossop jechał akurat do Londynu i wybrał drogę biegnącą obok farmy. "Sam nie wiem, dlaczego. Zwykle jeżdżę inną. To dopiero, co?" Zauważył, że fryzyjskie krowy Nicholsonów ryczą pod bramą. Widać było, że nie dojeżdżono ich od dwudziestu czterech godzin. Zostawił więc jeepa na drodze i wszedł na podwórze.

Mimo iż słońce było w górze dopiero od godziny, muchy zdążyły już obsiać ciało Denny'ego Nicholsona. Wewnątrz domu Glossop odkrył, że po Amelii pozostały jedynie strzępy sukienki i porzucona w pośpiechu stopa. Zwłoki Gwen Nicholson, nietknięte, leżały u podnóża schodów.

O dziewiątej trzydzięci w Zeal roilo się już od policji, a na ulicach nie sposób było spotkać kogoś, kim nie wstrząsnęłyby zbrodnie. Relacje dotyczące stanu ofiar, częstokroć były sprzeczne, jedno wszak nie ulegało wątpliwości: brutalność owego mordu. Wrażenie robiła zwłaszcza śmierć dziecka -- najprawdopodobniej poćwiartowanego. Zbrodniarz zabrał ze sobą jego ciało, Bóg jeden wie, po co.

Ekipa z Wydziału Zabójstw zainstalowała się "Pod Wysokim Mężem", przepytując równocześnie całą wioskę w poszukiwaniu potencjalnych świadków. Pierwsze rozmowy nic nie daly. W okolicy nie widziano żadnych obcych, a podejrzane zachowanie niektórych obywateli Zeal ograniczało się do sfery kłusownictwa i kantów budowlanych. Dopiero Enid Blatter, kobieta o wydatnym biuście i silnie rozwiniętym instynkcie macierzyńskim, wspomniała, że od przeszło dwudziestu czterech godzin nie widziała Toma Garrowa.

Znaleziono go w miejscu, w którym zostawił go zabójca. Głowę zajęły się robaki, a nogami -- mewy. Łydki w miejscu, gdzie spodnie wylazły z cholewek, objedzone były do kości. Kiedy go odkopano, z uszu umknęły całe kolonie robaków.

Tego wieczoru w hotelu panowała przygnębiająca atmosfera. Przebywający w barze detektyw sierżant Gissing, postawiony przez Londyn na czele zespołu dochodzeniowego,

znalazł w Ronię Milionie chętnego słuchacza. Rad był, że może pogadać z krajanem z Londynu, a Milton już od niemal godziny dbał o to, by nie zabrakło im szkockiej z wodą.

--Dwadzieścia lat służby -- powtarzał wciąż Gissing. -- A jeszcze nie widziałem nic podobnego.

Nie było to w pełni zgodne z prawdą. Pamiętał przecież tę kurwę, a właściwie jej najatrakcyjniejsze kawalki, którą dobre dziesięć lat temu odkrył w walizce, zdanej na bagaż na dworcu w Euston. A ćpun, który podjął się zahipnotyzowania niedźwiedzia polarnego w londyńskim zoo, kiedy go wyciągano z fosy, również nie stanowił osłody dla oczu. Tak, Stanley Gissing niejedno już widział...

--Ale czegoś takiego... w życiu nie oglądałem -- upierał się. -- Naprawdę chciało mi się rzygać.

Roń nie bardzo wiedział, dlaczego słucha Gissinga; zapewne po to, by noc szybciej przeszła. Od czasów młodzieńczego radykalizmu nie przepadał za policją i z faktu, że ten zachwycony sobą gaduła o ptasim mózdzku robił teraz pod siebie, czerpał jakąś świrniętą satysfakcję.

--To pieprzony wariat -- stwierdził Gissing. -- Masz na to moje słowo. Raz dwa go dopadniemy. Widzisz, tacy jak on nie panują nad sobą. Nie dbają o zacieranie tropów, nie obchodzi ich nawet, czy żyją, czy zdychają. Na Boga, każdy, kto jest w stanie tak rozszarpać siedmioletnią dziewczynkę, jest zdrowo szurnięty. Widywałem już takich.

--Tak?

--Tak. Widziałem, jak płakali jak dzieci, złani krwią, jakby właśnie wyszli z jatki. Tonęli we łzach. Żalotne.

--A więc będziecie go mieli?

--O tak! -- oznajmił Gissing i pstryknął palcami. Podniósł się nieco chwiejnie. -- To, że będziemy go mieli, jest tak pewne, jak to, że Bóg stworzył jabłuszka. -- Popatrzył na zegarek i na pustą szklankę.

Roń nie zaproponował powtórki.

--Cóż -- rzekł Gissing. -- Muszę wracać do miasta. Złożyć raport.

Pożeglował do drzwi, kwestię uregulowania rachunku zostawiając Milionowi.

Trupiołowy przyglądał się, jak samochód Gissinga opuszcza wioskę i wlecze się północną drogą, płosząc reflektorami noc. Ryk silnika, narastający, w miarę jak samochód piał się pod górę nie opodal farmy Nicholsonów, zdenerwował olbrzyma. Żadna znana mu bestia nie ryczała i nie krztusiła się tak donośnie, a mimo to ów homo sapiens jakoś nad nią panował. Trupiołowy pojął, że jeśli ma wydrzeć Królestwo z rąk tych samozwańców, prędzej czy później będzie musiał sprostać któremuś z ich potworów. Zdusił w sobie strach i przygotował się do konfrontacji.

Księżycowi wyrosły zęby.

Stanley, siedzący w tyle samochodu, zapadł już w głęboki sen; śnił o małych dziewczynkach. W jego śnie owe urocze nimfetki pięły się do łóżek po długiej drabinie, a on trzymał wartę na dole, przypatrując się wspinaczce i ukradkiem zerkając na nieco przybrudzone majteczki znikających w niebie dziewczynek. Znał dobrze ten sen, choć nigdy się do niego nie przyznawał, nawet po pijanemu. Nie, żeby się go wstydził; doskonale wiedział, że wielu z jego kolegów urozmaicało sobie życie drobnymi grzeszkami, daleko mniej powabnymi.

Ale ten sen był jego własnością; był wyjątkowy i Stanley nie zamierzał go z nikim dzielić.

Młody policjant, od niespełna pół roku kierowca Gissinga, czekał tylko, aż stary na dobre zaśnie. Dopiero wtedy będzie mógł pokusić się o włączenie radia i poznanie wyników rozgrywek krykietowych. Australia stała dość marnie, wątpliwe, by zdobyła się na nagły zryw. "To się nazywa kariera -- pomyślał. -- Wszelkie zasady trafia szlag".

Ani pasażer, ani kierowca -- obaj pogrążeni w marzeniach -- nie zauważyli Trupiogłowego. A potwór sadził teraz wielkimi susami przez pole, z łatwością dotrzymując kroku samochodowi, sunącemu po krętej, nieoświetlonej drodze.

Nagły gniew owładnął nim bez reszty, olbrzym z rykiem wyskoczył na asfalt.

Na widok ogromnej sylwetki, która, wyjąc niczym sfora wściekłych psów, pojawiła się nagle w blasku reflektorów, kierowca skręcił.

Samochód zatańczył na mokrej nawierzchni, lewy bok otarł się o krzewy, ciągnące się wzdłuż pobocza -- gałęzie chlasnęły w szybę. Kiedy ów rajd przez żywopłot zakończył się zderzeniem z żelazną bramą, Gissing spadł z drabiny. Wylądował na przednim siedzeniu, tracąc dech, ale przynajmniej nie odniósł poważniejszych obrażeń. Szofer przeleciał ponad kierownicą i wypadł przez szybę. Gissing zobaczył jedynie drgające konwulsyjnie stopy.

Trupiogłowy stał na drodze, obserwując śmierć metalowego pudła. Rozpaczliwy krzyk auta, jęk wgniecionego boku i szczęk zgruchotanego oblicza przeraziły go. A jednak bestia była już martwa.

Na wszelki wypadek odczekał kilka chwil, a potem zbliżył się, by obwąchać zgnieciony korpus. W powietrzu unosił się intensywny zapach, kłujący go w nozdrza. Źródłem owej woni była krew tego pudła, wyciekająca ze zmiażdżonego tułowia na drogę. Upewniwszy się, że skończył z przeciwnikiem, Trupiogłowy podszedł jeszcze bliżej.

W pudle znajdował się ktoś żywy. Nie słodkawe dziecięce mięso, za którym przepadał, zaledwie kawał żyłastego mężczyzny. Twarz, która wpatrywała się w olbrzyma, wyglądała komicznie. Dzikie, okrągłe oczy. Usta otwierały się i zamykały -- jak u ryby. Trupiogłowy kopnął w pudło, chcąc je otworzyć, a kiedy to nie poskutkowało, wyrwał drzwi. Potem nachylił się i wyciągnął skomlącego mężczyznę z jego ukrycia. Czyżby ten okaz należał do gatunku, który ongiś poskromił Króla? To lękliwe szczenię o trzęsących się wargach? Olbrzym wyśmiał błagania Gissinga, a potem odwrócił go głową do dołu i podniósł za nogę. Zaczekał, aż umilkną krzyki i sięgnął pomiędzy dygoczące nogi, szukając członka tego mięczaka. Nie był duży. Skurczony ze strachu. Gissing wyrzucił z siebie potoki bezsensownych słów. Jedyнным zrozumiałym dla Trupiogłowego odgłosem, jaki wyszedł z jego ust, był wysoki wrzask, towarzyszący kastracji. Po wszystkim olbrzym porzucił Gissinga koło samochodu.

Strzaskany silnik zapalił się. Trupiogłowy nie był jednak zwierzęciem, lękającym się płomieni. Owszem, szanował ogień, ale się go nie bał. Ogień był narzędziem, sam z niego niejeden raz korzystał. Służył do tego, by palić wrogów, puszczać ich z dymem. Gdy tylko płomień odnalazł benzynę i buchnął wysoko, Trupiogłowy cofnął się. Owionął go gorący podmuch. Olbrzym poczuł, że palą mu się włosy na piersiach, ale nie odwrócił wzroku; urzekło go to widowisko. Ogień pobiegł śladem krwi owej bestii, pochłaniając po drodze Gissinga. Zlizywał strużkę benzyny niczym pies ślady moczu suki. Trupiogłowy przyglądał się płomieniom, chłonąc nową, śmiercionośną lekcję.

W chaosie swego gabinetu Coot bezskutecznie walczył ze snem. Większość wieczoru

spędził przy ołtarzu, po części wraz z Declanem. Czas ten poświęcili nie na modlitwę, lecz na szkicowanie. Na biurku Coota leżała teraz kopia płaskorzeźby z ołtarza. Wpatrywał się w nią już od godziny. Jak dotąd, bezowocnie. Albo ta płaskorzeźba była zbyt enigmatyczna, albo jego wyobraźni brakowało rozmachu. Jednym słowem, niewiele zdołał wyczytać z tego dzieła. Niewątpliwie przedstawiało ono ceremonię pogrzebową, ale to było wszystko, co udało mu się stwierdzić. Może chowane ciało było nieco większe niż sylwetki żałobników, jednak nie na tyle, by było w tym coś niezwykłego. Pomyślał o pubie "Pod Wysokim Mężem" i uśmiechnął się. Niewykluczone, że jakiś średniowieczny kawalarz utrwalił na ołtarzu pogrzeb piwowara.

Rozregulowany zegar w przedpokoju wybił kwadrans po dwunastej, co oznaczało, że dochodzi pierwsza. Coot wstał od biurka, przeciągnął się i zgasił lampę. Blask księżyca, przesączający się przez szczelinę w zasłonach, zaskoczył go. Była pełnia i światło, choć chłodne, zachwycało bogactwem.

Zabezpieczył kominek i wyszedł do ciemnego przedpokoju, zamykając za sobą drzwi. Zegar tykał głośno. Od strony Goudhurst doleciał sygnał karetki pogotowia.

"Co się stało?" -- zapytał się w duchu i otworzył drzwi, by sprawdzić, czy coś zobaczy. W oddali, na wzgórzu, stał jakiś samochód o zapalonych światłach. Dostrzegł też migotanie niebieskiego sygnału policyjnego, daleko bardziej regularne niż dochodzące zza jego pleców tykanie. Wypadek na drodze pomocnej. Za wcześnie na lód i jeszcze nie dość zimno. Przyjrzał się gasnącym w oddali światłom, odcinającym się od wzgórz jak klejnoty na grzbiecie bajkowego wieloryba. Na dobrą sprawę, zrobiło się dość mroźnie. To nie pogoda, by tak sterczeć w...

Zmarszczył brwi. Coś przyciągnęło jego uwagę, jakiś ruch w odległym kącie dziedzińca, pod drzewami. Księżyc zalał tę scenę mlecznym światłem. Czarne cisy, szare kamienie, groby obsypane płatkami białych chryzantem. I skryty w cieniu cisów, ale wyraźnie widoczny na tle marmurowego grobowca -- olbrzym.

Coot, nie zważając na to, że jest w kapciach, wyszedł z domu.

Olbrzym nie był sam. Ktoś przed nim klęczał -- jakaś drobniejsza, bardziej przypominająca człowieka sylwetka. Uniesiona głowa była wyraźnie widoczna w świetle księżyca. Declan! Nawet z tej odległości widać było, że kościelny uśmiecha się do swego pana.

Coot chciał podejść bliżej, przyjrzeć się lepiej owemu koszmarowi. Kiedy wykonał trzeci krok, pod stopą za-chrzącił mu żwir.

Zdawało się, że olbrzym się poruszył. Czy odwrócił głowę, by spojrzeć na księdza? Serce podeszło Cootowi do gardła.

"Nie! Boże, spraw, by ogłuchł! Proszę, nie pozwól mu mnie zobaczyć, uczynić mnie niewidzialnym."

Modlitwa została wysłuchana. Olbrzym w żaden sposób nie okazał, że usłyszał Coota. Ksiądz, ośmielony, ruszył przez cmentarz, przemykając się od nagrobka do nagrobka. Bał się oddychać. Podeszedł na tyle blisko, że zobaczył, jak łeb potwora nachyla się nad Declanem. Usłyszał głos, rodzący się w jego gardzieli, przypominający tarcie papierem ściernym o kamień. Ale dostrzegł i coś więcej.

Komża Declana była podarta i brudna, wątła pierś -obnażona. Księżycowa poświata podkreślała cieniem mostek i żebra. Stan kościelnego, jego pozycja, mówiły wszystko. To był akt adoracji, czysty i prosty. I wtedy Coot usłyszał szum. Podeszedł jeszcze bliżej i zobaczył, że

olbrzym kieruje w uniesioną twarz Declana połyskliwą strugę moczu. Bryznęła w rozdziawione usta kościelnego, ściekla po jego torsie. Podczas owego chrztu z oczu Declana ani na moment nie zniknął radosny blask, kościelny wręcz podstawał głowę, by doznać pełni zbezczeszczenia.

Smród moczu potwora doleciał do Coota. Był ostry, plugawy. "Jak Declan mógł pozwolić, by spadła na niego choć kropla, nie mówiąc już o kąpieli?" Coot pragnął krzyknąć, powstrzymać ten bluźnierczy obrzęd, ale sylwetka bestii, nawet przesłonięta cieniem cisów, była przerażająca. Dużo wyższa i masywniejsza niż jakikolwiek człowiek.

To musiał być Potwór z Dziewiczego Boru, pożeracz dzieci, o którym opowiadał Declan. Czy opiewając to monstrum, kościelny pomyślał choć przez moment, że zawładnie ono jego świadomością? Czy spodziewał się, że kiedy bestia go wywęszy, klęknie przed nią, nazwie ją Panem i przyjmie z uśmiechem zawartość jej pęcherza?

Tak. Z całą pewnością -- tak.

"Niech więc ma swoją chwilę. Nie warto za niego nadstawiać karku -- pomyślał Coot. -- Ma to, czego chciał." Ksiądz powoli wycofał się w kierunku zakrystii, nie spuszczać oczu z upokarzającej sceny, jaka rozgrywała się pod cisami. Obrzęd już właściwie dobiegł końca, ale w stulonych dłoniach Declana znajdowało się jeszcze dość dużo owej ohydnej cieczy. Kościelny podniósł dłonie do ust i napił się.

Coot zakrztusił się, nie zdołał tego opanować. Zacisnął na moment powieki, chcąc odciąć się od tego obrazu, a kiedy znów otworzył oczy, spostrzegł, że niesamowita głowa odwraca się w jego stronę, świdrując go płonącymi wśród czerni ślepiami.

--Chryste wszechmocny!

Zobaczył go. Tym razem z pewnością go zobaczył. Za-ryczał, otwierając paszczę tak szeroko, że jego głowa nieomal zmieniła kształt.

--Słodki Jezu!

Już pędził w stronę księdza, szybki jak antylopa. Zostawił pod drzewem swego półprzytomnego akolitę. Coot odwrócił się i zaczął biec, przeskakując przez groby, po raz pierwszy od długich lat zmusił się do biegu. Może i nie miał żadnych szans, ale mógł zyskać czas na zastanowienie, na znalezienie broni. "Gnaj, stary draniu. Chrystus to wyścig. Chrystus to nagroda. Cztery jardy. Gnaj!" -- powtarzał sobie.

Drzwi były otwarte.

Już prawie meta, jeszcze tylko jard...

Przebiegł przez próg i odwrócił się, by zatrzasnąć drzwi przed ścigającym go potworem. Nic z tego! Trupiołowy wepchnął między drzwi rękę, trzy razy większą od ludzkiej. Darła teraz powietrze, próbując dosięgnąć ofiary. Ryk nie ustawał.

Coot całym ciężarem ciała naparł na dębowe drzwi. Okuta krawędź wgrzyzła się w przedramię Trupiołowego. Ryk przeszedł w skowyt; wściekłość i cierpienie zmieszały się w jednym wrzasku, słyszalnym na wszystkich krańcach Zeal.

Ów krzyk zbrukał tę noc. Doleciał aż na drogę północną, gdzie zbierano właśnie i pakowano w plastik szczątki Gissinga i jego kierowcy. Obił się o lodowate mury Kaplicy Wiecznego Spoczynku, gdzie zaczynały już gnić ciała Gwen i Denny'ego Nicholsonów. Słychać go było w sypialniach, gdzie tulili się do siebie pary żywych, niekiedy z ręką zdrętwiałą od ciężaru ukochanego ciała; gdzie starzec, cierpiący na bezsenność, studiował geografię sufitu; gdzie dzieci śniły o łonie, a niemowlęta za nim tęskniły.

Krzyk powtórzył się, a potem znowu i znowu. Trupio-głowy szalał pod drzwiami. Cootowi kręciło się już w głowie od tego skowytu. Usta mamrotały modlitwy, ale tak bardzo potrzebne wsparcie z góry nie nadchodziło. Poczul, że traci siły. Olbrzym stopniowo zyskiwał przewagę, cal po calu otwierając drzwi. Stopy Coota ślizgały się na zbyt dobrze wypastowanej posadzce, słabnące mięśnie drżały. Nie miał szans na wygranie tego pojedynku; nie, jeśli chciał przeciwstawić sile bestii swoją własną, mięśnie przeciw mięśniom. Jeżeli zamierzał doczekać ranka, musiał znaleźć inne rozwiązanie.

Coot jeszcze mocniej przywarł do drzwi, rozglądając się za jakąś bronią. Tamten nie może tu wejść, nie może narzucić mu swej woli. Wciąż czuł ten kwaśny odór. Przez chwilę widział siebie nagiego, klęczącego przed olbrzymem, z czaszką skapaną w strudze moczu. Tuż za tym obrazem przyszły kolejne, równie ohydne. Musiał z nimi walczyć, nie mógł dopuścić, by raz na zawsze zawałdnęły jego myślami. Umysł potwora wdzierał się w jego własny, przywołując głęboko pogrzebane pragnienia. Czyż olbrzym, jak na boga przystało, nie domagał się po prostu uwielbienia? I czyż jego żądania nie były oczywiste i realne? Nie niejasne jak wola Pana, któremu Coot służył do tej pory. Niezła myśl: oddać się mocy, która wali w drzwi, otworzyć się przed nią, oddać umysł w jej władanie. Trupio-głowy. To imię pulsowało mu w uszach. Trupio-głowy.

Czując, że jego kruche siły psychiczne są na wyczerpaniu, tracił już nadzieję, kiedy wzrok jego padł na wieszak, stojący na lewo od drzwi.

Trupio-głowy. Trupio-głowy. W tym imieniu kryło się coś ważnego. Trupio-głowy. Przywoływało na myśl pozbawioną skóry głowę, pozbawioną chroniącej ją warstwy, bliską pęknięcia, nie wiadomo -- z bólu czy z rozkoszy. Ale to łatwo było sprawdzić...

Wiedział, że tamten bliski jest zwycięstwa, wybór był prosty: teraz albo nigdy. Oderwał od drzwi rękę i wyciągnął ją ku wieszakowi w poszukiwaniu laski -- wyrobionego i sprężystego, półtorajardowego kawałka okorowanego jesionu, który nazywał kijem pielgrzyma. Przyciągnął ją do siebie.

Trupio-głowy wykorzystał ten moment słabości; skórzasta ręka wdarła się jeszcze głębiej, nie zważając na kaleczącą ją framugę. Stalowopalca dłoń zacisnęła się na fałdach marynarki Coota.

Ksiądz podniósł jesionowy kij i trzasnął nim w łokieć potwora, celując w miejsce, gdzie skóra niemal stykała się z kością. Laska pękła, ale uderzenie zrobiło swoje. Za drzwiami znów rozległ się skowyt. Trupio-głowy natychmiast cofnął rękę. Ledwie jego palce znikły za futryną,

Coot zatrzasnął drzwi i zasunął rygiel. Po krótkiej chwili, paru sekundach ciszy, potwór wznowił atak. Tym razem użył pięści. Zawiasy się wygięły, zatrzeszczało drewno. Jeszcze moment, ułamek sekundy i olbrzym wedrze się do środka. Furia wzmogła jeszcze jego siłę.

Coot przebiegł przez przedpokój i podniósł słuchawkę. "Policja" -- powiedział sobie i zaczął kręcić numer. Ile czasu minie, zanim olbrzym pójdzie po rozum do głowy i zrezygnuje z drzwi na rzecz okien? Były wprawdzie wzmocnione ołowiem, ale to nie mogło zatrzymać go dostatecznie długo. Cootowi pozostały minuty, a może sekundy, wszystko zależało od inteligencji potwora.

W umyśle księdza, uwolnionym z sidła Trupio-głowego, mieszały się bezładnie strzępy modlitw i żądań. Złapał się na tym, że zastanawia się, czy śmierć daleko brutalniejsza niż ta, jakiej mógł się spodziewać przeciętny wiejski proboszcz, zostanie mu wynagrodzona w

niebiosach. Czy za to, że zostanie rozszarpany w przedsionku zakrystii, doczeka się w raju zadość uczynienia?

Na posterunku dyżurował tylko jeden policjant. Reszta znajdowała się teraz na drodze północnej, sprzątała resztki po Gissingu. Biedaczysko niewiele zrozumiał z błagań wielebnego Coota, ale nieomylnie rozpoznał towarzyszący belkotowi trzask drewna i nieludzki skowyt.

Oficer dyżurny odłożył słuchawkę i wezwał przez radio wsparcie. Patrol odpowiedział po dwudziestu, może dwudziestu pięciu sekundach. W tym czasie Trupiołowy zdruzgotał środkową płytę drzwi zakrystii i teraz niszczył resztę. O tym jednak policjanci nie wiedzieli. Widok, jaki zastali na drodze -- zwęglone ciało kierowcy, okaleczone zwłoki Gissinga -- wyzwolił w nich taką wściekłość, jakby przez godzinę stali się weteranami wojny. Przekonanie ich o rozpacz, jaka brzmiała w głosie Coota, zajęło oficerowi dyżurnemu dobrą minutę. W tym czasie Trupiołowy wdarł się do wnętrza.

Roń Milton obserwował z okna hotelu paradę świateł na wzgórzu, słuchał syren i wycia Trupiołowego i wciąż bił się z myślami. Czy to naprawdę była owa cicha wioska, w której chciał osiąść wraz z rodziną? Popatrzył na Maggie, która po tym jak zbudził ją hałas, ponownie zasnęła, zostawiając na stoliku nocnym prawie pustą fiolkę środków nasennych. Pewnie śmiałyby się z niego, ale czuł się jej opiekunem, pragnął być jej rycerzem. A jednak to ona robiła wieczorowe kursy samoobrony, podczas gdy on tył na bankietach. Jej sen w połączeniu ze świadomością, jak znikoma była jego władza nad życiem i śmiercią, napelnił go nieokreślonym smutkiem.

Trupiołowy stał w przedsionku zakrystii, pośród strzaskanego drewna. Tors jego pokaleczyły tuziny drzazg, po masywnej piersi ściekały teraz strużki krwi. Kwaśny odór potu przenikał całe wnętrze niczym bluzniercze kadzidło.

Król pociągnął nosem, szukając człowieka, ale ten ukrył się gdzieś dalej. Trupiołowy obnażył zęby w bezsilnej wściekłości, wypuszczając z głębi gardzieli cichy gwizd, po czym wielkimi susami pobiegł w kierunku gabinetu. Tam było ciepło. Przewrócił biurko i roztrzaskał dwa krzesła -- po części po to, by zrobić sobie miejsce, ale głównie z czystej żądzy niszczenia -- a potem usiadł. Owionęło go ciepło, kojące, niosące życie. Pławił się w nim -- pieściło jego twarz, płaski brzuch i kończyny. Czuł też, jak rozgrzewa mu krew, a to wskrzesiło wspomnienie innych płomieni, płomieni, które wznicał na polach dojrzewających zbóż.

A potem przypomniał sobie jeszcze inny ogień, ten który starał się bezskutecznie wymazać z pamięci -- upokorzenie, które pozostanie w nim na zawsze. Tak starannie wybrali porę: pełnię lata, kiedy to od dwóch miesięcy nie spadła ani kropla deszczu. Poszycie Dziewiczego Boru suche było jak hubka, nawet żyjące, pełne soków drzewo natychmiast stawało w płomieniach. Wykurzyli go z jego twierdzy, oglupiałego i przerażonego, niewiele widzącego przez załamane oczy. Ze wszystkich stron otoczyły go zaostrome kolki i sieci... Mieli też ze sobą to... coś, czemu nie był w stanie sprostać.

Rzecz jasna, nie odważyli się go zabić, nazbyt byli przesądni. Zresztą, czyż nawet raniąc go, nie uznawali jego władzy? Czyż ich przerażenie nie było rodzajem holdu? Pogrzebali go więc żywcem, co było gorsze niż śmierć. Cóż mogło być gorszego? Mógł przeżyć stulecia i nie zaznać śmierci -- wciąż uwięziony pod zwalami ziemi. Przyszło mu czekać setki lat, podczas gdy nad jego głową przechadzały się, żyły, umierały i zapominały p nim następne pokolenia. Może tylko kobiety o nim pamiętały. Nawet spod ziemi czuł, jak zbliżały się do jego grobu i

choć same nie rozumiały przyczyny swego niepokoju, nakłaniały mężczyzn, by zabrali je z tego miejsca. Wtedy znów zostawał sam, pozbawiony nawet towarzystwa śmierci. Pomyślał, że to odizolowanie go było ich zemstą za owe czasy, kiedy on i jego bracia porywali kobiety do lasu, rozciągali je na ziemi, gwałcili i puszczały wolno, krwawiące i zapłodnione. Rodząc narzucone im siłą dzieci, umierały. Budowa kobiety nie mogła znieść miotania się hybrydy, jej zębów. Tylko w ten sposób on i jego bracia mogli się mścić na owej wielkobrzuchej płci.

Trupiołowy masturbując się popatrzył na pozłacaną reprodukcję "Światłości Świata", wiszącą nad kominkiem. Obraz nie wywołał w nim dreszczu trwogi ani odrazy, przedstawiał bezpłciowego męczennika, sarniokiego i zbolalego. Żadnego wyzwania, któremu należało sprostać. Prawdziwa moc, jedyna moc, która mogłaby pokonać Króla, najprawdopodobniej już szczyła; zginęła w pomroce dziejów, wyparta przez tego niewinnego pastuszka. W milczeniu doszedł do ekstazy, nasienie zasyczało na dywaniku. Nikt nie przeszkodzi mu w zawładnięciu tym światem. Ciepła i pożywienia będzie miał pod dostatkiem. Nawet niemowlęta. Tak, mięso niemowląt nie miało sobie równych. Szczenięta prosto z łona, jeszcze ślepe.

Wyciągnął się przed kominkiem, wzdychając na myśl o tych rarytasach, a w mózgu roily mu się sceny rzezi.

Ze swej kryjówki w krypcie Coot słyszał pisk opon wozów policyjnych, zatrzymujących się przed zakrystią, a potem tupot butów na żwirowej ścieżce. Doszedł do wniosku, że przyjechało z pół tuzina policjantów. Tylu powinno wystarczyć.

Ostrożnie brnął przez ciemność w kierunku schodów.

Coś go dotknęło; omal nie wrzasnął, w ostatniej chwili ugryzł się w język.

--Nie wychodź teraz -- powiedział jakiś głos za jego plecami. Declan. Ale mówił zbyt głośno, by było to bezpieczne. Potwór znajdował się gdzieś nad nimi; usłyszy ich, o ile kościelny nie zachowa ostrożności. O Boże, nie może ich usłyszeć.

--Jest nad nami -- szepnął Coot.

--Wiem. -- Zdawało się, że głos Declana wydobywa się nie z krtani, ale z jego trzewi, jakby przeciskał się przez warstwę brudu. -- Niech więc tu zejdziesz. Wiesz, że cię szuka. Chce, żebym ja...

--Co się z tobą stało?

Zobaczył w ciemności twarz Deelana. Uśmiech obłąkanego.

--Sądzę, że i ciebie chciał ochrzcić. Jakby ci się to podobało? Chciałbyś tak? Obsikał mnie, widziałeś? I to jeszcze nie wszystko. O nie, on chce więcej. Chce wszystkiego. Słyszysz? Wszystkiego.

Declan zamknął Coota w niedźwiedzim uścisku, cuchnącym moczem potwora.

--Idziesz ze mną? -- Zerknął na twarz Coota.

--Pokładam nadzieję w Bogu.

Declan roześmiał się. To nie był pusty śmiech, kryło się w nim autentyczne współczucie dla zagubionej duszyczki.

--On jest Bogiem -- oznajmił. -- Był tu, zanim jeszcze zbudowano ten pieprzony sracz. Wiesz o tym.

--Psy też były.

--Hę?

--To nie znaczy, że mam pozwalać, by podnosiły na mnie nogą.

--Strasznie sprytny z ciebie sukinsyn, co? -- powiedział Declan, wydymając wargi. -- On cię oświeci. Zmienisz się...

--Nie, Declan. Puść mnie. Uścisk był jednak zbyt mocny.

--Chodź na górę, dupku. Bóg nie może czekać.

Wciągnął Coota na schody, wciąż oplatając go ramionami. Księdzu brakowało słów, logicznych argumentów. Czyż nie miał do powiedzenia nic, co ukazałoby temu człowiekowi jego upadek?

Weszli do kościoła i Coot automatycznie spojrział w kierunku ołtarza, szukając otuchy. Nie znalazł jej. Ołtarz został zbezczeszczony. Obrusy były podarte i wysmarowane ekskrementami, krzyż i świeczniki wylądowały wraz z modlitewnikami w ogniu, płonącym na stopniach ołtarza. We wnętrzu kościoła unosiła się sadza, powietrze było gęste od dymu.

--Ty to zrobiłeś? Declan chrząknął.

--Chce, żebym wszystko zniszczył. Rozebrał kamień po kamieniu, jeśli będzie trzeba.

--Nie odważy się.

--O tak, odważy się. Nie boi się Jezusa, nie boi się... Przez chwilę czuł zwątpienie i Coot nie omieszkał skorzystać z tego wahania.

--A jednak jest tu coś, czego się boi. Inaczej by tu wszedł, sam by to wszystko zrobił.

Declan nie patrzył na Coota. Oczy miał teraz szkliste.

--Co to jest, Declan? Czego on nie znosi? Możesz mi to powiedzieć...

Declan splunął Cootowi w twarz. Grudka gęstej flegmy przywarła do policzka księdza niczym ślimak.

--Nie twoja sprawa.

--W imię Chrystusa, Declanie, spójrz, co on z tobą zrobił!

--Poznałem swego pana, ledwie go zobaczyłem... -- Declan dygotał. -- ...I ty go też poznasz.

Odwrócił Coota ku południowym drzwiom. Były otwarte, a na progu stał potwór. Schylił się zgrabnie, by przejść pod portykiem. Coot po raz pierwszy zobaczył Trupiołowego w pełnym świetle i dopiero teraz naprawdę poczuł grozę. Dotąd starał się nie myśleć zbyt wiele o jego rozmiarach, spojrzeniu i rodowodzie. Teraz gdy tamten powoli -- niemal statecznie -- zbliżał się ku niemu, serce księdza uznało jego potęgę. Pomimo grzywy i potwornych zębów nie było to zwykle zwierzę, jego oczy świdrowały Coota z głęboką wzdumą, na jaką nie byłoby stać żadnego zwierzaka. Paszcza otwierała się coraz szerzej, a z dziąseł wysuwały się zęby, długie na dwa, trzy cale. Kiedy nie było już gdzie uciec, Declan puścił Coota. Zresztą ksiądz i tak nie był w stanie się ruszyć -- uwięziło go uporczywe spojrzenie olbrzyma. Trupioł głowy wyciągnął rękę i podniósł księdza. Cały świat stanął na głowie...

Policjantów było siedmiu, nie sześciu jak przypuszczał Coot. Trzej byli uzbrojeni; mieli broń, sprowadzoną z Londynu na rozkaz detektywa sierżanta Gissinga. Nieodżałowanego detektywa sierżanta Gissinga, przewidzianego do pośmiertnego odznaczenia. Ową siódmką dobrych i dzielnych mężów dowodził sierżant Ivanhoe Baker. Ivanhoe nie miał w sobie nic z bohatera; nie dały mu tego cechy charakteru ani wykształcenie. Głos, który wedle jego modłów miał go nie zawieść, kiedy nadejdzie pora wydania odpowiednich rozkazów, zamienił się w zduszony jęk, ledwie Trupiołowy wyłonił się z wnętrza kościoła.

--Widzę go! -- oznajmił sierżant. Wszyscy go widzieli. Miał dziesięć stóp wzrostu, był zalany krwią i wyglądał jak alegoria piekła. Nikt nie musiał wskazywać go palcem. Bez rozkazu

Ivanhoe'a uniosły się karabiny, a nie uzbrojeni policjanci nagle poczuli się nadzy, ucałowali swoje palki i zaczęli się modlić. Jeden z nich uciekł.

--Zostań na miejscu! -- zaskrzeczał Ivanhoe. Jeśli te sukinsyny zaczną brać nogi za pas, będzie zdany tylko na siebie. Jemu nie przydzielono broni, a tylko dowództwo i nie było to zbyt wygodne.

Trupiołowy wyciągnął rękę, w której trzymał Coota. Stopy duchownego wisiały łokieć nad ziemią, głowa była odchylona w tył, oczy zamknięte. Potwór pokazał to ciało wrogom, dowodząc swej siły.

--Czy my... proszę... czy możemy... zastrzelić tego drania? -- dopytywał się jeden ze strzelców.

Ivanhoe odchrząknął, a potem odpowiedział:

--Trafimy proboszcza.

--On i tak nie żyje -- zauważył strzelec.

--Tego nie wiemy.

--Na pewno nie żyje. Tylko popatrz...

Trupiołowy potrząsnął Cootem jak pierzyną, wytrząsając zeń wnętrzności, co wzbudziło w sierżancie głęboki niesmak. Nagle olbrzym -- niemal od niechcienia -- cisnął duchownego w kierunku policjantów. Ciało zważyło się na żwir nie opodal bramy i leżało tam bez ruchu. Ivanhoe odzyskał wreszcie głos.

--Ognia!

Strzelcy nie potrzebowali zachęty. Nie zdążył jeszcze wydusić z siebie ostatniej sylaby, a ich palce już naciskały na języki spustowe.

Trwało to tylko chwilę, ale Trupiołowy został trafiony przez pięć kul, w większości skierowanych w jego pierś. Kąsały go; musiał unieść ramię, by osłonić twarz. Drugą ręką chronił jądra. Tego bólu nie przewidział. O postrzale, jaki otrzymał ze strzelby Nicholsona, zdążył już zapomnieć pośród krwawych rozkoszy, ale te kolce sprawiły mu ból i do tego wciąż nadlatywały nowe. Poczul ułkucie strachu. Instynkt nakazywał mu stawić czoła tym błyskającym i pykającym rurom, ale lęk przed cierpieniem okazał się silniejszy. Olbrzym, zamiast natrzeć, odwrócił się

i umknął, skacząc przez groby. Byle tylko dostać się do wzgórza. Tam były zagajniki, które znał, jamy i jaskinie, gdzie mógł się skryć, żeby przemyśleć ten nowy problem. Ale najpierw musiał zgubić tamtych.

Niezwłocznie ruszyli za nim, podnieceni łatwym zwycięstwem. Ivanhoe, pozostawiony sam, znalazł na jednym z grobów pusty wazon i zwymiotował.

Na drodze nad kotliną nie było już światła i Trupiołowy poczuł się bezpieczniej. Mógł wtopić się w ciemność, w ziemię, robił to tysiąc razy. Pobiegł skrótem przez pole. Jęczmień był ciężki od ziaren. Król biegnąc tratował go, miażdżył nasiona i lodygi. Gdzieś tam prześladowcy gubili trop. Samochód, którym przyjechali, zatrzymał się na drodze; olbrzym widział za sobą jego światła, jedno białe i dwa niebieskie. Wróg wydawał chaotyczne rozkazy, wykrzykiwał moc niezrozumiałych słów: Nieważne. Trupiołowy znalazł ludzi. Łatwo ich było przestraszyć. Dziś już nie będą go szukać, korzystając z mroku jako pretekstu do odwołania oblawy, mówiąc sobie, że rany jakie mu zadali, z pewnością go zabiły. Naiwne dzieci, oto kim byli.

Wspiął się na szczyt wzgórza i spojrział w dolinę. Poniżej węża drogi, którego ślepiami były

światła wozu policyjnego, leżała wioska, krąg ciepłego blasku, ozdobiony migocącym błękitem i czerwienią. Dokoła, ze wszystkich stron piętrzyła się nieprzenikniona czerń wzgórz, nad którymi wisiały sznury i kiście gwiazd. Za dnia będzie to tylko nieckowata dolina z małym miasteczkiem dla lalek. Nocą była niezmierna, bardziej jego niż ich.

Wrogowie wracali już do swoich nor, tak jak to przewidział. Odłożyli pościg na następny dzień.

Położył się na ziemi. Obserwował meteor, który wypalając się sunął gdzieś na południowy zachód. Krótka, jasna smuga rozświetliła chmurę, zaraz potem zgasła. Trupiogłowy mógł teraz odpocząć, zając się swoimi ranami. Rano Król znów będzie silny, a potem -- potem ich wszystkich spali.

Coot żył jeszcze, ale był bliski śmierci. Osiemdziesiąt procent kości połamało się lub popękało, twarz i szyja pokryte były labiryntem skaleczeń, a jedna ręka została doszczętnie zmiażdżona. Śmierć była tylko kwestią czasu i wewnętrznej zgody na nią.

W wiosce uczestnicy wydarzeń pod kościołem ubarwiali swe relacje. Gole fakty były źródłem najbardziej fantastycznych rewelacji. Chaos na dziedzińcu kościoła, rozbite drzwi zakrystii, samochód na drodze pomocnej, otoczony kordonem. Cokolwiek wydarzyło się tej sobotniej nocy, miało na długo pozostać w pamięci.

Dożynki odwołano, co zresztą nikogo nie zdziwiło.

--Chcę, żebyśmy wrócili do Londynu -- upierała się Maggie.

--Przedwczoraj chciałaś tu zostać. Wtopić się w społeczność.

--To było w piątek, zanim... zanim... Roń, tu grasuje jakiś maniak.

--Jeśli teraz wyjedziemy, więcej tu nie wrócimy.

--Co ty gadasz? Pewnie, że wrócimy.

--Jeśli raz opuścimy zagrożone miejsce, będziemy mogli położyć na nim krzyżyk.

--To śmieszne.

--To ty dążyłaś do tego, żeby nas uznano za swoich. Chciałaś, żebyśmy dostroili się do wiejskiego życia. Cóż, musimy się dostroić i do śmierci. Ja zamierzam tu zostać aż do końca. Możesz wracać do Londynu. Weź dzieciaki.

--Nie.

Ciężko westchnął.

--Chcę zobaczyć, że go złapali, kimkolwiek jest. Chcę wiedzieć, że zapanował spokój, przekonać się o tym na własne oczy. To jedyny sposób, żebyśmy w przyszłości czuli się tu bezpiecznie.

Niechętnie skinęła głową.

--Wyrwijmy się przynajmniej z tego hotelu. Pani Blat-ter robi się nerwowa. Nie możemy się gdzieś przejechać? Trochę odetchnąć?...

--Jasne. Czemu nie?

Był piękny wrześniey dzień, okolica tętniła życiem. Późne kwiaty zdobiły żywopłoty, ptaki obniżały lot nad drogą, którą jechali. Niebo było lazuruwe, chmury przypominały fantastyczną bitą śmietaną. Groza minionej nocy ulotniła się kilka mil za wioską, a niezwykle bogactwo tego dnia podniosło całą rodzinę na duchu. Z każdą milą, oddalającą ich od Zeal, obawy Rona malały. Zaczął nawet śpiewać.

Jadąca na tylnym siedzeniu Debbie była niemożliwa. Najpierw "Tatusiu, gorąco mi",

potem "Tatusiu, chcę soku pomarańczowego" i wreszcie "Tatusiu, ja chcę siusiu".

Roń zatrzymał wóz na pustej drodze i zabawił się w pobłażliwego ojca. Dzieciaki wiele przeszły, dziś można im było pofolgować.

--Dobrze, kochanie. Możesz się tutaj wysuszać, a potem pojedziemy poszukać dla was lodów.

--A gdzie jest psi-psi? -- Cholernie głupi zwrot, eufemizm, wymyślony przez teściową. Maggie włączyła się do rozmowy. Z humorkami Debbie radziła sobie lepiej niż Roń.

--Możesz iść za żywopłot -- powiedziała.

Debbie wyglądała na zgorzoną. Roń wymienił z lanem półuśmiechy.

Chłopiec zrobił dziwną minę. Krzywiąc się wrócił do swego wymiętoszonego komiksu.

--Pospiesz się, dobra -- wymamrotał. -- To pojedziemy w jakieś normalne miejsce.

"W jakieś normalne miejsce -- pomyślał Roń. -- Miał na myśli miasto. Mały mieszcuch z tego lana. Przekonanie go, że wzgórze i las to też normalne miejsca, trochę potrwa". Debbie wciąż jeszcze grymasiła.

--Nie mogę tam iść, mamo.

--Czemu nie?

--Ktoś mógłby mnie zobaczyć.

--Nikt cię nie zobaczy, kochanie -- uspokoił ją Roń. -- A teraz zrób to, o co prosi mama. --

Odwrócił się do Maggie. -- Idź z nią, kotku.

Maggie nawet nie drgnęła.

--Nic jej nie będzie.

--Sama nie zdoła wspiąć się na bramę.

--No to ty idź.

Roń nie zamierzał się spierać, zmusił się do uśmiechu.

--Chodź -- powiedział.

Debbie wyszła z samochodu i Roń pomógł jej przejść przez żelazną bramę w żywopłocie na znajdujące się po drugiej stronie pole. Zboże było już zżęte. Pachniało tu... ziemią.

--Nie patrz -- upomniała go córka, szeroko otwierając oczy. -- Nie wolno ci patrzeć.

Już teraz ta dojrzała dziewięciolatka była niezłą manipulatorką. Grała na jego uczuciach lepiej niż na pianinie podczas lekcji. Oboje o tym wiedzieli. Uśmiechnął się do niej i zamknął oczy.

--W porządku. Widzisz? Mam zamknięte oczy. Ale pospiesz się, Debbie. Proszę.

--Obiecuj, że nie będziesz podglądał.

--Nie będę podglądał. -- "Boże -- pomyślał. -- Robi z tego cały koncert." -- Pospiesz się.

Zerknął na samochód, lan siedział na tylnym siedzeniu, wciąż pogrążony w jakimś tanim komiksie. Ze skupieniem wpatrywał się w kolejne strony. Chłopak był taki poważny. Ronowi tylko czasem udawało się go naciągnąć na półuśmiech. To nie była gra, maska tajemniczości. Chyba z ulgą zostawił cały teatr siostrze.

Chowając się za żywopłotem, Debbie ściągnęła swoje niedzielne majteczki i przykucnęła, ale przez to całe zamieszanie nic nie poleciało. Skoncentrowała się, to jednak tylko pogorszyło sprawę.

Roń patrzył teraz na skraj pola, na horyzont. Kołujące nad nim mewy najwidoczniej spierały się o jakiś kasek. Obserwował je chwilę, zaczynając się niecierpliwić.

--No już, kochanie -- powiedział.

Znów spojrzął na samochód. Teraz i Ian przyglądał się ojcu. Na jego twarzy malowało się coś na kształt nudy. "A może to coś innego, na przykład ogólne zniechęcenie?" -- zapytał siebie Roń. Chłopiec wrócił do czytania "Utopii", nie odpowiadając na spojrzenie ojca.

I wtedy Debbie zaczęła krzyczeć.

--Chryste!

Roń natychmiast wspął się na bramę, a Maggie znalazła się tuż za nim.

--Debbie!

Roń odkrył, że dziewczynka stoi pod żywopłotem, wpatrzona w ziemię. Coś mamrotała. Twarz jej poczerwieniała.

--Co się stało, na Boga?

Wyjąkała coś bez ładu i składu. Podążył śladem jej wzroku.

--Co się stało? -- Maggie miała trudności z przejściem przez bramę.

--Już w porządku... Wszystko w porządku. Na skraju pola leżał martwy kret. Miał wydłubane oczy, a jego gnijąca skóra roila się od much.

--O Boże, Roń. -- Maggie spojrzała na niego z wyrzutem, jakby to on złośliwie podłożył tu wcześniej to paskudztwo.

--Już wszystko w porządku, złotko -- powiedziała, przepychając się przed męża i biorąc Debbie w ramiona.

Łkanie nieco ucichło. "Dzieciaki z miasta -- pomyślał Roń. -- Jeżeli mają żyć na wsi, powinny się przyzwyczaić do takich widoków. Tu nie ma zamiataczy, którzy co rano uprzątają rozjechane koty." Maggie kołysała ją. Wyglądało na to, że najcięższy wstrząs już minął.

--Nic jej nie będzie -- powiedział Roń.

--Oczywiście, że nic ci nie będzie, prawda, kochanie?

Maggie pomogła jej wciągnąć majteczki. Mała nadal pochlipywała, zapomniała nawet o swej wstydlivosti.

Ian słuchał zawodzenia siostry i próbował skupić się na komiksie. "Zrobiłaby wszystko, byle zwrócić na siebie uwagę -- pomyślał. -- Cóż, proszę bardzo."

Nagle zrobiło się ciemno.

Podniósł wzrok znad pisemka, czując bicie własnego serca. Coś nachyliło się nad samochodem i zaglądało teraz do wnętrza, wtykając twarz w okno, oddalone od ramienia chłopca zaledwie o sześć cali. Twarz z piekła rodem, Ian nie mógł nawet krzyknąć, język odmówił mu posłuszeństwa. Chłopiec zdołał jedynie zmoczyć siedzenie i na darmo kopnąć w pokryte bliznami ręce, które wyciągały się ku niemu przez okno. Pazury bestii rozryły jego kostki, zdarły skarpetkę. Podczas szamotaniny spadł jeden z bucików malca. Potwór złapał Iana za nogę i pociągnął po mokrym siedzeniu w kierunku okna. Chłopiec odzyskał wreszcie głos. Nie całkiem swój głos, raczej żaloszny, głupi pisk, nie pasujący do śmiertelnego przerażenia, które teraz czuł. Zresztą, było i tak za późno; bestia przeciągnęła już przez okno nogi i część jego tyłka. Będąc już niemal na zewnątrz, Ian zdążył jeszcze zobaczyć stojącego za bramą tatę. Miał taki nedorzeczny wyraz twarzy. Ojciec już wspinał się, biegł na ratunek, biegł go wybawić, ale poruszał się zbyt wolno, Ian wiedział od samego początku, że skazany był na przegraną, gdyż w snach umierał tak setki razy, a tata nigdy nie dobiegł na czas. Paszcza była szersza niż ta ze snu; była dziurą, w którą wpadł niczym w studnię. Cuchnęła milion razy gorzej

niż śmietniki na tyłach szkolnej stołówki. W chwili gdy chłopca chwyciły torsje, potwór odgryzł mu czubek głowy.

Roń nigdy w życiu nie histeryzował. Aż do tej chwili sądził, że wrzask jest bronią słabszej płci, teraz jednak miał przed sobą potwora, miażdżącego szczękami głowę jego syna, i nie mógł nie krzyczeć.

Trupiołowy usłyszał ów krzyk i odwrócił się bez cienia lęku, by znaleźć jego źródło. Spotkali się wzrokiem. Mrozące krew w żyłach spojrzenie Króla przeszło Rona do szpiku kości i przykuło do drogi. Dopiero Maggie przerwała ten trans zawodząc:

--O... proszę... nie!

Roń otrząsnął się i ruszył w kierunku samochodu, w kierunku syna. Ale owa chwila wahania dała Trupiołowemu szansę, której właściwie nie potrzebował, i potwór był już daleko; unosił w zębach swój łup. Wiatr porwał krople krwi łana. Roń czuł, jak osiadają mu na twarzy niczym mżawka.

Declan stał w prezbiterium kościoła św. Piotra i słuchał buczenia. Tamto wciąż tu było. Prędzej czy później odnajdzie źródło tego dźwięku i zniszczy je, choćby miał za to zapłacić życiem. Tego wymagał jego nowy pan. Taka już była kolej rzeczy, a myśl o śmierci nie przerażała go, wprost przeciwnie. W ciągu kilku ostatnich dni zaspokoił ukryte, a często zapomniane pragnienia, które tkwiły w nim przez lata.

Podnosząc wzrok na czarnego kolosa, który oblewał go moczem, odnalazł najczystszą radość. Jeśli to doznanie, które kiedyś napelniloby go niesmakiem, mogło być tak doniosłe, jaka musiała być śmierć? Jeszcze bardziej niezwykła. A czyż śmierć zadana ręką Trupiołowego, ową szeroką łapą, która tak potwornie cuchnęła, nie byłaby -- gdyby tylko udało się jej dostąpić -- niezwykłym doświadczeniem?

Popatrzył na ołtarz i resztki ugaszonego przez policję ogniska. Kiedy zabrali Coota, zaczęli i jego szukać, ale znalazł przecież tuzin kryjówek, których nigdy by nie znaleźli, rychło więc zrezygnowali. Mieli na oku grubszą rybę. Zebrał kolejne naręcze "Pieśni Chwały" i dorzucił do wilgotnych popiołów. Świeczniki stopiły się nieco, ale wciąż jeszcze można było je rozpoznać. Krucyfik zniknął; albo przepadł w płomieniach, albo sprzątnął go jakiś

pazerny sługa prawa. Declan wydarł ze Śpiewników kilka garści hymnów i zapalił zapalną. Stare pieśni potrafiły rozgrzać atmosferę.

Roń Milton czuł gorzyc łez, smak dawno już zapomniany. Od lat nie pozwolił sobie na płacz, zwłaszcza w obecności innych mężczyzn. Ale to nie miało znaczenia; zresztą te sukinsyny z policji i tak nie były ludźmi. Kiedy wywalal z siebie wszystko, gapili się na niego, kiwając głowami jak idioci.

--Zmobilizowaliśmy ludzi ze wszystkich posterunków w obrębie pięćdziesięciu mil, panie Milton -- oznajmiła bezbarwna twarz o rozumnych oczach. -- Przechesujemy wzgórze. Dopadniemy tego stwora, czymkolwiek jest.

--Porwał moje dziecko. Rozumiecie, co mówię? Zabił je... na moich oczach.

Zdawało się, że nie dociera do nich groza tego zdarzenia.

--Robimy, co możemy.

--To nie wystarczy. Ten potwór... to nie istota ludzka. Ivanhoe, ten o rozumnych oczach, cholernie dobrze o tym wiedział.

--Mają tu przyjechać ludzie z Ministerstwa Obrony. Dopóki nie zerkną na dowody,

niewiele więcej będziemy mogli zdziałać -- powiedział. -- To przecież pieniądze podatników, sir -- dodał, by zakończyć sprawę.

--Ty pieprzony idioto! Jakie ma znaczenie, ile będzie kosztowało zabicie go? To nie człowiek. Przybył z piekła. Z twarzy Ivanhoe'a znikło współczucie.

--Gdyby naprawdę przybył z piekła, sir -- oświadczył -moim zdaniem, nie poradziłby sobie tak łatwo z wielebny Cootem.

"Coot, to był odpowiedni człowiek. Dlaczego wcześniej na to nie wpadł? Coot!"

Roń nigdy nie należał do pobożnych, był jednak wolny od uprzedzeń, a teraz gdy zetknął się z przeciwnikiem Boga -- a przynajmniej z jednym z jego sług -- gotów był nawet zrewidować swoje zapatrywania. Uwierzyłby we wszystko, dosłownie we wszystko, jeśli tylko pomogłoby mu to w walce z diabłem.

Musiał dotrzeć do Coota.

--Co z pańską żoną? -- zawołał za nim policjant. Maggie siedziała w jednym z sąsiednich pomieszczeń, otępiała po środkach uspokajających. Debbie spała tuż przy niej. Roń nie mógł im w niczym pomóc. Były tu tak samo bezpieczne, jak gdziekolwiek indziej.

Poza tym musiał dotrzeć do Coota, zanim tamten umrze.

Dowie się tego, co wie duchowny, on zrozumie ból lepiej niż te małpy. W końcu u podstaw Kościoła również legła śmierć syna.

Kiedy wsiadał do samochodu, zdawało mu się przez moment, że czuje obecność swego syna, chłopca noszącego jego imię -- Iana RONALDA MILTONA, chłopca, który był jego nasieniem oblezonym w ciału i ukształtowanym na jego podobieństwo. Cichego dziecka, które spoglądało na niego z okna samochodu z taką rezygnacją w oczach.

Tym razem łzy nie popłynęły. Spalało go pragnienie zemsty.

Było wpół do dwunastej. Król Trupiogłowy wylegiwał się na jednym z pół położonych na południowy zachód od farmy Nicholsonów, skąpany w blasku księżyca. Ściernisko już ciemniało, a z ziemi emanował oszołamiający zapach gnijących roślin. Obok olbrzyma leżała jego kolacja, Ian Ronald Milton. Twarz skierowaną miał ku górze, a przeponę rozdartą. Potwór od czasu do czasu wspierał się na łokciu i grzebał palcami w stygnącej zupie, szukając smakołyków.

I oto, skąpany w srebrzystym świetle księżyca w pełni, rozwalony wygodnie na polu, delectujący się ludzkim mięsem, poczuł, że jest niewyciężony. Z leżącej obok misy wyłowił nerkę i połknął ją w całości.

Słodka.

Pomimo środków nasennych Coot był przytomny. Wiedział, że umiera, a czas był zbyt cenny, by tracić go na drzemkę. Twarzy, która go przesłuchiwała w żółtawym półmroku, nie potrafił przypisać żadnego nazwiska, ale w głosie tamtego czuło się tyle natrętnego uporu, że musiał go wysłuchać, choć przeszkodziło mu to w jednaniu się z Bogiem. Poza tym, dręczyły ich te same pytania -pytania, dotyczące bestii, która zrobiła zeń miazgę.

--Porwał mi syna -- powiedział ów mężczyzna. -- Co wiesz o tym potworze? Proszę, powiedz mi. Uwierzę we wszystko, co powiesz. -- Teraz w tym głosie zabrzmiała nuta desperacji. -- Wyjaśnij tylko...

Przez spoczywającą na gorącej poduszce głowę Coota przelatowały chaotyczne myśli. Chrzest Declana, uścisk bestii, ołtarz, włosy -- i nie tylko włosy -- stojące dęba. Może jednak mógł coś przekazać owemu ojcu, czuwającemu przy łóżku?

--...w kościele...

Roń nachylił się nad Cootem. Od księdza wionęło już śmiercią.

--...oltarz... on się lęka... oltarz...

--Myślisz o krzyżu? On się lęka krzyża?

--Nie... nie...

--Nie...

Mięśnie napięły się po raz ostatni i zamarły. Roń widział, jak maska śmierci zakrywa twarz Coota; ślina na wargach duchownego zaschła; tęczęwka w nie uszkodzonym oku zwężyła się. Przyglądał się jeszcze długo, dopiero potem zadzwonił po pielęgniarkę i po cichu uciekł.

W kościele ktoś był. Drzwi, które policja zamknęła na kłódkę, stały teraz otworem. Wylamano zamek. Roń uchylił je nieco i wśliznął się do środka. Lampy były zgaszone; światło pochodziło jedynie z ogniska na stopniach ołtarza. Doglądał go młody człowiek, którego Roń widywał niekiedy we wsi. Oderwał teraz wzrok od ognia, ale nadal podsyczał płomienie kartkami wydzieranymi z książek.

--Czym mogę służyć? -- zapytał obojętnie.

--Przyszedłem... -- Roń zawahał się. Co mu powiedzieć? Prawdę? Nie, coś tu nie grało.

--Zadalem ci pytanie -- powiedział młody człowiek. -- Czego chcesz?

Zbliżając się do ogniska, Roń coraz wyraźniej widział pytającego. Na jego ubraniu widniały plamy przypominające błoto, oczy miał zapadnięte.

--Nie masz prawa tu wchodzić...

--Myślałem, że każdy może wstąpić do kościoła -- zauważył Roń, wpatrując się w czerniejące w ogniu stronice.

--Nie dzisiaj. Wypieprzaj stąd! Roń nadal szedł w kierunku ołtarza.

--Wypieprzaj, powiedziałem!

Twarz tamtego wykrzywiła się dziwacznie, łykała na Rona z ukosa. Twarz obłąkanego.

--Przyszedłem obejrzeć oltarz. Dopiero kiedy to zrobię, wyjdę.

--Rozmawiałeś z Cootem, tak?

--Z Cootem?

--Co ci powiedział ten stary świr? Cokolwiek to było, nałgał. Przez całe swoje cholerne życie nie powiedział ani słowa prawdy. Możesz mi wierzyć. Wystawał tam. -- Cisnął modlitewnikiem w pulpit. -- Łgał jak z pieprzonych nut!

--Chcę sam obejrzeć oltarz. Zobaczymy, czy rzeczywiście skłamał.

--Mowy nie ma!

Młody człowiek wrzucił w ogień kolejny plik książek i zastąpił Ronowi drogę. Cuchnął nie błotem, lecz kalem. Zaatakował bez ostrzeżenia. Złapał Rona za szyję i obaj upadli. Palce Declana dążyły ku oczom Miliona, zęby kłapały tuż przy jego nosie.

Roń był zaskoczony własną słabością. Dlaczego nie grywał w squasha, jak radziła Maggie? Dlaczego miał tak wiotkie mięśnie? Chwila nieuwagi i tamten go zabije.

Nagle przez okno wdarło się światło -- świt w środku nocy. Tuż po nim do walczących dotarła fala krzyków. Wnętrze kościoła rozświetlił blask płomieni, daleko większych niż te na stopniach ołtarza. Zatańczył na witrażach.

Declan na chwilę zapomniał o swej ofierze i Roń zaatakował. Odgiął w tył podbródek przeciwnika, wepchnął kolano pod jego tors i z całej siły kopnął. Wróg stoczył się z niego i

teraz Roń był górą. Przytrzymując szaleńca za włosy, tłukł nasadą dłoni w jego twarz, dopóki nie poczuł, że nos tamtego krwawi, a chrząstki pękają z trzaskiem -- bil i bil, aż pokaleczył sobie rękę. Dopiero wtedy puścił Declana.

Zeal stanęło w ogniu.

Trupiołowy nie raz już wzniecał pożary. Benzyna była jednak nową bronią, z którą się musiał oswoić. Nauka nie trwała długo. Sekret tkwił w okaleczeniu owych skrzyń na kołach, a to było łatwe. Otworzyć ich boki, żeby wyciekła ich krew -- krew, od której bolała go głowa. Bez trudu pokonał te skrzynie. Stały rzędem wzdłuż chodników jak byczki przeznaczone na rzeź. Kroczył pośród nich, bezradnych w obliczu śmierci, rozlewał ich krew wzdłuż High Road i podpalał ją. Strumienie płynnego ognia wdzierały się do ogrodów i przelewały przez progi. Płomienie ogarniały strzechy. Chaty szły z dymem. Po kilku minutach pożar rozszerzył się na całe Zeal.

Roń ściągnął z ołtarza brudny obrus, starając się nie myśleć o Debbie i Margaret. Policja na pewno zabierze je w bezpieczne miejsce. Najważniejsze było to, co robił.

Pod obrusem znajdowała się pokaźna skrzynia, której przednią ścianę pokrywała jakaś toporna płaskorzeźba. Nie zwrócił uwagi na to, co przedstawiała, miał ważniejsze sprawy na głowie. Na dworze szalała bestia. Słyszał jej triumfalny ryk i aż palił się -- tak, aż palił się -- by stawić jej czoła. Zabić ją lub zginąć. Ale najpierw -- skrzynia. Kryła w sobie moc, co do tego nie było wątpliwości, moc, która już teraz elektryzowała jego włosy i oddziaływała na jego członek, powodując bolesny wzwód. Podniecenie oładnęło całym jego ciałem, upajało go. Złakniony, położył obie dłonie na skrzyni. Ramionami jego targnął nagły wstrząs. Roń miał wrażenie, że gotują mu się stawy. Odleciał w tył. Ból był tak okropny, że niemal pozbawił go przytomności. Zaraz jednak ustąpił. Roń rozejrzał się w poszukiwaniu narzędzia, które pomogłoby mu bezboleśnie otworzyć skrzynię.

Zdesperowany, owinał dłoń strzępem obrusa i podniósł ze skraju ogniska mosiężny lichtarz. Płótno zaczęło się tlić, żar dotknął jego skóry. Roń cofnął się o krok i zaczął walić w skrzynię jak opętany, aż poleciały drzazgi. Ręce mu całkiem zdrętwiały, nie czuł nawet, czy rozgrzany metal pali mu dłonie. Jakie to zresztą miało znaczenie? Tam wewnątrz znajdowała się broń, oddalona zaledwie o kilka cali. Gdyby tylko zdołał do niej dotrzeć, wziąć ją w posiadanie. Erekcja stawała się już trudna do zniesienia, czuł drażniące swędzenie.

--Chodź do mnie. No chodź. No chodź -- powtarzał bezmyślnie. -- Chodź do mnie. Chodź do mnie. -- Zupełnie, jakby chciał wziąć ów skarb w ramiona; jakby miał do czynienia z dziewczyną, której pragnął, której pożądał jego członek i którą należało zahipnotyzować, by weszła do łóżka.

--Chodź do mnie, chodź do mnie...

Drewno pękało. Dysząc z wysiłku, odwalał krawędzią podstawy lichtarza co większe odłamki. Ołtarz był w rzeczywistości wydrążoną skrzynią. I do tego pustą.

Pustą.

Jeśli nie brać pod uwagę kamiennej kuli wielkości małej futbolówki. Czyżby to była jego zdobycz? Aż nie mógł w to uwierzyć. Tak niepozornie wyglądała, a jednak powietrze wokół niego wciąż było naelektryzowane, a krew w żyłach wrzała. Wsunął rękę w wylamany przez siebie otwór i wydobył ową relikwię.

Na dworze Trupiołowy święcił triumfy.

Roń ważył ów kamień w zmartwiałej dłoni, a przed jego oczyma przesuwały się niesamowite obrazy. Trup o płonących stopach, chata w płomieniach, pies -- żywy kłęb ognia -- biegnący przez ulicę. To wszystko rozgrywało się teraz w Zeal; czekało, by położyć temu kres.

A on mógł przeciwstawić podpalaczowi jedynie ów kamień. Przez pół dnia wierzył Bogu i zawiódł się na tym. Zdobył zwykły kamień, pieprzony kamień. Obracał teraz w rękach tę kulę, próbując wyłowić w jej faldach i wypukłościach jakiś sens. Może coś przedstawiała? Może nie dostrzegł jej prawdziwego znaczenia?

Z drugiego krańca kościoła dobiegł do niego jakiś zgiełk, trzask, krzyk spod drzwi i huk płomieni.

Do wnętrza wpadło dwoje ludzi, Ściganych przez dym i błagania.

--Podpalił wioskę -- powiedział jakiś nieobcy Ronowi głos. Życzliwy policjant, który nie wierzył w istnienie piekła. Starał się teraz nie ulec panice, może ze względu na swą towarzyszkę, panią Blatter z hotelu. Koszula nocna, w której kobieta wypadła na ulicę, zdążyła się już podrzeć i odsłaniała piersi, które trzęsły się w rytm szlochu. Pani Blatter chyba nie wiedziała, że jest półnaga ani nawet, gdzie się znalazła.

--Chryste, pomóż nam! -- powiedział Ivanhoe.

--Tu nie ma żadnego cholernego Chrystusa -- odezwał się Declan. Wstał już i szedł teraz chwiejnie ku intruzom. Roń, z miejsca, gdzie stał, nie widział jego twarzy, ale był pewien, że trudno byłoby ją rozpoznać. Pani Blatter minęła kierującego się ku drzwiom szaleńca i pobięła w kierunku ołtarza. W miejscu, gdzie teraz płonęło ognisko, kiedyś brała ślub.

Roń patrzył na nią, urzeczony.

Była zdecydowanie za gruba; miała obwisłe piersi i zbyt duży brzuch, na tyle przesłaniający łono, że należało wątpić, czy kiedykolwiek je widziała. A jednak dzięki niej Roń pojął, dlaczego miał tak silny wzwód i dlaczego kręciło mu się w głowie.

Trzymał w dłoni jej podobiznę. Na Boga, tak, to ją trzymał w dłoni, była żywym odzwierciedleniem owej bryłki. Kobieta. Wizerunek Wenus, kobiety tęższej niż pani Blatter, o brzuchu nabrzmiałym od potomstwa, cyckach jak góry i otwartej dla całego świata dolinie, która zaczynała się poniżej jej pępka. Przez te wszystkie lata wierni chylili głowy przed boginią, ukrytą pod obrusem i krzyżem.

Roń zszedł ze stopni ołtarza i puścił się biegiem przez kościół, odtrącając na bok panią Blatter, policjanta i szaleńca.

--Nie wychodź! -- ostrzegł go Ivanhoe. -- Jest tuż pod kościołem.

Roń mocno trzymał Wenus, czerpiąc z jej ciężaru poczucie bezpieczeństwa. Zza jego pleców doleciał wrzask kościelny, mający ostrzec jego pana. Tak, to na pewno było ostrzeżenie.

Roń kopnięciem otworzył drzwi. Jak okiem sięgnąć, szalał ogień. Chata w płomieniach, trup o płonących stopach i gnający na oślep pies, skąpany w ogniu. I oczywiście, Trupiołowy, wyraźnie widoczny na tle szalejących płomieni. Rozglądał się; może dlatego, że usłyszał krzyk kościelny, prawdopodobniejsze jednak było, że wiedział, wyczuł, iż odnaleziono wizerunek kobiety.

--Tutaj! -- krzyknął Roń. -- Tutaj jestem! Tu jestem!

Już nacierał, pewnym krokiem jak triumfator zmierzający do ostatecznego i absolutnego zwycięstwa. Roń zwątpił nagle w swoje siły. Dlaczego olbrzym szedł tak pewnie, nie zważając

na broń trzymaną przez człowieka?

Czyżby jej nie widział? Nie słyszał ostrzeżenia?

Chyba że...

"O Boże, Królu Niebios!

...Chyba że Coot się mylił. A to był tylko kamień, bezużyteczna, nic nie znacząca bryłka."

Nagle czyjeś ręce oplotły szyję Rona. Szaleniec. Cichy głos wypluł mu w ucho jedno słowo:

--Skurwysyn!

Roń nie odrywał wzroku od zbliżającego się Trupiogłowego.

--Tu jest! -- zaskrzeczał szaleniec. -- Zaalw go. Zabij go. Tu jest!

Uścisk zelżał i Roń, rzuciwszy okiem w tył, zauważył, że Ivanhoe odciąga Declana pod mury kościoła. Z rozbitych ust kościelnego wydobywało się skrzeczenie:

--Tu jest. Tutaj!

Roń znów spojrział na Trupiogłowego. Bestia była tuż tuż; nie zdążyłby nawet unieść kamienia w geście samoobrony. Ale olbrzym nie po niego tu przyszedł. Czuł i słyszał jedynie Declana. Ledwie olbrzymie łapy przesunęły się obok Rona, sięgając po szaleńca, Ivanhoe rozprostował palce. Sceny, która nastąpiła potem, nie sposób było oglądać. Roń wołał nawet nie wyobrażać sobie, jak owe ręce rozdzierają Declana na strzępy; słyszał jedynie belkotliwe błagania, przechodzące w rozpaczliwy wrzask. Kiedy już odważył się obejrzeć, to co zobaczył na ziemi i murze w niczym już nie przypominało człowieka...

...A Trupiogłowy szedł teraz po niego, szedł zrobić z nim to samo albo coś jeszcze gorszego. Wielki leb obrócił się, wbijając weń wzrok i szeroko rozdziawiając paszczę. Roń dostrzegł teraz, że ogień nie oszczędził olbrzyma. Bestia, upojona masakrą, nazbyt była beztroska; ogień opalił jej twarz i pierś. Sierść miała zwęgloną, grzywa zamieniła się w szczecinę, a lewa ręka poczerniała i pokryła się bąblami. Galki oczne, liźnięte płomieniem, pływały teraz pośród śluzu i łez. To dlatego potwór szedł śladem głosu Declana, omijając Rona - - niewiele już widział.

Ale jedno jeszcze musi zobaczyć. Musi.

--Tutaj... tutaj... -- powiedział Roń. -- Tu jestem.

Trupiogłowy usłyszał go. Szukał go nie widzącymi oczyma, próbował wyteńczyć wzrok.

--Tutaj! Tu jestem!

Trupiogłowy warknął. Piekła go poparzona twarz; pragnął stąd uciec, uciec w chłód gęstej brzeziny, skąpanej w świetle księżyca.

Jak przez mgłę zobaczył kamień, który ów homo sapiens tulił do siebie, jakby piastował dziecko. Nie widział go wyraźnie, ale wiedział, z czym ma do czynienia. I ten widok sprawiał mu ból. Klął go, a zarazem laskotał.

To oczywiście był jedynie symbol, oznaka mocy, nie moc sama w sobie, ale umysł potwora nie dorósł do tak subtelnych rozróżnień. Dla niego kamień był tym, czego najbardziej się obawiał: krwawiącą kobietą, której rozdziawiona szpara pożerała nasienie i wypluwała dzieci. Ta szpara, ta kobieta -- to było życie, nie kończąca się płodność. I to go przerażało.

Trupiogłowy cofnął się; po jego nodze spłynęła strużka kału. Lęk, widoczny na jego twarzy, dodał Ronowi sił. Mężczyzna wykorzystał tę przewagę, napierając na ustępującą bestię. Ledwie do niego docierało, że Ivanhoe obstawił go swoimi ludźmi i że gdzie tylko zdołał sięgnąć kątem oka, czaiły się uzbrojone postacie, rwące się do tego, by położyć trupem

podpalacza.

Siły go jednak opuszczały. Kamień, niesiony wysoko nad głową, tak by Trupiołowy widział go wyraźnie, z każdą chwilą wydawał mu się cięższy.

--Ruszajcie -- powiedział cicho Roń do otaczających go mieszkańców Zeal. -- Ruszajcie, bierzcie go. Bierzcie go...

Jeszcze nie skończył mówić, a już zacieśnili krąg.

Trupiołowy raczej ich wyczuł, niż zobaczył; obolałe oczy utkwil w posążku.

Zęby wysunęły się z ukrycia, gotowe do odparcia ataku. Ze wszystkich stron osaczał go ludzki odór.

Paniczny lęk wziął górę nad uprzedzeniami i olbrzym, broniąc się przed kamieniem, natarł na Rona. Atak zaskoczył człowieka. Szpony wbiły się w skórę na głowie, twarz Rona zalala się krwią.

Ale już zaciągnięto pętlę. Ludzkie ręce -- białe, słabe ludzkie ręce -- dosięgły Trupiołowego. Pięści tłukły w jego kręgosłup, paznokcie darły skórę.

Puścił Rona, gdy ktoś dorwał się z nożem do jego nóg i przeciął mu ścięgna. Ból sprawił, że olbrzym swym wyciem stracił niebo, a przynajmniej tak mu się zdawało. W spalonych przez ogień oczach Trupiołowego zawirowały gwiazdy, zwałił się na drogę słysząc, jak trzaskają kręgi. Ludzie nie zwlekając przygnietli go swoim ciężarem. Złamał komuś palce, innemu zmiażdżył twarz, ale nic już nie mogło ich powstrzymać. Ich nienawiść liczyła sobie wieki; mimo iż o tym nie wiedzieli, tkwiła w ich kościach.

Dopóki mógł, miotał się jeszcze, ale wiedział, że nie uniknie śmierci. Tym razem nie będzie wskreszenia, nie doczeka pod ziemią chwili, że zapomną o nim ich potomkowie. Na zawsze szczerze, obróci się w nicłość.

Ta myśl uspokoiła go nieco i na ile było to możliwe, podniósł wzrok ku miejscu, gdzie stał ów nieduży ojciec. Ich oczy spotkały się, jak wówczas na drodze, kiedy porwał chłopca. Tyle tylko, że spojrzenie Trupiołowego straciło swą paraliżującą moc. Jego twarz była pusta i martwa jak księżyc. Przegrał, zanim Roń wbił kamień między jego ślepia. Czaszka była miękka, zapadła się i mózg bryznął na drogę.

Król skonał. Wszystko skończyło się nagle, bez uroczystej ceremonii. Koniec, raz na zawsze. Nikt nie ronił lez.

Roń zostawił kamień tam, gdzie uderzył -- na wpół wbity w czoło bestii. Wstał chwiejnie i pomacał głowę. Skóra była zdarta i końce palców dotknęły czaszki. Krew lała się i lała. Znalazły się jednak ręce, zdolne go podtrzymać, a perspektywa snu wolnego od lęku też była nie do pogardzenia.

Nikt nie zauważył, że Trupiołowy konając opróżnił pęcherz. Strużka uryny wypłynęła spod trupa i pociekła w dół drogi. Parując w mroźnym powietrzu, szukała miejsca, w które mogłaby wsiąknąć. Kilka stóp dalej znalazła ściek i podążyła nim aż do szczeliny w nawierzchni, tam zespoliła się z gościnną ziemią.

PORNOGRAFIA I CAŁUN

(CONFESSION OF

A/PORNOGRAPHER'S/ SHROUD)

Był kiedyś ciałem. Ciałem, kością i ambicją. Tb było jednak wieki temu, tak mu się przynajmniej zdawało, a pamięć o owym błogosławionym stanie szybko gasła.

Pozostały jednak pewne ślady minionego życia, czas nie zdołał mu wszystkiego odebrać. Wyraźnie, aż do bólu, pamiętał twarze tych, których kochał lub nienawidził. Wpatrywały się w niego z przeszłości, wyraziste i jasne. Wciąż widział słodkie, ostatnie spojrzenie swoich dzieci. Oraz pozbawione słodczy, ale też ostatnie, łotrów, których zamordował.

Przy niektórych wspomnieniach zbierało mu się na płacz, ale z wykrochmalonych oczu nie mogła spłynąć łza. Zresztą, zbyt późno już było na żal. Żal to luksus zarezerwowany dla żywych, tych, którzy mają jeszcze dość czasu, tchu i energii, by działać.

On przeszedł już ten etap. On, maleńki Ronnie mamusi -- gdyby tak mogła go teraz widzieć -- nie żył już niemal od trzech tygodni. O wiele za długo, by czegokolwiek żałować.

Zrobił wszystko, co mógł, aby naprawić popełnione błędy. Przedłużył swój byt do granic możliwości, a nawet jeszcze dłużej, skradł nieco cennego czasu, by zakończyć rachunki, wyprowadzić bilans na zero. Maleńki Ronnie mamusi zawsze był porządnicki -- wzór schludności. To też było jednym z powodów, dla których zajął się księgowością. Ściganie pośród setek liczb kilku niewłaściwie wpisanych pensów było pasjonującą grą, a zbilansowanie ksiąg pod koniec dnia przynosiło mnóstwo satysfakcji. Niestety, zbyt późno uświadomił sobie, że życie nie jest tak porządne. Ale i tak spisał się najlepiej, jak tylko potrafił. Na więcej, jak mawiała matka, lepiej nie liczyć. Teraz pozostawało tylko wypowiedać się, a po spowiedzi udać się przed oblicze Sędziego, z czystymi rękami i ze skruchą.

Kiedy tak tkwił, przewieszony przez lśniący od częstego używania klęcznik konfesjonału w kościele św. Marii Magdaleny, obawiał się tylko tego, że przywłaszczony przez niego ciało nie utrzyma go w sobie na tyle długo, by zdołał zrzucić z siebie wszystkie grzechy, ciężące na jego płóciennym sercu. Skoncentrował się, próbując zachować na te kilka ostatnich, najważniejszych minut jedność duszy i ciała.

Wkrótce nadejdzie ojciec Rooney. Zasiądzie za kratą konfesjonału, ofiaruje mu słowa pociechy, zrozumienia i przebaczenia i wtedy, podczas ostatnich kilku minut swego skradzionego bytu, Ronnie Glass opowie mu wszystko.

Zacznie od zaprzeczenia najszkaradniejszej potwarzy, jaka na nim ciążyła: oskarżeniu o szerzenie pornografii.

Król pornografii.

Już sama myśl była absurdalna. Nie było w nim nic z rekina pornobiznesu. Zaświadczyć o tym mogli wszyscy, którzy go znali podczas trzydziestu dwóch lat żywota. Chryste, nawet nie przepadał za seksem! Ze wszystkich ludzi, którym można by było zarzucić handel świństwami, on był ostatnim. Podczas gdy zdawało się, że wszyscy szczycą się swoim rozpasaniem niczym trzecią nogą, on wiódł nieskazitelne życie. Zakazane uciechy cielesne, podobnie jak wypadki samochodowe, zdarzały się zawsze innym, nie jemu. Seks był jak jazda kolejką górską w lunaparku: raz do roku mógł bawić. Dwa razy, to jeszcze było znośne, trzeci raz przyprawiało o mdłości. Czyż należało się dziwić, że w ciągu lat małżeństwa z dobrą katoliczką ten dobry katolik dorobił się tylko dwójki dzieci?

Mimo wstrzemięźliwości seksualnej był jednak kochającym mężem i ojcem, a jego żona, Bernadette, dzieliła z nim ów stosunek do seksu, nigdy więc nie dochodziło między nimi do kłótni z tego powodu.

Ich największą radością były dzieci. Samantha stawała się już ideałem grzeczności i schludności, a Imogen odziedziczyła uśmiech po matce.

Trzeba przyznać, życie było udane. Był niemal właścicielem połowy nie wyróżniającego się niczym bliźniaka na zielonych peryferiach Londynu. Miał niewielki ogródek, o który troszczył się w niedzielę -- tak samo, jak o duszę. Na ile mógł to ocenić, wiódł życie typowe, skromne i wolne od brudu.

I takie by pozostało, gdyby nie ów robak chciwości w jego naturze. Bez dwóch zdań, to chciwość go zgubiła.

Gdyby nie pazerność, nie zainteresowałby się robotą oferowaną mu przez Maguire'a. Zaufałby instynktowi, rozejrząłby się po ciasnym, zadymionym biurze nad węgierską cukiernią w Soho i zrobił w tył zwrot. Ale pokusa bogactwa przesłoniła mu oczywistą prawdę -- że używał wszystkich swych buchalteryjnych talentów, by nadać pozór wiarygodności operacjom, które cuchnęły przestępstwem. W duchu o tym, oczywiście, wiedział. Wiedział, że Maguire, pomimo nieustających opowieści o odnowie moralnej, pomimo sympatii, jaką żywił dla dzieci i obsesji na punkcie wyrafinowanej sztuki bonsai, był wszą. Najędzniejszą z nędznych. Ronnie jednak skutecznie odcinał się od tych faktów, zadowolając się tym, co do niego należało: bilansowaniem ksiąg. Maguire był hojny, nietrudno było więc pozostać ślepy. Ronnie zaczął nawet lubić tego człowieka i jego współpracowników. Przyzwyczaił się do powłóczącego nogami olbrzyma, Dennisa Luzzatiego, zwanego Dorkiem, wiecznie noszącego na tłustych wargach ślady kremówek. Przywykł też do niewielkiego, trzypalcego Henry'ego B. Henry'ego, jego karcianych sztuczek i trajkotania -- codziennie o czymś innym. Nie należeli do zbyt wyrafinowanych rozmówców i z pewnością nie byliby mile widziani w Klubie Tennisowym, ale wyglądali dość nieszkodliwie.

Szokiem, prawdziwym szokiem było dla Ronnie'ego zrzucenie zasłony i odkrycie, jakimi bestiami są w rzeczywistości Dork, Henry i Maguire.

Objawienie nastąpiło przypadkiem.

Pewnego wieczoru, skończywszy właśnie jakieś sprawozdanie finansowe, Ronnie podjechał taksówką pod magazyn, zamierzając osobiście wręczyć je szefowi. Nigdy dotąd nie był w tym magazynie, choć to miejsce często pojawiała się w ich rozmowach. Maguire od kilku miesięcy składował tam zapasy książek. Głównie książek kucharskich z Europy, tak przynajmniej powiedziano Ronnie'emu, miał ujrzeć prawdę w całej jej wielobarwnej okazałości. Znalazł Maguire'a w jednym z nie otynkowanych pokoi. Szef siedział na krześle, otoczony paczkami i skrzyniami. Dork też tam był, pałaszował ciastko. Henry B. układał pasjansa. Wokół tej trójki piętrzyły się stosy czasopism, tysiące zeszytów o połyskliwych okładkach.

Maguire podniósł wzrok znad rachunków.

--Glassy -- powiedział. Zawsze go tak nazywał.

Ronnie nie mógł oderwać oczu od wnętrza pokoju. Nawet z tej odległości mógł zgadnąć, jakich to skarbów stosy widzi.

--Właż -- powiedział Henry B. -- Partyjkę?

--Nie rób takiej poważnej miny -- rzekł uspokajająco Maguire. -- To tylko towar.

Oniemiały ze zgrozy, Ronnie zbliżył się do jednego ze stosów i otworzył leżące na wierzchu czasopismo.

"Climax Erotica", głośiła okładka. "Barwna pornografia dla dyskryminowanych dorosłych. Wersja angielska, niemiecka i francuska." Nie mogąc się oprzeć, zaczął wertować magazyn. Ledwie słyszał lawinę żartów i gróźb, jakimi zasypywał go Maguire. Płonął ze wstydu.

Ze stron czasopism wylaniały się roje obscenicznych zdjęć. Nigdy w życiu nie widział nic podobnego. Zarejestrowano tu z najdrobniejszymi szczegółami każdy akt seksualny, jakiego mogli się dopuścić zlaknieni kochankowie. Uczestnicy owych aktów uśmiechali się do Ronnie'ego szklistymi oczyma, nurzali się w bagnie seksu, a na ich obrzmiałych od rozpusty twarzach nie widać było śladu wstydu czy poczucia winy. Wyraźnie za to było widać wszystkie szpary, otwory, każdą zmarszczkę i pieprzyk. Patrząc na te splecione w akrobatycznych pozycjach ciała, Glass dostał mdłości.

Zamknął magazyn i zerknął na kolejny stos. Inne twarze, ta sama wściekła ruja. Zgromadzono tu wszelkie możliwe zboczenia seksualne. Same tytuły świadczyły o atrakcjach, jakie można było znaleźć wewnątrz. "Rozpustnice w łańcuchach", wołał jeden z nich. "Zniewolona przez gumę", obiecywał inny. Trzeci oferował "Kochanka rasy Labrador", przedstawionego wiernie, po najdrobniejszy kosmyk mokrej sierści.

Do skołowanego umysłu Ronnie'ego zaczął się z wolna przesączać przepalony przez papierosy głos Michaela Maguire'a. Sypał pochlebstwami, a przynajmniej próbował to robić, co gorsza, drwił z jego naiwności:

--Prędzej czy później i tak byś się dowiedział -- twierdził. -- Chyba lepiej, że stało się to wcześniej, co? Nic w tym strasznego.

Ronnie gwałtownie potrząsnął głową, próbując wyrzucić z niej obrazy, jakie wryły się pod powiekami. Zaczynały już opanowywać jego umysł, dziewiczy dotychczas pod tym względem. Wyobrażenia podsuwała mu wizję sfory labradorów w skórzanych kostiumach, łapczywie pijących z ciał spętanych kurew. Był przerażony strumieniami ohydztwa, atakującymi go ze wszystkich stron. Poczul, że jeśli się nie przeciwstawi, zaduszą go.

--Okropne. -- Tylko tyle był w stanie powiedzieć. -- Okropne.

--Jest na nie wielki popyt.

--Nie u mnie! -- zaprotestował, jakby Maguire sugerował mu, że to on jest tym zainteresowany.

--W porządku, a zatem ci nie leżą. Jemu nie leżą, Dork.

Dork delikatną chusteczką ścierał krem ze swych krótkich palców.

--Czemu nie?

--Za świńskie dla niego.

--Okropne -- powiedział znowu Ronnie.

--Cóż, siedzisz w tym po szyję, synu -- oznajmił Maguire. Czy jego głos był teraz głosem diabła? Z całą pewnością, tak. -- Równie dobrze możesz znieść to z uśmiechem:

--Pieść to z uśmiechem -- parsknął Dork. -- To mi się podoba, Mick. Naprawdę mi się podoba.

Ronnie przyjrzał się Maguire'owi. Tamten miał czterdzieści pięć lat, ale przez swą spękaną, pomarszczoną twarz wydawał się znacznie starszy. Cały urok przysł, twarz, z którą

Ronnie spotkał się wzrokiem, nie miała w sobie nic ludzkiego. Pot, szczecina i popękane usta przywiodły mu na myśl tylek mięsistej dziwki z jednego z magazynów.

--My wszyscy jesteśmy kryminalistami -- oznajmił ów organ. -- I jeśli nas znów przyłapią, nie będziemy mieli nic do stracenia.

--Nic -- powtórzył Dork.

--Ale ty, synu, jesteś czyściutki jak łza. Jeśli jednak zdecydujesz się rozklepać na prawo i lewo o tych świńskich interesach, stracisz reputację milego, rzetelnego księgowego. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że nigdzie już nie znajdziesz pracy. Rozumiesz, co mam na myśli?

Ronnie zapragnął uderzyć Maguire'a i zrobił to, dość mocno. Kiedy cios dosięgnął zębów tamtego, rozległ się satysfakcjonujący trzask, a spomiędzy warg pociekła krew. Ronnie bił się jednak po raz pierwszy od czasów szkoły i zbyt był powolny, by uchylić się przed nieuniknioną kontrą. Uderzenie, którym odpowiedział Maguire, posłało go, broczącego krwią, pomiędzy "Rozpustnice". Ronnie nie zdołał się jeszcze pozbierać, a już pięta Dorka wbiła się w jego nos, łamiąc chrząstkę. Podczas gdy próbował mruganiem oczyścić oczy z krwi, Dork podniósł go i przytrzymał.

Upierścieniona ręka Maguire'a zmieniła się w pięść i przez następne pięć minut szef wykorzystywał swego księgowego jako worek treningowy, zaczynając poniżej pasa i dążąc w górę.

Dziwne, ale ból dodał Ronnie'emu otuchy, zdawało się, że uwolnił jego duszę od jakiegokolwiek winy skuteczniej niż łańcuszek Zdrowasiek. Kiedy bicie ustało i Dork puścił go, poharatanego, Ronnie nie czuł już ani krzty złości -- a jedynie silną potrzebę wyrównania rachunków z Maguire'em.

Wrócił tamtej nocy do domu i skłamał Bernadette, że napadnięto go na ulicy. Tak się przejęła, że wstyd mu było ją oszukiwać, ale nie miał wyboru. I tamtej nocy, i następnej nie mógł zasnąć. Leżał w łóżku obok swej ufnej połowicy i próbował zrozumieć własne uczucia. Czuł w kościach, że prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw. Lepiej było, rzecz jasna, udać się na policję.

Ale to wymagało odwagi, a nigdy jeszcze nie czuł się tak słaby. Tak przetrwał czwartkową noc i piątkową czekając, aż sińce zżółkną i ustanie niepewność.

W niedzielę zaś bomba pękła.

Na pierwszych stronach najmarniejszych niedzielnych brukowców pojawiła się jego twarz, zaopatrzona w nagłówek: "Erotyczne imperium Ronalda Glassa". Wewnątrz były fotografie, zrobione przy niewinnych okazjach, teraz przedstawione jako dowody winy. Glass wyglądający na zaszczutego. Glass wyglądający na nieogolonego; krótkie włosy kojarzyły się z kanonem estetyki, typowym dla więziennictwa i cenionym przez bractwo półświatka. Jako krótkowidz, mrużył oczy, na zdjęciu wyglądał przez to jak obleśny szczur.

Stał przed kioskiem, wpatrując się we własną twarz i wiedział, że na horyzoncie pojawił się jego osobisty Armagedon. Dygocząc wczytał się w łgarstwa zawarte w artykule.

Ktoś -- nigdy właściwie nie doszedł do tego, kto -- opowiedział długą bajkę. Pornografia, burdele, sex-shopy, kina. Tajemny świat brudu, stworzony przez geniusz Maguire'a, doczekał się opisu, obfitującego w najbardziej plugawe szczegóły. Brakowało tam tylko nazwiska Maguire'a. Zapomniano też o Dorku i Henrym. Był jedynie Glass, wszędzie tylko Glass, jego

wina była oczywista. Nazwano go deprawatorem dzieci, "Cichym Chłopaczkiem", który obrósł w piórka i zhardział.

Protesty nic by nie dały. Kiedy wrócił do domu, Bernadette już nie było, zabrała także dzieci. Ktoś zdążył ją powiadomić, zapewne śliniąc się do słuchawki, uradowany tym słoństwem.

Ronnie postął chwilę w kuchni, patrząc na stół, nakryty do śniadania, którego nikt nie ruszył i już nie ruszy. Rozplakał się. Nie przesadnie, zapas łez miał dość ograniczony, jedynie na tyle, by uznać, że spełnił powinność. Zakończywszy ów akt skruchy i jak przystało na uczciwego człowieka, którego niesłusznie oskarżono, zajął się planowaniem morderstwa.

Pod wieloma względami zdobycie pistoletu było trudniejsze niż wszystko, co nastąpiło później. Wymagało rozwagi, kilku gładkich słów i okazałej harmonii twardej gotówki. Znalezienie broni, jakiej potrzebował, i zgłębienie jej tajników zajęło mu półtora dnia.

A potem, kiedy nadeszła odpowiednia pora, zajął się swoimi sprawami.

Henry B. umarł jako pierwszy. Ronnie zastrzelił go w jego własnej kuchni, wyłożonej sosnową boazerią, w coraz popularniejszym Islington. Henry trzymał w trójpalciej dłoni filiżankę świeżo zaparzonej kawy, a w jego oczach błysnęło żalosne przerażenie. Pierwszy pocisk rąbnął go w bok, przedziurawił koszulę, powodując niewielki upływ krwi. Mniejszy niż się Ronnie spodziewał. Strzelił więc po raz drugi, już pewniej. Druga kula trafiła w cel, w szyję, wyglądało na to, że to ona przyniosła śmierć. Henry B. upadł na twarz jak komik w niemym filmie. Do chwili zderzenia z podłogą nie wypuścił filiżanki. Naczynie zawirowało pośród zmieszanych kropli kawy i krwi. Znieruchomiało.

Ronnie zbliżył się do trupa Henry'ego B. i umieścił trzecią kulę w jego karku. Ostatni strzał przypieczętował tylko pierwszy z wystawionych rachunków. Potem Ronnie bez większych trudności wymknął się tylnymi drzwiami, podniecony łatwością, z jaką mu to poszło. Miał wrażenie, że usidlił i zabił szczura; nieprzyjemna, ale powinność.

Euforia trwała pięć minut. Potem pojawiły się mdłości.

Jednym słowem, Henry'ego miał z głowy. Koniec z jego sztuczkami.

Śmierć Dorka wywarła na Ronnie'em większe wrażenie. Życie olbrzyma dobiegło kresu na wyścigach psów, w chwili gdy poczuł długi nóż, wchodzący pomiędzy czwarte i piąte żebro, pokazywał Ronnie'emu bilet, na który padła wygrana. Ledwie dotarło do niego, że umiera, na nalanej od ciągłego jedzenia ciastek twarzy zagościł wyraz najgłębszego zdumienia. Popatrzył na kręcących się wokół niego frajerów, tak jakby któryś z nich miał za chwilę wskazać go palcem i wybuchnąć śmiechem wyjaśniając, że to był tylko żart, przedwczesna niespodzianka z okazji urodzin.

Potem Ronnie przekręcił ostrze, czytał kiedyś, że to przyspiesza śmierć i Dork pojął w końcu, że -- niezależnie od wygranej na wyścigach -- nie był to jego szczęśliwy dzień.

Ciężkie ciało sunęło w zbitym ciasno tłumie przez dobre dziesięć jardów, zanim utknęło w kleszczach wyjścia. Dopiero wtedy ktoś zauważył krew, tryskającą z rany i wrzasnął.

Ale Ronnie był już daleko.

Zadowolony, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, wrócił do domu. Zastał tam Bernadette, pakującą ubrania i ulubione błyskotki. Chciał jej powiedzieć "Bierz wszystko, mnie na tym nie zależy", ale wymknęła się zaraz niczym duch. Stół kuchenny wciąż czekał na niedzielne śniadanie. Na płatkach kukurydzianych, wypełniających dziecięce miseczki, osiadł

kurz. Powietrze przesycone było wonią zjełczalego tłuszczu. Ronnie spędził przy tym stole popołudnie, zmierzch i noc -- aż do wczesnych godzin porannych -- sycąc się nowo odkrytą władzą nad życiem i śmiercią. Potem poszedł do łóżka, nie zdejmując ubrania; nie dbał już o zachowanie pozorów. Spał snem sprawiedliwego.

Maguire bez trudu odgadł, kto sprzątnął Dorka i Henry'ego B. Henry'ego, niełatwo jednak było mu przelknąć, że dokonał tego taki pętał. Wielu przedstawicieli półświatka śmiało się wraz z królem porno z numeru, jaki wyciął temu niewiniątku. Nikt jednak nie przypuszczał, że Ronald Glass będzie zdolny do tak ostrej rozprawy z wrogiem. W najbardziej zakazanych melinach mówiono o nim teraz jak o swoim, ceniąc jego determinację i żądzę krwi. Inni, a w tym Maguire, uważali jednak, że posunął się za daleko, by mogli powitać go w stadzie jak zbląkaną owcę. Ustalono zatem, że należy go usunąć, zanim bardziej zaszkodzi kruchej równowadze sił.

Tak więc dni Ronnie'ego były już policzone. Można je było policzyć nawet na trzech palcach Henry'ego B.

Przyszli po niego w sobotę po południu. Zgarnęli go szybko, nawet nie zdążył posłużyć się bronią. Zawieźli go do Magazynu Salami i Wędlin, a tam, w białej od lodu chłodni, gdzie nikt im nie mógł przeszkodzić, powiesili na haku i zabrali się do tortur. Wszyscy, których cokolwiek łączyło z Dorkiem lub Henrym B., mieli okazję odreagować swój smutek. Nożami, młotkami, palnikami acetyleno-tlenowymi. Strzaskali mu kolana i łokcie. Wyrwali bębenki, spalili podeszwy stóp.

Z czasem, około jedenastej, zaczęli tracić zapal. Właśnie ożywały nocne kluby, rozgrzewały się stoliki w kasynach; nadeszła pora, by skończyć z owym wymiarem sprawiedliwości i ruszyć w miasto.

Wtedy właśnie pojawił się Micky Maguire, odświętnie ubrany kat. Ronnie jak przez mgłę wyczuwał jego obecność. Zmysły odmawiały mu już posłuszeństwa, więc ledwie widział lufę, wymierzoną w jego głowę, z trudem usłyszał huk wystrzału, jaki rozbrzmiał w wyłożonym białymi kafelkami pomieszczeniu.

Celnie wymierzony pocisk wwiерcił się w jego mózg przez sam środek czoła. Powstał w ten sposób otwór przypominający trzecie oko.

Maguire z godnością przyjął owacje, ucałował damy, podziękował drogim przyjaciółom, którzy nie opuścili go w potrzebie i poszedł się zabawić. Ciało, ukryte w worku z czarnego plastyku, porzucono wczesnym rankiem na skraju lasu Epping, gdzie wśród jesionów i jaworów budził się poranny ptasi chór. Wszystko wskazywało na to, że sprawa została zakończona. Ale to był dopiero początek.

Ciało Ronnie'ego znalazł w poniedziałek rano, tuż przed siódmą, jakiś jogger. Od chwili, kiedy je porzucono, minęła już cała doba, zaczęło się więc rozkładać.

Ale patolog widywał już o wiele gorsze rzeczy. Zobojętniały, czekał, aż asystenci rozbiorą zwłoki, złożą odzież i umieszczą ją w oznakowanych plastikowych workach. Czekal cierpliwie i taktownie, aż do jego królestwa ciszy wprowadzą wdowę po zmarłym, o spopielalej twarzy i oczach opuchniętych od nadmiaru łez. W spojrzeniu, jakim omiatała ciało męża, nie było miłości; bez zmrużenia powiek przyglądała się ranom i śladom tortur. Patolog wiedział, co kryje się w owym ostatnim spotkaniu Króla Seksu i jego nad wyraz spokojnej żony. Małżeństwo pozbawione miłości; klótnie o jego odrażający tryb życia; jej rozpacz, jego brutalność -- i teraz

ulga, koniec udręki, szansa na rozpoczęcie nowego życia. Zakodował sobie w pamięci, że musi sprawdzić adres ślicznej wdówki. Jej obojętność na widok okaleczonych zwłok dobrze rokowała na przyszłość. Na samą myśl o niej pociekła mu ślina.

Ronnie wiedział, że Bernadette złożyła mu krótką wizytę, wyczuwał też inne twarze, które zajrzały do kostnicy tylko po to, by rzucić okiem na Króla Seksu. Nawet po śmierci budził fascynację i przerażony tym faktem tłukł się teraz po zimnych zwojach mózgowych niczym lokator, któremu grozi eksmisja. Świat wokół niego walił się, a on nie był w stanie temu przeciwdziałać.

Od czasu swej śmierci nie myślał nawet o ucieczce. Siedział pod sklepieniem martwej czaszki, nie mogąc znaleźć drogi do świata żywych, a nie chcąc rozstać się na zawsze z życiem i odejść do Nieba. Nadal gorzała w nim żądza zemsty. Część jego umysłu, nieustępliwa wobec wrogów, gotowa była odroczyć wejście do Raju w imię splacenia zaległych rachunków. Należało zbilansować księgi; dopóki Michael Maguire będzie stąpał wśród żywych, Ronnie Glass nie podda się pokucie.

Obserwował więc ze swego kulistego więzienia wizyty ciekawskich i zbierał siły do swego ostatniego zadania.

Patolog zajął się trupem Ronnie'ego z szacunkiem, godnym specja od patroszenia ryb. Starannie wydlubał kulę spod czaszki i zaczął myszkować wśród miazgi, pełnej odłamków kości i chrząstek, jaka zajmowała obecnie miejsce kolan i łokci denata. Ronnie'emu nie spodobał się ten patolog. Przedtem gapił się na Bernadette w sposób dalece odbiegający od jego etyki zawodowej, teraz zaś, kiedy odgrywał zawodowca, raził gruboskórnością. Gdyby tak mieć głos, mieć pięść i ciało -- choć na jakiś czas. Pokazałby temu rzeźnikowi, jak należy traktować zwłoki. Sama wola niewiele jednak znaczyła, trzeba było jeszcze mieć środki do jej realizacji.

Patolog skończył oględziny, topornie zszyl ciało, cisnął wilgotne rękawice oraz brudne instrumenty na wózek, obok tamponów i alkoholu, po czym zostawił denata asystentom.

Ronnie usłyszał skrzypnięcie wahadłowych drzwi, towarzyszące odejściu lekarza. Gdzieś tam pociekła woda, rozbryzgując się w umywalce. Irytujący był ten odgłos.

Stojący obok stołu, na którym leżał, asystenci rozmawiali o butach. Właśnie o butach. "Co za banal -- pomyślał Ronnie. -- Tragiczny banal."

--Widziałeś moje nowe obcasy, Lenny? Te, które zrobiłem w brązowych zamszakach? Bez sensu. Cholerna tandeta.

--Nic dziwnego.

--A ile za nie dałem. Popatrz na nie, tylko popatrz. Starły się w miesiąc.

--Cienkie jak bibułka.

--Właśnie, Lenny, cienkie jak bibułka. Zamierzam je zwrócić.

--Ja bym tak zrobił.

--Zwrócę.

Po wielogodzinnych torturach, nagłym zgonie i sekcji, której tak niedawno doświadczył, trudno było Ronnie'emu znieść tę bezmyślną rozmowę. Duch jego tłukł się wewnątrz mózgu niczym wściekła pszczoła, uwięziona w odwróconym słoiku po dżemie, marząca tylko, by się wydostać i wbić gdzieś żądło...

--Cienkie jak cholerna bibułka.

--Nic dziwnego.

--Cholerny import. Wyrób pieprzonej Korei.

--Korei?

--Dlatego są takie cienkie jak bibulka.

Bezdena głupota tych ludzi była nie do zniesienia. Ale oni żyli, działali i istnieli, podczas gdy on tłukł się pod czaszką, dostając już świra. I gdzie tu sprawiedliwość?

--Niezły strzał, co?

--Co?

--Ten sztywniak. Ten, jak mu tam, Król Pornografii. Stuknięty w sam środek czoła.

Widzisz? Bach, i nie ma faceta.

Wyglądało jednak na to, że tamten nadal trapi się podeszwami, cienkimi jak bibulka. Nie odpowiedział. Lenny ostrożnie zsunął całun z czoła Ronnie'ego. Nacięcia i miejsca, z których usunięto skórę, niezgrabnie załatano, ale otwór po kuli wciąż był nienaruszony.

--Tylko popatrz.

Tamten spojrział na trupa. Ranę głowy po sprawdzeniu jej przez patologa raz jeszcze oczyszczono. Krawędzie otworu były białe i spękane.

--Myślałem, że zwykle ładują w serce -- powiedział nieszczęsny właściciel butów.

--To nie była rozróżba uliczna. Prawdziwa egzekucja, coś jak kara śmierci -- odparł Lenny, pakując palec w ranę. -- Doskonały strzał. Bach, w sam środek czoła. Jakby miał troje oczu.

--No...

Całun znów przykrył twarz Ronnie'ego.

--Słyszałeś o trzecim oku, nie?

--A ty co?

--Stella czytała mi kiedyś, że to środek ciała.

--Gadasz o pępku. Jak czoło może być środkiem ciała?

--Ale...

--Mówię ci, że pępek.

--Nie, to chodzi o środek duchowy. Tamten nie raczył odpowiedzieć.

--Leży mniej więcej tam, gdzie weszła ta kula -- zakończył Lenny, wciąż pełen podziwu dla zabójcy Ronnie'ego.

Glass słuchał uważnie. Dziura po kuli była dotąd jedną więcej dziurą w jego życiu. Po żonie i dzieciach zostały dziury. Dziury, niczym nie widzące oczy, wpatrywały się w niego ze stronic magazynów, różowe, brązowe, owłosione. Dziury z prawej, dziury z lewej...

Czy to możliwe, że w końcu znalazł dziurę, dzięki której mógł coś zyskać? Czemu nie uciec przez ranę?

Duch zdecydował się i ruszył w kierunku czoła, pełną przez korę mózgową. Nie wiedział, czy cieszyć się, czy lękać. Wyczuwał drzwi pełne światła, czekające na końcu długiego tunelu. Dalej, na zewnątrz niczym ziemia obiecana bieląło płótno całunu. Nie zmylił kierunku; w miarę jak posuwał się do przodu, blask stawał się intensywniejszy, a głosy wyraźniejsze. W chwili, gdy duch Ronnie'ego wydostał się z ciała, nie zabrzmiały żadne fanfary; ot, po prostu wyciekła czyjaś dusza. Drobiniki cieczy, niosące w sobie wolę i świadomość umarłego, wsiąkały w całun jak łzy w pory skóry.

Przyrodzone mu ciało opustoszało, stało się lodowatą skorupą, nadającą się tylko do spalania.

Ronnie Glass znalazł się w nowym świecie, w świecie z białego płótna, odmiennym od wszystkiego, czym żył i o czym marzył.

Wcielil się w swój całun.

Gdyby patolog nie miał kłopotów z pamięcią, nie pojawiliby się teraz w prosektorium, aby odnaleźć notatnik, w którym zapisał sobie numer wdowy Glass; a gdyby nie wrócił, żyłby nadal. A tak...

--Jeszcze się nim nie zajęliście? -- warknął na asystentów.

Wymamrotali jakieś przeprosiny, czy coś w tym rodzaju. O tej porze zawsze był wściekły; przywykli do jego wybuchów.

--Do roboty! -- zarządził, ściągając całun z ciała i ciskając go z irytacją na podłogę. -- Póki ten sukinsyn nie wyniósł się stąd, obrażony. Nie chcemy chyba, żeby nasz hotelik zyskał złą sławę, prawda?

--Tak, sir. To znaczy, nie, sir.

--No, to nie stójcie jak kolki. Pakować go. Wdowa chce, żeby go wyekspediować najszybciej, jak się da. Dość już się na niego napatrzyłem.

Ronnie leżał na podłodze jak zmięty gałgan, z wolna podporządkowując sobie nowo zdobyte terytorium. Dobrze było znów mieć ciało, nawet sterylne i prostokątne. Wykorzystując ogrom swej woli, o którego istnieniu nie miał dotąd pojęcia, Ronnie w pełni zawładnął całunem.

Początkowo płótno opierało się ożywieniu. Zawsze było bierne, zgodnie ze swą naturą. Nie nadawało się do tego, żeby mieć duszę. Ale Ronnie nie zamierzał ustąpić.

Narzucił mu swą wolę. Wbrew wszelkim regułom rozciągnął płótno i nadał mu pozór życia.

Całun podniósł się.

Patolog znalazł już swą czarną książeczkę i właśnie chował ją do kieszeni, kiedy tuż przed nim rozpostarła się biała zasłona, przeciągająca się jak człowiek zbudzony z długiego snu.

Ronnie próbował coś powiedzieć, ale wy dobył z siebie jedynie szelest płótna na wietrze, zbyt lekki, zbyt bezcielesny, by przebić się przez jęki przerażonych ludzi. A byli przerażeni. Mimo apelu patologa nikt nie pospieszył z pomocą. Lenny i jego kompan cofali się ku wahadłowym drzwiom, a z ich rozdziawionych ust wydobywały się belkotliwe błagania, kierowane do wszystkich bóstw, które zechciałyby ich wysłuchać.

Patolog oparł się o stół do sekcji, nie myśląc teraz o modłach.

--Precz z moich oczu! -- powiedział. Ronnie objął go. Mocno.

--Pomocy! -- zawołał patolog niemal bezgłośnie. Ale nie było dlań pomocy. Uciekała w głąb korytarza, wciąż belkocąc, pierzchła przed cudem, jaki miał miejsce w prosektorium. Patolog został sam, owinięty wykrochmalonym uściskiem, wyrzucał z siebie wszystkie słowa przeprosin, jakie udało mu się odnaleźć pod powłoką dumy.

--Przepraszam cię, kimkolwiek jesteś. Czymkolwiek jesteś. Przepraszam.

Ale Ronnie'ego ogarnął gniew. Nie było miejsca na litowanie się nad skruszonym grzesznikiem, nie było miejsca na darowanie win, na rozgrzeszenie. Ten rybioki bękart, ten syn skalpela pociął i wypatroszył jego ciało jak poleć wołowiny. Myśl o tym, jak ów padalec traktował sprawy życia, śmierci i Bernadette, doprowadzała Ronnie'ego do szału. Sukinsyn musi umrzeć. Tutaj, pośród swoich ofiar. Koniec z tym bezdusznym konowalem.

Rogi całunu, sterowane wolą Glassa, przekształcały się w niezgrabne ramiona. Nadanie nowemu ciału dawnego kształtu zdawało się być najbardziej naturalnym rozwiązaniem.

Najpierw stworzył ogólny zarys dłoni, potem stawy, w końcu szczałkowy kciuk. Praojciec Adam powstający z płótna.

Ręce, jeszcze nie w pełni dopracowane, już zaciskały się na szyi patologa. W płóciennych palcach nie było czucia, trudno więc było ocenić, jak mocno należy je zacisnąć. Ronnie użył wszystkich swoich sił. Twarz ofiary poczerniała, a z ust wystrzelił język o barwie śliwki, twardy i ostry niczym grot włóczni. Ronnie, nie panując nad sobą, skręcił mężczyźnie kark. Rozległ się nagły trzask i głowa patologa odchyliła się pod nienaturalnym kątem. Umilkły próżne błagania.

Ronnie rzucił go na wycyklinowaną podłogę i popatrzył na stworzone przez siebie dłonie, popatrzył oczyma, które wciąż jeszcze wyglądały jak dwie dziurki w poplamionym prześcieradle.

W swym ciele czuł się pewnie i -- na Boga! -- był teraz silaczem, bez wysiłku skręcił temu draniowi kark. Zajmując to dziwne, bezkrwiste ciało, uwolnił się od ograniczeń narzucanych przez ludzki organizm. Nagle zaczął żyć życiem powietrza czując, jak go ono przepelnia i zmusza do falowania. Z pewnością potrafił także latać jak prześcieradło na wietrze, a także zrobić węzeł na kształt pięści i zmusić świat do uległości. Perspektywom nie było końca...

A jednak... czuł, że osiągnął to tylko na pewien czas. Prędzej czy później całun powróci do dawnego kształtu, kawalkowi płótna zostanie przywrócona jego prawdziwa, bierna natura. To ciało nie było mu dane na zawsze, a jedynie pożyczone, miało posłużyć jego zemście. Przecież najważniejsze to znaleźć Maguire'a i pozbyć się go. Potem, jeżeli czas pozwoli, zobaczyć dzieci. Niemądrze byłoby jednak odwiedzić je w postaci fruującego prześcieradła. Należało popracować nad iluzją człowieczeństwa, sprawdzić, co da się w tej mierze osiągnąć.

Wiedział, ile można zdziałać, odpowiednio fałdując płótno. Czasem doszukiwał się zarysów twarzy w zmiętych poduszkach lub w kurtkach wiszących w przedpokoju. Jeszcze bardziej fascynujący był Całun Turyński, cudowny wizerunek ukrzyżowanego Jezusa Chrystusa. Bernadette otrzymała kiedyś pocztówkę z jego zdjęciem, na którym widać było wyraźnie każdą ranę po gwoździu czy włóczni. Czyż nie mógł sam doprowadzić siłą woli do takiego cudu? Przecież i on powstał z martwych.

Zbliżył się do umywalki i zakręcił kurek, po czym spojrział w lustro, chcąc zobaczyć kształt, jaki całunowi nada jego wola. W miarę jak formował płótno, materiał drgał i wyciągał się. Początkowo pojawił się toporny zarys głowy, trochę jak u bałwana. Dwa wgłębienia zamiast oczu, guzowaty nos. Ronnie skoncentrował się, nakazując płótnu rozciągnięcie się do granic możliwości. Poskutkowało! Naprawdę poskutkowało. Nici opierały się, ale ulegając jego żądaniom, układały się w wierny wizerunek nozdrzy, a potem powiek. Górna warga, potem dolna. Niczym zakochany przywoływał z pamięci rysy utraconej twarzy i kopiował je jak najwierniej. Potem wykreował kolumnę, pełniącą rolę szyi, pozornie dość solidną. Niżej całun utworzył tors. Ręce były już uformowane, pojawiły się jeszcze nogi. Dokonało się.

Stworzył się, na własny obraz i podobieństwo.

Iluzja nie była doskonała. Jeśli pominąć plamy, był śnieżnobiały, a jego ciało wciąż przypominało tkaninę. Zmarszczki na twarzy rysowały się może zbyt ostro, prawie jak na obrazach kubistów, nie sposób też było wyczarować z płótna czegoś na kształt paznokci lub włosów. Był jednak gotowy na spotkanie ze światem i jako ożywiony całun więcej nie mógł osiągnąć.

Nadszedł czas na pokazanie się publiczności.

--Wygrałeś, Micky.

Maguire rzadko przegrywał w pokera. Był na to zbyt sprytny, a jego zmęczona twarz -- nieodgadniona. Jego znużone, przekrwione oczy widziały wszystko. Mimo iż prawie zawsze wygrywał, nigdy nie uciekał się do oszustwa. Taką zawarł ze sobą umowę. Wygrana, osiągnięta kantem, nie przynosiła satysfakcji. To była kradzież dobra dla kryminalistów. A on był przecież człowiekiem interesu, rasowym i rzetelnym.

Tego wieczoru w przeciągu dwóch i pół godziny zgarnął porządną sumkę. Życie było piękne. Od czasu śmierci Dorka, Henry'ego B. i Glassa policja zajmowała się głównie morderstwami, niezbyt angażując się w pomniejsze sprawy z zakresu obyczajówki. Poza tym ręce władz były porządnie nasmarowane, tamci nie mieli powodu do narzekań. Inspektor Wall, odwieczny kompan od kielicha, zaproponował nawet Maguire'owi ochronę przed grasującym w okolicy maniakiem. Absurdalność tego pomysłu rozbawiła Maguire'a.

Dochodziła trzecia nad ranem. Czas, by niegrzeczne dziewczynki i źli chłopcy znaleźli się w łóżkach, by śnić o występkach, jakie przyniesie im następny dzień. Maguire wstał od stołu, dając sygnał do zakończenia nocnej gry. Zapiął kamizelkę i starannie zawiązał krawat z cytrynowego jedwabiu.

--Zagramy w przyszłym tygodniu? -- zaproponował.

Pokonani gracze wyrazili zgodę. Przywykli już do tracenia pieniędzy na rzecz szefa, żaden z nich nie miał o to pretensji. Było im trochę smutno: brakowało Henry'ego B. i Dorka. Sobotnie wieczory bywały dawniej tak wesołe. Teraz wkradło się w nie jakieś wyciszenie.

Perglut pierwszy poderwał się do wyjścia. Zdusił cygareto w wypelnionej po brzegi popielniczce.

--Dobranoc, Mick.

--Dobranoc, Frank. Uściskaj dzieciaki od wujka Micka.

--Bankowo.

Perglut wyniósł się wraz ze swym bratem jękała.

--D-d-dobranoc.

--Dobranoc, Ernest. Bracia zbiegli ze schodów.

Ostatni, jak zwykle, wychodził Norton.

--Jutro wysyłka? -- zapytał.

--Jutro jest niedziela -- przypomniał Maguire. Nigdy nie pracował w niedzielę, ten dzień należał do rodziny.

--Nie, dzisiaj jest niedziela -- sprostował Norton, starając się, żeby wypadło to naturalnie, bez cienia pedanterii. -- Jutro jest poniedziałek.

--Fakt.

--Wysyłka w poniedziałek?

--Mam nadzieję.

--Wybierasz się do magazynu?

--Pewnie tak.

--Złapię cię tam. Razem załatwimy sprawę.

--Świetnie.

Norton był równym facetem. Bez poczucia humoru, ale można było na nim polegać.

--No, to dobranoc.

--Dobranoc.

Jego trzycalowe obcasy podbite były blaszkami. Zastukały na schodach jak kobiece szpilki. Na dole trzasnęły drzwi.

Maguire przeliczył wygraną, wysączył z kieliszka resztę cointreau i zgasił światło w sali gier. Powietrze cuchnęło dymem. Jutro podeśle tu kogoś, kto otworzy okno i wpuści nieco świeżych zapachów Soho. Salami i ziaren kawy, interesów i luzactwa. Uwielbiał to, uwielbiał bez granic, tak jak niemowlak uwielbia cycek.

Schodząc do ciemnego teraz sex-shopu, słyszał dochodzące z ulicy głosy, trzask drzwiczek i warkot sygnalizujący odjazd kosztownych samochodów. Miły wieczór z dobrymi przyjaciółmi, czegoż więcej można chcieć?

U dołu schodów zatrzymał się na chwilę. Migotliwe światło neonu z naprzeciwka rozjaśniło sklep na tyle, że mógł rozróżnić rzędy czasopism. Powleczone plastykiem, lśniły silikonowe piersi, obfite pośladki prężyły się z okładek niczym dojrzałe owoce, wypacykowane twarze wydymały usta, obiecując wszelkie rozkosze, jakie samotnym mógł dać papier. Ale to go nie brało, dawno już minęły czasy, kiedy się tym emocjonował. Teraz był to jedynie pieniądz. Był przecież szczęśliwym małżonkiem, miał żonę, której wyobraźnia sięgała ledwie drugiej strony Kamasutry i która dawała dziecku lanie za jedno nieprzyzwoite słowo.

W kacie, gdzie prezentowano pisma dla sadystów i masochistów, coś podniosło się z podłogi. Przez ten migoczący różnymi barwami neon Maguire miał kłopoty z rozróżnieniem szczegółów. Czerwony, niebieski. Ale w każdym razie nie był to Norton ani żaden z Perglutów.

A jednak spod rzędów "Spętanej i zgwałconej" uśmiechała się do niego twarz, którą znał. Glass...!

Maguire nie zastanawiał się nawet, jakim cudem umarły może się mu przyglądać, jego płaszcz i dolna szczęka opadły jednocześnie. Zaczął uciekać.

Drzwi były zamknięte, a klucz wisiał na kółku wraz z dwoma tuzinami innych. Jezu, po cóż mu było tyle kluczy? Klucze od magazynu, klucze od szklarni, klucze od burdelu.

I jeszcze to pulsujące światło. Czerwone, niebieskie. Czerwone, niebieskie.

Chwycił klucze i szczęśliwym trafem pierwszy, po który sięgnął, okazał się właściwy. Poszło jak po maśle. Drzwi były otwarte, droga na ulicę -- wolna.

Zanim jednak Maguire zdołał przestąpić próg, Glass bez najmniejszego szelestu znalazł się za jego plecami i zarzucił mu na głowę jakąś szmatę. Śmierdziała szpitalem: eterem albo lizolem, a może jednym i drugim. Maguire próbował krzyknąć, ale kawał tej ściery wypełnił mu usta. Zakrztusił się, zebrało mu się na wymioty. W odpowiedzi na to zabójca jeszcze wzmocnił nacisk.

Szamotoaninę w drzwiach sklepu obserwowała z drugiej strony ulicy dziewczyna, którą Maguire znalazł pod imieniem Natalie. Jej pusta twarz nosiła ślady przyćpania. Dziewczyna raz czy dwa widziała, jak kogoś mordowano, bywała też świadkiem gwałtów i nie zamierzała się w nic mieszać. Co więcej, było już późno i bolały ją pachwiny. Zawróciła więc w głąb różowego korytarza, pozostawiając bójkę jej naturalnemu biegowi. Maguire zanotował sobie w pamięci, że trzeba będzie tej dziewczynie pociąć twarz. O ile sam przetrwa to starcie, co z każdą chwilą stawało się coraz mniej prawdopodobne. Czerwień i błękit zlały się w jedno, niedotleniony mózg przestał rozróżniać kolory i choć Maguire'owi udało się chwycić napastnika, opór tamtego nagle zelżał i przez spocone palce króla porno przeciekała tylko szmata, pusta szmata.

Nagle usłyszał jakiś głos. Nie dobiegał z za jego pleców, nie był głosem zabójcy. Dochodził z ulicy. Norton. To był Norton. Chwała Bogu. Z jakiegoś powodu wrócił i wysiadał właśnie z samochodu o dziesięć jardów od sklepu. Wołał Maguire'a.

Dławiący uścisk ustąpił i Maguire zachwiał się. Czując, że wszystko wokół wiruje, zwałił się na chodnik. W blasku neonu przypominał leżącą fioletową kukłę.

Norton puścił się biegiem w kierunku szefa, usiłując wyszarpnąć spluwę spośród drobiazgów, wypełniających jego kieszeń. Ubrany na biało zabójca zniknął w głębi ulicy, rezygnując ze starcia z drugim przeciwnikiem. "Do licha -- pomyślał Norton. -- Wygląda jak żaloszny członek Ku Klux Klanu: kaptur, długa szata, peleryna." Gangster opadł na kolano, trzymając oburącz broń, wymierzył w faceta i strzelił. Z zadziwiającym skutkiem. Sylwetka tamtego wydęła się jak balon, zniknęły gdzieś zarysy ciała. Pozostała jedynie biała, łopocząca płachta z niewyraźnym wizerunkiem twarzy. Słychać było coś, jakby trzepotanie pościeli, wiszącej na sznurze -- odgłos zupełnie nie na miejscu w tym ponurym zaułku. Zdumienie unieruchomiło Nortona. Zdawało mu się, że człowiek-prześcieradło wzbil się w powietrze.

Leżący u stóp Nortona Maguire z jękiem dochodził do siebie. Próbował coś powiedzieć, ale słowa, wydobywające się z okaleczonego gardła, trudno było zrozumieć. Norton nachylił się nad nim. Szef cuchnął wymiocinami.

--Glass -- wykrztusił.

To wystarczyło. Norton skinął głową, uspokoił szefa. Jasne, ta twarz na prześcieradle. Glass, nieroztropny księgowy. Norton pamiętał, jak przypiekali mu stopy, był świadkiem tamtej złowrożej ceremonii. Nie przypadła mu do smaku.

"No, no, Ronnie Glass miał najwidoczniej przyjaciół, przyjaciół nie gardzących zemstą."

Norton spojrział w górę, ale wiatr już uniósł zjawę ponad szczyty dachów.

Pierwsze doświadczenia nie nastrajały optymistycznie. Ronnie wciąż rozpamiętywał wydarzenia tamtej nocy. Leżał zmięty w kącie obskurnej, opuszczonej fabryki na południe od rzeki i walczył z ogarniającą go paniką. Cóż warte były jego niezwykle możliwości, jeśli przy pierwszym sygnale zagrożenia tracił nad nimi kontrolę? Będzie musiał opracować precyzyjniejszy plan i zmobilizować całą siłę woli, aby nic nie było w stanie się mu oprzeć. Już teraz czuł, jak uchodzi z niego energia, trudniej było ponownie odtworzyć ciało. Nie mógł sobie pozwolić na nowe niepowodzenie. Będzie musiał dopaść Maguire'a w miejscu, z którego tamten nie zdoła uciec.

Śledztwo w sprawie wydarzeń w prosektorium przez pół dnia nie posunęło się nawet o krok. Nadejście nocy nie zapowiadało zmian. Inspektor Wall ze Scotland Yardu próbował już wszystkiego. Obietnic, gróźb, kokieterii, zaskoczenia, a nawet bicia. Mimo to Lenny wciąż opowiadał tę samą historyjkę, absurdalną bajeczkę, którą -jak się zaklinał-- mógł potwierdzić jego współpracownik, znajdujący się obecnie w stanie osłupienia katatoniczne-go. Inspektor jednak w żaden sposób nie mógł traktować poważnie jego opowiastki. Chodzący całun? Jak to umieścić w raporcie? Nie, tu trzeba było czegoś konkretnego, nawet jeżeli miało to być łgarstwo.

--Czy mogę prosić o papierosa? -- zapytał po raz kolejny Lenny.

Wall potrząsnął głową.

--Hej, Fresco -- zwrócił się do swego zastępcy, Ala Kincaida. -- Sądzę, że pora, byś znowu zrewidował tego szczeniaka.

Lenny wiedział, co oznaczała taka rewizja, eufemizm zastępujący pobicie. Pod ścianę, nogi w rozkroku, ręce na głowę i... Na tę myśl żołądek podjechał mu do góry.

--Słuchajcie... -- powiedział błagalnie.

--Co, Lenny?

--Ja tego nie zrobiłem.

--Oczywiście, że to zrobiłeś -- oświadczył Wall, dłubiąc w nosie. -- Chcemy tylko wiedzieć, dlaczego. Nie lubiłeś tego starego pierdoły? Robił świńskie uwagi na temat twoich przyjaciółek? O ile wiem, nawet z tego słyszał.

Al Fresco wykrzywił się w uśmiechu.

--Na litość boską -- powiedział Lenny. -- Myślicie, że opowiedziałbym wam taką pieprzoną historyjkę, gdybym nie oglądał tego na własne oczy?

--Słownictwo -- zadrwił Fresco.

--Całuny nie latają -- oznajmił Wall ze zrozumiałym przekonaniem.

--No to gdzie ten całun? -- zapytał rozsądnie Lenny.

--Spaliłeś go, zjadłeś, skąd, do kurwy nędzy, mam wiedzieć?

--Słownictwo -- powiedział cicho Lenny.

Zanim Fresco zdążył go uderzyć, zadzwonił telefon. Policjant podniósł słuchawkę, powiedział coś i przekazał ją Wallowi. Potem rąbnął Lenny'ego, taki przyjacielski klaps, nie zostawiający śladów.

--Słuchaj -- rzekł Fresco, podchodząc do przesłuchiwanego tak blisko, jakby chciał wyssać powietrze z jego ust. -- Wiemy, że to zrobiłeś, rozumiesz? Poza tobą nie było w prosektorium żywego ducha, zdolnego to zrobić, rozumiesz? Chcemy tylko wiedzieć, dlaczego? To wszystko. Dlaczego?

--Fresco -- zwrócił się do swojego pomagiera Wall, zakrywając dłonią słuchawkę.

--Tak, sir.

--To pan Maguire.

--Pan Maguire?

--Micky Maguire. Fresco pokiwał głową.

--Jest bardzo zaniepokojony.

--Ach tak? Z jakiego powodu?

--Sądzi, że został napadnięty przez faceta z prosektorium. Przez króla pornografii.

--Glassa -- podpowiedział Lenny. -- Ronnie'ego Glassa.

--Ronalda Glassa, jak słyszałeś. -- Wall wyszczerzył zęby.

--To absurd -- stwierdził Fresco.

--Cóż, myślę, że powinniśmy służyć pomocą wybitnemu członkowi naszej społeczności, nieprawdaż? Skocz do prosektorium, jeśli laska. Upewnij się...

--Upewnić się?

--Że ten sukinsyn jeszcze tam leży...

--O!

Fresco wyszedł, zdziwiony, lecz posłuszny.

Lenny nic z tego nie rozumiał, ale mało go to obchodziło. Co to, do cholery, miało z nim wspólnego? Zaczął bawić się swoimi jajami przez dziurę w lewej kieszeni. Wall obserwował go z dezaprobatą.

--Nie rób tego -- powiedział. -- Będiesz mógł się zabawiać, ile tylko zechcesz, jak wpakujemy cię do małej, ciepłej celi.

Fresco wrócił z prosektorium, nieco zadyszany.

--Jest tam -- oznajmił, wyraźnie podbudowany łatwością zadania.

--Oczywiście, że jest -- rzekł Wall.

--Martwy jak dodo -- uzupełnił Fresco.

--Co to jest dodo? -- chciał wiedzieć Lenny. Fresco wyglądał na zmieszanego.

--Zwrot retoryczny -- powiedział rozdrażniony.

Wall znów rozmawiał z Maguire'em. Facet na drugim końcu linii zdawał się być przerażony i zapewnienia inspektora niewiele tu pomagały.

--Leży spokojnie na miejscu, Micky. Musiałeś się pomylić.

Lęk Maguire'a czuło się nawet przez telefon.

--Widziałem go, do cholery.

--Leży tu z dziurą w głowie, Micky. Jakim więc cudem mogłeś go widzieć?

--Nie wiem -- przyznał Maguire.

--A więc...

--Słuchaj... Wpadnij do mnie przy okazji, dobrze? Umowa, jak zwykle. Miałbym dla ciebie sympatyczną robótkę.

Wall nie lubił omawiać interesów przez telefon, robił się niespokojny.

--Pogadamy później, Micky.

--OK. Zajrzysz?

--Zajrzę.

--Obiecujesz?

--Tak.

Wall odłożył słuchawkę i popatrzył na podejrzanego. Lenny znów grał w kieszonkowy bilard. "Beznadziejnie durny bydlaczek, aż się prosi o kolejną rewizję" -- pomyślał.

--Fresco -- zagruchał słodko Wall. -- Byłbyś laskaw nauczyć Lenny'ego, że nie przystoi się tak zabawiać przed oficerami policji?

Maguire skrył się w swej twierdzy w Richmond. Płakał jak dziecko.

Widział Glassa, bez dwóch zdań. Wall mógł gadać, że ciało znajduje się w prosektorium, ale on wiedział swoje. Glass nawiał, laził na ulicy, mimo że Maguire sam rozwalil sukinsynowi łeb.

Maguire był człowiekiem bogobojnym i wierzył w życie pozagrobowe, choć nigdy do tej pory nie zastanawiał się, na czym ono polega. Oto pojawiła się odpowiedź: cuchnący eterem sukinsyn o twarzy bez wyrazu -- tak właśnie wygląda życie po śmierci. To wszystko doprowadzało go do płaczu, bał się żyć, ale jeszcze bardziej bał się umierać.

Dawno już weszło słońce, spokojny niedzielny ranek. Tu, w zaciszu "Ponderosy" w świetle dnia nic mu się nie mogło przytrafić. To była jego twierdza, zbudowana za ciężko zarobione pieniądze. Tu czuwał Norton, uzbrojony po zęby. Pod każdą bramą warowały psy. Nikt, czy żywy, czy martwy, nie odważyłby się zakwestionować jego władzy nad tym terytorium. Tutaj, pośród portretów swoich idoli, Louisa B. Mayera, Dillingera i Churchilla, pośród rodziny, pośród kosztownych bibelotów, pieniędzy i dzieł sztuki, był panem. Jeżeli ten szalony księgowy przyjdzie tu po niego, oberwie na amen, duch czy nie duch. Finis.

Czyż w końcu nie był Michael'em Roscoe Maguire'em, twórcą imperium? Zrodzony w nędzy, osiągnął zaszczyty. Swoje mroczne skłonności ujawniał tylko raz na jakiś czas, i to w ściśle określonych okolicznościach, tak jak podczas egzekucji Glassa. Ten mały spektakl dostarczył mu nieklamanej przyjemności, to zabicie cierpiącego zawierało w sobie ogrom litości, było prawdziwym coup de grace. Ale to gwałtowne życie istniało gdzieś obok. Teraz czuł się członkiem burżuazji, bezpiecznym w swojej fortecy.

Raquel obudziła się o ósmej i zaczęła robić śniadanie.

--Zjesz coś? -- zapytała Maguire'a. Potrząsnął głową. Za bardzo bolał go przelyk.

--Kawy?

--Tak.

--Podać ci tutaj?

Potwierdził. Lubił przesiadywać przy oknie wychodzącym na trawnik i szklarnię. Robiło się coraz cieplej, tłuste chmury-baranki brykały, popychane przez wiatr, a ich cienie kładły się na doskonałej zieleni trawników. "Może powinienem zacząć malować -- pomyślał. -- Podobnie jak Winston. Przenosić na płótno ulubione pejzaże, może widok ogrodu czy nawet akt Raquel, utrwalić go, zanim jej cycki zwiotczeją tak, że nikt nie zdoła im pomóc."

--Dobrze się czujesz? -- zapytała.

"Głupia suka. Jasne, że nie czuję się dobrze."

--Pewnie -- odpowiedział.

--Masz gościa.

--Co? -- Aż wyprostował się w skórzanym fotelu. -- Kto taki?

Uśmiechnęła się do niego.

--Trący -- powiedziała. -- Chce, żebyś ją przytulił. Wypuścił z sykiem powietrze. "Głupia, głupia suka."

--Mogę ją tu wpuścić?

--Pewnie.

"Mała wpadka", jak ją lubił nazywać, stała w drzwiach, ubrana jeszcze w szlafroczek.

--Cześć, tatusiu.

--Czołem, kochanie.

Popłynęła ku niemu przez pokój. Pomniejszona kopia matki.

--Mama mówi, że jesteś chory.

--Już mi lepiej.

--Cieszę się.

--Ja również.

--Pójdziemy dziś na spacer?

--Może.

--Obejrzymy jarmark?

--Może.

Wydęła rozkosznie usta, perfekcyjnie kontrolując efekt. Znów sztuczka Raquel. Miał tylko nadzieję, że Trący nie wyrośnie na taką idiotkę, jak jej matka.

--Zobaczymy -- powiedział, starając się zasugerować "tak", choć wiedział, że mówi "nie".

Wspięła się na jego kolano. Przez jakiś czas poddawał się figlom tej pięciolatki, potem odesłał ją, by się ogarnęła. Od mówienia bolało go gardło, poza tym tego dnia nie czuł się

najlepiej w roli kochającego ojca.

I znów samotny, wpatrywał się w tańczące na trawniku cienie.

Tuż po jedenastej rozszczękały się psy. W chwilę później umilkły. Wstał, żeby poszukać Nortona. Był w kuchni, siedział wraz z Trący nad puzzlami. "Wóz z sianem" z dwóch tysięcy kawałków. Jedna z ulubionych układanek Raquel.

--Sprawdziłeś psy, Norton?

--Nie, szefie.

--To zrób to, kurwa!

Rzadko przeklinał przy dziecku, ale tym razem aż kipiał. Norton zaskoczył od razu. Kiedy otworzył drzwi kuchenne, Maguire'a owionął zapach dnia. Kusilo go, żeby wyjść przed dom. Jednakże w szczekaniu psów było coś, co sprawiło, że zahuczało mu w głowie, a w dłoniach poczuł mrowienie. Trący pochyliła się nad puzzlami, w napięciu czekając, czy ojciec wybuchnie gniewem. Nie odezwał się jednak słowem. Wrócił do salonu.

Ze swego fotela widział Nortona, kroczącego przez trawnik. Psy już umilkły. Norton zniknął za szklarnią. Długa chwila oczekiwania. Maguire zaczął się już niepokoić, ale Norton znów się pojawił. Mówił coś, wzruszając ramionami. Maguire otworzył rozsuwane drzwi i wyszedł na patio. Powietrze działało jak balsam.

--Co mówisz? -- krzyknął do Nortona.

--Z psami wszystko w porządku -- odkrzyknął zapytany.

Maguire rozluźnił się. Oczywiście, że wszystko w porządku. Czemu nie miałyby sobie poszperać, od czego w końcu są? O mały włos nie zrobił z siebie durnia, lejąc w portki, tylko dlatego, że psom zachciało się szczekać. Kiwnął na Nortona i zszedł z patio na trawnik.

"Piękny dzień" -- pomyślał. Przyspieszając kroku, ruszył w kierunku szklarni, gdzie rosły jego troskliwie pielęgnowane drzewka bonsai. Norton posłusznie czekał pod drzwiami, wywracając kieszenie w poszukiwaniu miętówek.

--Chce pan, żebym tu został?

--Nie.

--Na pewno?

--Na pewno -- powiedział wspaniałomyślnie. -- Wracaj pobawić się z dzieciakiem. Norton kiwnął głową.

--Z psami wszystko w porządku -- powtórzył.

--Dobra.

--To pewnie wiatr je zderwował.

Tak, wiał wiatr. Ciepły, ale silny. Poruszył gałęzie czerwonych buków, okalających ogród. Zadrgały, ukazując niebu blade spody liści. Miętkość i subtelność tego falowania podnosiła na duchu.

Maguire otworzył drzwi szklarni i wszedł do swego azylu. Tu, w tym sztucznym Edenie, znajdowało się to, co naprawdę kochał, karmione czułością i nawozem z mątw. Jego jałowiec Sargenta, który przetrwał trudy życia na górze Ishizuchi; jego kwitnąca pigwa; jego świerk z Yeddo (Picea Jesoensis), jego ulubiony karzeł, którego po kilku nieudanych próbach nauczył lgnąć do kamieni. Same ślicznotki, maleńkie cuda o węzowych pniach i kaskadach igieł, warte najtroskliwszej opieki.

Zadowolony, wyłączając się na jakiś czas z otaczającego go świata, zajął się nimi.

Psy walczyły o Ronnie'ego, jakby był zabawką. Przyłapały go, kiedy przekradał się przez mur, i osaczyły, zanim zdążył uciec. Rzuciły się na niego z zapalem, drąc i plując strzępami płótna. Wymknął się tylko dzięki nadejściu Nortona, które na chwilę poskromiło ich szal.

Ciało Ronnie'ego podarło się w kilku miejscach. Walka nadwątlila jego energię, a w całunie pojawiły się dziury, niweczając pozór cielesności. Ronnie miał teraz rozdarty brzuch, do tego lewa noga trzymała się na ostatnich nitkach. Przybyło plam -- do krwi dołączył śluz i psie łajno.

Wszystko zależało jednak od jego woli, od jego silnej woli. Był już tak blisko; nie pora, by rozkładać ręce i ustępować przed naturalną kolejną rzeczą. Sam był przejawem buntu przeciw naturze, piszącej mu inny los. Po raz pierwszy w życiu? (śmierci!) ogarniała go euforia. Czy to aż takie straszne, być czymś nadnaturalnym, zaprzeczeniem ustalonego porządku i zdrowego rozsądku? Był obsrany, zakrwawiony i martwy. Zmartwychwstał jako kawał poplamionego prześcieradła, był czymś absurdalnym. Ale był. Dopóki istniała jego wola, nikt nie mógł zaprzeczyć i jego istnieniu. To była przepyszna myśl niczym odkrycie nowego sensu w ślepych i głuchym świecie.

Wypatrzył w szklarni Maguire'a i przez jakiś czas nie spuszczał go z oka. Wróg był całkowicie pochłonięty swoim hobby; pielęgnując swoje kwitnące pupilki, coś nawet gwizdał. Ronnie zbliżył się do szyby, cichutko szeleszcząc.

Maguire nie słyszał szelestu płótna, dopóki twarz Ronnie'ego nie rozplaszczyła się na szybie, rozmazana i niekształtna. Upuścił świerk z Yeddo. Drzewko wylądowało na podłodze; miało połamane gałęzie.

Maguire chciał wrzasnąć, ale udało mu się wydusić z siebie zaledwie zdławiony pisk. Rzucił się do drzwi, a rozdęta żądzą zemsty twarz wypchnęła szybę. Potem stało się coś, czego Maguire nie był w stanie pojąć. Jakimś sposobem, przecząc fizyce, głowa i ciało tamtego prześliznęły się przez rozbite szkło i znalazły się w jego sanktuarium, ponownie przybierając ludzkie kształty.

Nie, nie całkiem ludzkie. Przybysz wyglądał jak po zawale, był biały jak śmierć, a poszarpane ciało zwisało luźno; kiedy ruszył za Maguire'em, widać było, że wlecze za sobą rozdartą nogę.

Maguire otworzył drzwi i umknął do ogrodu. Zjawa pospieszyła za nim, wyciągając ręce. Usłyszał jej głos.

--Maguire...

Wymieniła jego nazwisko, tak cicho, że może mu się tylko zdawało. Ale nie, odezwała się ponownie.

--Poznajesz mnie, Maguire? -- zapytała. Jasne, że rozpoznał. Nawet te martwe, rozfalowane rysy nie mogły ukryć przed nim Ronnie'ego Glassa.

--Glass -- odpowiedział.

--Tak -- potwierdziła zjawa.

--Nie chcę... -- zaczął Maguire, ale zaraz urwał. Czego właściwie nie chciał? Na pewno nie chciał rozmawiać z tym upiorem. Nie chciał też uwierzyć w jego istnienie. Ale najbardziej nie chciał umierać.

--Nie chcę umierać.

--Umrzesz -- oznajmiła zjawa.

Maguire poczuł gwałtowny podmuch -- płachta skoczyła ku jego twarzy, a może to tylko

wiatr cisnął weń tego bezcielesnego potwora.

Jakkolwiek to się stało, uścisk zjawy cuchnął eterem, lizolem i śmiercią. Płócienne ramiona zaciskały się, a twarz z rozdziawionymi ustami napierała, jakby chciała go pocałować.

Maguire odruchowo splótł ręce na grzbiecie napastnika. Dłonie odkryły dziurę w całunie, dzieło psów. Zacisnął palce na krawędziach tej szpary i szarpnął. Z zadowoleniem słuchał trzasku dartego płótna. Niedźwiedzi uścisk zelżał. Całun wyrwał się z rąk Maguire'a, a rozmyte usta otwarły się w niemym krzyku.

Ronnie poczuł potworny ból: a już myślał, że się od niego uwolnił, jak od ciała i kości. I oto ból -- straszliwy ból -- znów mu towarzyszył.

Odleciał od swego oprawcy, krzycząc najgłośniejszym głosem, jak potrafił. Maguire z oczyma rozszerzonymi ze strachu pobiegł chwiejnie przez trawnik. Był bliski oblędu, jego umysł musiał już trafić szlag. Ale to nie wystarczyło. Ronnie musi zabić tego sukinsyna: dotrzymać danej sobie obietnicy.

Ból nie malał, ale Ronnie spróbował go zignorować: całą energię włożył w pogoń za Maguire'em, biegnącym przez trawnik w kierunku domu. Taki był słaby: niemal ulegał wiatrowi, przenikającemu przez całun i igrającemu strzępami jego ciała. Wyglądał jak sztandar, poszarpany w bitewnym ogniu, zbrukany tak, że trudno było go rozpoznać, bliski rezygnacji.

Tyle że, tyle że... był jeszcze Maguire.

Maguire wpadł do domu i zatrzasnął drzwi. Prześcieradło przywarło do okna, lopocząc idiotycznie i drapiąc szkło płóciennymi palcami. Zamazująca się twarz łaknęła zemsty.

--Wpuść mnie -- domagała się. -- Dostanę się do środka. Maguire wycofał się do hallu.

--Raquel...

"Gdzie ta kobieta?"

--Raquel?... Raquel...

W kuchni jej nie było. Z pokoiku dobiegał śpiew Trący. Zajrzał tam. Dziewczynka była sama. Siedziała ze słuchawkami na uszach na środku podłogi i wtórowała jakiejś ulubionej piosence.

--Mama? -- pokazał na migi.

--Na górze -- odpowiedziała, nie zdejmując słuchawek.

Na górze. Wspinając się po schodach, słyszał, że w ogrodzie szczekają psy. Co robi ta zjawa? Co ten skurwysyn robi?

--Raquel -- zawołał tak cicho, że ledwie sam siebie słyszał. Jak gdyby on również stał się duchem.

Na piętrze panowała cisza.

Wpadł do wyłożonej brązowymi kafelkami łazienki i zapalił światło. Lubił przeglądać się w jego blasku. Miękka poświata łagodziła starcze rysy. Tym razem jednak nie była w stanie tego zrobić. Zobaczył twarz starego, zaszczutego człowieka.

Dopadł do bielizniarki i pogrzebał pomiędzy ciepłymi ręcznikami. Jest! Pistolet, czekający na taką okazję. Do ust napłynęła mu ślina. Wyciągnął broń, sprawdził. Wszystko grało. Kiedyś już załatwił z niej Glassa i zrobi to ponownie. I jeszcze raz. I jeszcze.

Otworzył drzwi sypialni.

--Raquel...

Siedziała na skraju łóżka, oplatając nogami Nortona. Oboje byli jeszcze ubrani, ale jedna z bujnych piersi Raquel, wyzwolona z biustonosza, przywierała ciasno do zachłannych ust mężczyzny. Kobieta podniosła wzrok, jak zwykle, durna, nie pojmując, co narobiła.

Niewiele myśląc, strzelił.

Przyjęła kulę z otwartymi ustami, nienasycona. Pocisk wychodząc wywalił w jej karku pokaźną dziurę.

Norton przerwał -- nie był wszak nekrofilem -- i skoczył do okna. Nie wiadomo, co zamierzał zrobić. Ucieczka była niemożliwa.

Następna kula wbiła się w środek jego pleców i przeszła na wylot, dziurawiąc szybę.

Dopiero wtedy, kiedy jej kochanek już nie żył, Raquel zwała się na łóżko; pierś plasnęła, nogi rozchyliły się szeroko. Maguire przyglądał się jej upadkowi. Opuścił pistolet.

Psy już nie szczekały.

Wymknął się na korytarz, zamykając cicho drzwi, żeby nie przeszkadzać dziecku. Stanąwszy u szczytu schodów, zobaczył ujmującą twarzyczkę obserwującej go z dołu córki.

--Tatusiu.

Przyjrzał się jej, zaintrygowany.

--Ktoś był pod drzwiami. Widziałam przez szybę. Schodził niepewnie po schodach, stopień po stopniu. "Tylko powoli" -- pomyślał.

--Otworzyłam drzwi, ale już nikogo nie było. "Wall. To musiał być Wall. On będzie wiedział, co trzeba zrobić."

--Czy to był wysoki mężczyzna?

--Nie widziałam go wyraźnie, tatusiu. Tylko jego twarz. Był nawet bledszy od ciebie.

"Drzwi. O Jezu, drzwi! Jeżeli zostawiła otwarte... za późno."

Twarz mężczyzny, który wszedł do hallu, wykrzywiła się w uśmiechu. Maguire w całym swoim życiu nie widział nic potworniejszego.

To nie był Wall.

Wall był pełnokrwistym mężczyzną -- przybysz przypominał szmacianą lalkę. Wall był ponurakiem -- ten się uśmiechał. Wall był uosobieniem życia, prawa i porządku. Ten stwór nie.

Oczywiście, Glass.

Maguire potrząsnął głową. Dziewczynka, nie widząc sylwetki falującej w powietrzu za jej plecami, źle zrozumiała ten gest.

--Zrobiłam coś nie tak?

Ronnie wyminał ją, szybując w górę schodów; bardziej cień niż człowiek. Włókł za sobą strzępy płótna. Maguire nie miał już ani czasu, ani siły, by stawiać opór. Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć i Ronnie wepchnął w nie jedyną już teraz rękę, skręconą w płócienny sznur, sięgając do krtani. Maguire zaczął się krztusić, ale mściciel sięgał coraz dalej, poza opierającą się nagłośnię, przedzierał się przez przelyk, w kierunku żołądka. Maguire czuł to, czuł się wypchany jak po przejeździe, tyle, że to, co trafiło w głąb jego ciała, wilo się, kalecząc ścianki żołądka i rozpychając go płótnem. Wszystko toczyło się tak szybko, że nawet nie zdążył się udusić. O tym, choć było to okropne, mógł jedynie marzyć. Poczul natomiast, jak ręka Ronnie'ego skręca się w jego brzuchu, wciskając się głębiej, by lepiej uchwycić jego okrężnicę, zacisnąć się na dwunastnicy. A kiedy już chwyciła to, co chciała, ten skurwiel wyciągnął ją.

Wycofanie jej trwało kilka sekund, ale dla Maguire'a zdawało się nie mieć końca. Ledwie

zaczęło się to wybebeszanie, zgiał się w pół czując, jak trzewia podchodzą mu do gardła. Ronnie wywracał go na lewą stronę. Życie uchodziło z niego w powodzi śliny, krwi, kawy i kwasów.

Ronnie zaciągnął Maguire'a na szczyt schodów. Opróżniony tors zapadał się. Wleczony za własne wnętrzności, król pornografii zatrzymał się na najwyższym stopniu. Ronnie rozprostował palce i Maguire z głową okręconą trzewiami stoczył się w dół, tam gdzie wciąż stała jego córka.

Sądząc z jej wyrazu twarzy, nie była nawet zaniepokojona, ale Ronnie wiedział, że dzieci bywają zwodnicze.

Zrobiwszy swoje, zszedł chwiejnie ze schodów. Rozwinął rękę i potrząsając głową, próbował choć trochę odzyskać ludzką postać. Wysilek się opłacił. Mijając stojące nieruchomo dziecko, był już w stanie zaoferować mu coś w rodzaju ludzkiego dotyku. Nie zareagowała, więc odszedł, mając nadzieję, że dziewczynka kiedyś o tym wszystkim zapomni.

Ledwie odszedł, Trący wspięła się na górę w poszukiwaniu matki. Raquel nie odpowiedziała na żadne z jej pytań, podobnie mężczyzna leżący na dywanie pod oknem. Było w nim jednak coś, co ją zafascynowało. Gruby, czerwony wąż, wyglądający ze spodni. Rozbawiło ją to głupstewko.

Kiedy -- jak zwykle za późno -- nadjechał Wall ze Scotland Yardu, dziewczynka jeszcze się śmiała. Obejrząwszy dokładnie dom, inspektor nie żałował, że spóźnił się na to spotkanie.

Całun Ronnie'ego Glassa, skulony w konfesjonale u świętej Marii Magdaleny, był niemal całkiem zniszczony. Niewiele zostało w nim czucia. Jedyne nieodparte, coraz silniejsze pragnienie, by jak najprędzej opuścić okaleczone ciało. Służyło mu dobrze, na to nie mógł narzekać, ale dłużej już nie mógł ożywiać tego, co martwe.

Pragnął się wyspowiadać, tak bardzo pragnął się wyspowiadać. Opowiedzieć Ojcu, opowiedzieć Synowi i Duchowi Świętemu, jakie grzechy popełnił, o jakich marzył, za jakimi tęsknił. Istniała tylko jedna możliwość: jeżeli ojciec Rooney nie przyjdzie do niego, on pójdzie do ojca Rooneya.

Otworzył drzwi konfesjonalu. Kościół był prawie pusty. Nadszedł już chyba wieczór, a ktoś miał czas na zapalenie świec i modlitwę, kiedy należało gotować kolację, kupować miłość, korzystać z życia? Jedyne grecki kwiaciarz, modlący się w bocznej nawie o uniewinnienie swych synów, widział, jak zataczający się całun opuszcza konfesjonał, kierując się ku wejściu do zakrystii. Ronnie wyglądał jak jakiś postrzelony nastolatek, schowany pod brudnym prześcieradłem. Kwiaciarz nie mógł znieść tak bezbożnego zachowania, zapragnął więc przetrzepać skórę temu szczeniakowi.

--Hej, ty! -- powiedział, odrobinę za głośno.

Całun odwrócił się w stronę Greka; oczy miał jak dwie dziury w świeżym cieście. Ból, malujący się na twarzy zjawy, pozbawił kwiaciarza słów.

Ronnie nacisnął na klamkę. Nic to nie dało. Drzwi do zakrystii pozostały zamknięte.

Z wnętrza dobiegł jakiś niewyraźny głos.

--Kto tam? -- zapytał ojciec Rooney.

Ronnie tylko zagrzechał klamką jak rasowy duch.

--Kto tam? -- spytał znów ksiądz, nieco zniecierpliwiony.

"Wyspowiadaj mnie" -- chciał rzec Ronnie. -- "Wyspowiadaj mnie, bo zgrzeszyłem".

Drzwi nadal były zamknięte. Ojciec Rooney był zajęty. Robił zdjęcia do swojej prywatnej kolekcji; fotografował swoją ulubienicę, znaną pod imieniem Natalie. Córkę grzechu, jak mu kiedyś powiedziano. Nie wierzył w to. Była zbyt ofiarna, zbyt anielska. Wokół dorodnych piersi owinęła różaniec, jakby przed chwilą opuściła klasztor.

Szczerkanie klamki ucichło w końcu. "Dobrze -- pomyślał ojciec Rooney. -- Kimkolwiek byli, wróć. To nie mogło być nic pilnego". Uśmiechnął się do dziewczyny. Odpowiedziała mu wydukiem warg.

Ronnie dowlókl się do ołtarza i klęknął.

Trzy rzędy za nim kwiaciarz przerwał modlitwę, urażony tym bluźnierstwem. Chłopak zataczał się, był najwidoczniej pijany, a mężczyzny nie przerażała maska śmierci, którą przywdział. Kwiaciarz, przeklinając dosadną greką świętokradcę, wyciągnął rękę w kierunku ducha, klęczącego u stóp ołtarza.

Pod prześcieradłem była pustka.

Greki poczuł, że płótno drży mu w ręku. Wypuścił je z jękiem. Wycofał się w głąb nawy, żegnając się raz za razem jak sklerotyczna wdowa. Kiedy od drzwi kościoła dzieliło go już tylko kilka jardów, nie wytrzymał i puścił się biegiem.

Całun leżał tam, gdzie rzucił go kwiaciarz. Ronnie, zmięty i pełen fald -- brudny gałgan u stóp wspaniałego ołtarza -- podniósł wzrok. Ołtarz nawet w wątlym świetle świec emanował jasnością. Urzeczony jego pięknem, Ronnie czuł ulgę, że zostawia ten brudny Świat. Bez spowiedzi, ale nie lękając się sądu, duch jego odszedł.

Jakąś godzinę później ojciec Rooney otworzył drzwi zakrystii, wyprowadził z kościoła cnotliwą Natalie i zamknął główną bramę. Wracając zajrzał do konfesjonału, by sprawdzić, czy nie schowały się tam jakieś dzieciaki. Pusto, cały kościół był pusty. Niewielu pamiętało o świętej Marii Magdalenie.

Kiedy pogwizdując szedł już do zakrystii, zauważył całun Ronnie'ego Glassa. Brudną, zapomnianą przez kogoś szmatę, leżącą na stopniach ołtarza. "Idealna" -- pomyślał, podnosząc ją. Na posadzce zakrystii zostały niedyskretne plamy. Będzie miał czym je wytrzeć.

Powąchał płótno, uwielbiał zapachy. Nosilo w sobie ich tysiące. Eter, pot, psy, wnętrzości, krew, lizol, puste pokoje, złamane serca, kwiaty i niepowodzenia. "Fascynujące. Oto dreszczyk typowy dla parafii w Soho -- pomyślał. -- Codziennie coś nowego. Tajemnice na każdym progu i na stopniach ołtarza. Zbrodnie tak liczne, że splukanie ich wymagałoby oceanu wody święconej. Na każdym rogu rozpusta na sprzedaż. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie jej szukać."

Wsadził całun pod pachę.

--Załóżę się, że miałbyś wiele do opowiedzenia -- rzekł, gasząc świece palcami, tak rozpalonymi, że nie czuły żaru płomieni.

KOZŁY OFIARNE

(SCAPE-GOATS)

Wyspa, na którą wyniósł nas przyływ, była właściwie martwą górą kamieni. Nazwanie tej garbatej sterty łajna wyspą byłoby pochlebstwem. Wyspy to morskie oazy, zielone i płodne. Ta tutaj skazana była na zapomnienie; nie pływały wokół niej foki, nie unosiły się nad nią ptaki. Nie mam pojęcia, dlaczego istnieją takie miejsca -- chyba tylko po to, by można było rzec: "Widziałam jądro nicości i przeżyłam".

--Nie ma jej na żadnej mapie -- powiedział Ray, pochylony nad mapą Hebrydów, zaznaczając paznokciem miejsce, gdzie według jego obliczeń utknęliśmy. Tak jak powiedział, na mapie była tylko pusta przestrzeń, bładoniebieskie morze; nawet najmniejsza kropka nie sygnalizowała istnienia tej skały. Nie tylko foki i ptaki ignorowały to miejsce, kartografowie również. Koło palca Raya widoczne były jedynie strzałki, oznaczające prądy, które powinny były wynieść nas na północ: czerwone strzałki na papierowym oceanie.

Jonathan, gdy tylko odkrył, że wyspy nie naniesiono na żadną z map, rozchmurzył się, z miejsca poczuł się uniewinniony. To, że tu wylądowaliśmy, nie było już jego winą; zawinili kartografowie. Nie mógł przecież przyjąć na siebie odpowiedzialności za fakt, że utknęliśmy w miejscu, którego nawet nie zaznaczono. Skrucę, która malowała się na jego twarzy od samego początku naszego pozaplanowego postoj, zastąpiło spojrzenie pełne satysfakcji.

--Nie sposób ominąć czegoś, co nie istnieje, zgadzacie się? -- triumfował. -- Pytam, czy się zgadzacie?

--Mogłeś skorzystać z oczu, którymi Bóg cię obdarzył -- ripostował Ray, ale Jonathan miał w nosie nawet najrozsądniejsze argumenty.

--To stało się tak nagle, Raymondzie -- powiedział. -- Przez tę mgłę nie miałem żadnej szansy. Spadła na nas, zanim się połapałem.

To było niespodziewane, bez dwóch zdań. Szykowałam w kambuzie śniadanie, jako że ani Angela, ani Jonathan nie kwapili się do wzięcia tego na siebie, kiedy kadłub "Emmanuelle" zazgrzytał na skałach, po czym dygocząc wrył się w kamienistą plażę. Przez chwilę panowała cisza, potem rozległy się krzyki. Wydostałam się z kambuza i zobaczyłam Jonathana, stojącego na pokładzie. Uśmiechał się głupio i wymachiwał rękami sygnalizując, że to nie jego wina.

--Nawet nie pytaj -- powiedział. -- Nie wiem, jak to się stało. Minutę temu płynęliśmy wzdłuż...

--Jezusie sakramencki! -- Ray wygramolił się z kabiny, wciągając dzinsy. Po nocy spędzonej w jednej koi z Angielą, wyglądał o wiele gorzej niż zwykle. Miałam wątpliwy zaszczyt wysłuchiwanie jej kolejnych orgazmów; bezsprzecznie, była wymagająca. Jonathan ponownie zaczął swą mowę obrończą od słów: "Nawet nie pytaj...", ale Ray uciszył go kilkoma starannie dobranymi epitetami. Kiedy na pokładzie popłynęły soczyste przekleństwa, uciekłam w zacisze kambuza. Fakt, że Jonathan sięgnął po żargon, sprawił mi niemalą satysfakcję. Miałam nawet nadzieję, że Ray da się ponieść nerwom i rozkwasi ten jego doskonały, orli nos.

Kambuz przypominał wiadro pomyj. Śniadanie, które robiłam, wylądowało na podłodze i zostawiłam je tam: żółtka jajek, szynkę i tosty, wszystko zakrzepłe teraz w rozlanym tłuszczu. To była wina Jonathana; niech on sprząta. Nalałam sobie szklankę soku grejpfrutowego, odczekałam, aż umilkną obelgi, i wróciłam na pokład.

Od świtu minęły dopiero dwie godziny i mgła, która ukryła wyspę przed wzrokiem

Jonathana, wciąż jeszcze przesłaniała słońce. Gdyby i dziś utrzymała się taka pogoda, jak przez ostatni tydzień, w południe pokład byłby zbyt nagrzanym, by stąpać po nim bosy, ale teraz, gdy mgła była jeszcze gęsta, w samych figach było mi chłodno. Kiedy się żegluję pośród wysp, niewielkie ma znaczenie, co na siebie wkładasz. Nikt cię nie widzi. Dorobiłam się najlepszej w swym życiu opalenizny. Ale tego ranka chłód zagnał mnie znów pod pokład po sweter. Nie było wiatru, tylko ziąb, ciągnący od morza. "Tam w dole jeszcze trwa noc -- pomyślałam. -- Zaledwie o kilka jardów od plaży trwa bezgraniczna noc".

Wciągnęłam sweter i wróciłam na górę. Wyjęli mapy; Ray właśnie nachylał się nad nimi. Jego nagie plecy luszczły się od nadmiernej opalenizny, widać też było łysinę, którą próbował ukryć pod brudnożółtymi kędziorami. Jonathan wpatrywał się w plażę i pocierał nos.

--Chryste, co za miejsce! -- powiedziałam.

Zerknął na mnie, próbując się uśmiechnąć. Biedny Jonathan, ludził się, że jego twarz urzekłaby nawet żółwia, wywabiając go ze skorupy, i prawdę mówiąc, istniało kilka kobiet, które rozplywały się, ledwie na nie popatrzył. Ja do nich nie należałam i to go irytowało. Zawsze uważałam, że jego żydowski profil jest zbyt nieskazitelny, żeby być naprawdę piękny. Moja obojętność działała na niego jak czerwona płachta na byka.

Spod pokładu doleciał zaspany i nadąsany głos. Nasza Pani od Koi raczyła się wreszcie obudzić; nadszedł czas na jej oczekiwane wyjście. Kokieteryjnie owinęła biodra ręcznikiem. Twarz miała nabrzmiałą od nadmiaru czerwonego wina, a włosy prosiły się o grzebień. Mimo to rozgrzała atmosferę, przyciągnęła spojrzenia. Kiepska kopia Shirley Tempie.

--Co się stało, Ray? Gdzie jesteśmy? Ray nie podniósł wzroku znad obliczeń; zarobił przez to u niej krechę.

--Mamy cholernego nawigatora, to wszystko -- powiedział.

--Nie rozumiem, co się stało -- zaprotestował Jonathan, najwidoczniej licząc, że Angela okaże mu współczucie. Nic takiego nie nastąpiło.

--Ale gdzie jesteśmy? -- zapytała znowu.

--Dzień dobry, Angelo -- powiedziałam; mnie też zignorowała.

--Czy to wyspa? -- pytała dalej.

--Jasne, że wyspa. Nie wiem jeszcze, jaka -- odparł Ray.

--Może to Barra? -- zasugerowała. Ray zrobił głupią minę.

--Jesteśmy daleko od Barry -- wyjaśnił. -- Jeżeli tylko pozwolicie mi odtworzyć nasze kroki...

"Odtworzyć kroki na morzu? Ray ma obsesję na punkcie Jezusa" -- pomyślałam, rozglądając się po plaży. Nie sposób było odgadnąć jej rozmiarów, mgła pokryła wszystko, co było dalej niż sto jardów. Może ta szara ściana zakrywała jakąś osadę?

Ray, określiwszy na mapie miejsce, gdzie prawdopodobnie osiedlimy, zszedł na plażę i obrzucił krytycznym spojrzeniem dziób. Dołączyłam do niego, głównie po to, by zejść z oczu Angeli. Okrągłe kamyczki pod moimi bosymi stopami były zimne i śliskie. Ray niemal pieszczotliwie przesunął dłonie po burcie "Emmanuelle", po czym przykucnął, by zbadać uszkodzenie.

--Zdaje się, że nie ma dziury -- stwierdził. -- Ale głowy nie dam.

--Odpłyniemy, kiedy nadejdzie wysoka fala -- powiedział Jonathan, prężąc się na dziobie z rękami na biodrach. -- Nie ma strachu. -- Mrugnął do mnie. -- Nie ma strachu.

--Gówno tam, odpłyniemy! -- warknął Ray. -- Popatrz tylko na siebie.

--No to znajdziemy kogoś, kto nas ściągnie. -- Pewność Jonathana nie doznała uszczerbku.

--Akurat kogoś załatwisz, dupku.

--Jasne, czemu nie? Odczekamy godzinę czy dwie, aż mgła ustąpi, a wtedy przejdę się, sprowadzę jakąś pomoc.

Odszedł pospiesznie.

--Zrobię kawę -- zaproponowała Angela. Znając ją, wiedziałam, że parzenie potrwa godzinę. Nadszedł czas na spacer. Poszłam wzdłuż plaży.

--Nie odchodź zbyt daleko, kochanie -- zawołał Ray.

--Nie.

"Kochanie" -- powiedział. Łatwe słówko; nic nim nie wyrażał.

Słońce przygrzewało już mocniej i idąc ściągnęłam sweter. Piersi miałam brązowe jak orzechy. "I tak samo duże" -- pomyślałam. Cóż, nie można mieć wszystkiego. Mam w głowie przynajmniej dwa neurony, ocierające się o siebie, a to już więcej niż u Angeli; ona miała cyce jak melony i mózg, którego powstydzilby się muł.

Słońce dziwacznie przesączało się przez mgłę. Nierównomiernie oświetlało wyspę; jego blask zacierał kontury, pozbawiając okolicę soczystości barw, przekształcając morze, skały i piasek plaży w olbrzymią, spłowiałą, szarą plamę.

Przeszłam zaledwie sto jardów, ale coś w atmosferze tego miejsca zaczęło mnie przytłaczać, więc zawróciłam. Na prawo ode mnie wątle, szemrzące fale wpełzały na brzeg, spadając na kamienie z niemrawym młaśnięciem. Żadnych majestatycznych bałwanów, tylko regularne młaśnięcia zmęczonej wody.

Już zniecierpałam to miejsce.

Ray próbował uruchomić radio, ale z niejasnych dla nas przyczyn na każdej częstotliwości znajdował jedynie szumy. Przez chwilę przeklinał je do żywego, potem ustąpił. W pół godziny później nadeszła pora śniadania; musieliśmy się zadowolić sardynkami, pieczarkami i resztkami tostów. Serwowała je Angela, jak zwykle zadowolona z siebie; zachowywała się tak, jakby właśnie powtórzyła cud z rybami i chlebem. W żadnym wypadku nie można było cieszyć się tym posiłkiem. Zdawało się, że powietrze wysysa z niego wszelki smak.

--Czy to nie zabawne... -- zaczął Jonathan.

--Prześmieszne -- uciął Ray.

--...że nie słyhać syren przeciwmgielnych? Jest mgła, a nie ma syren. Nawet nie słyhać ryku silników. Niesamowite.

Miał rację. Otaczała nas kompletna cisza, wilgotne i przygniatające milczenie. Tylko pokorny plusk fal i dźwięk naszych głosów świadczyły o tym, że nie ogluchliśmy.

Siedziałam na rufie, wpatrzona w puste morze. Jeszcze było szare, ale słońce zaczynało już nasycać je innymi barwami: mroczną zielenią, a dalej maźnięciami niebieskawego fioletu. Widziałam pasma wodorostów, którymi bawił się przypyływ. Morze wyglądało kusząco, a każdy pretekst był dobry, by wyrwać się z beznadziejnego nastroju, panującego na pokładzie "Emmanuelle".

--Idę popływać -- oświadczyłam.

--Nie radziłbym, kochanie -- powiedział Ray.

--Dlaczego?

--Prąd, który nas tu wyrzucił, musi być diablo silny. Lepiej, żeby cię nie porwał.

--Ale jeszcze trwa przypyływ, zniosłoby mnie na plażę.

--Nie wiesz, jakie tam mogą być prądy. Może nawet wiry; są tu dość powszechne. Wciągną cię w mgnieniu oka.

Znów popatrzyłam na morze. Wyglądało dość bezpiecznie, ale pojęłam już, jak bardzo może być zdradzieckie. Zmieniłam plany.

Angela dała mały pokaz nadąsania, gdyż nikt nie dokończył jej fenomenalnego śniadania. Ray jeszcze ją podpuszczał. Uwielbiał to robić, prowokując z jej strony głupie gierki. Mdło się od tego robiło.

Zeszłam na dół, żeby pozmywać i wywalilam resztki przez bulaj do morza. Nie od razu utonęły. Nie dojedzone pieczarki i platy sardynek unosiły się na wodzie, otoczone plamą oleju, tak jakby ktoś tu narzygał. Pokarm dla krabów, o ile jakiś szanujący się krab zniżył się do życia tutaj.

W kambuzie znalazł mnie Jonathan. Mimo całej jego brawury, widać było, że wciąż mu głupio. Stał w drzwiach, próbując zwrócić na siebie uwagę, podczas gdy ja wlewałam do miski zimną wodę i z umiarkowanym zapalem splukiwałam tłuszcz z plastikowych talerzy. Pragnął tylko usłyszeć ode mnie, że to nie była jego wina i że jest, oczywiście, moim koszernym Adonisem. Nic nie powiedziałam.

--Można ci służyć pomocą? -- zapytał.

--Trochę tu ciasno, jak na dwie osoby -- odpowiedziałam, starając się, żeby nie wypadło to zbyt kategorycznie. Mimo to wzdrygnął się; choć nie dawał tego po sobie poznać, cała ta historia naruszyła jego wiarę w siebie bardziej niż przypuszczałam.

--Posłuchaj -- powiedziałam łagodnie. -- Dlaczego nie wrócisz na pokład i nie poopalasz się, zanim zaczniesz się upał?

--Gównianie się czuję.

--To był wypadek.

--Naprawdę gównianie.

--Tak jak powiedziałeś, odpływ nas stąd ściągnie.

Wcisnął się do wnętrza. Jego obecność wywołała u mnie nieomal klaustrofobię. Był zbyt duży, jak na tę klitkę, zbyt opalony i zbyt zdecydowany.

--Powiedziałam, że trochę tu ciasno, Jonathanie.

Poczułam na karku jego rękę i zamiast ją strząsnąć, pozwoliłam jej tam zostać. Delikatnie rozmasowywał mi mięśnie. Chciałam powiedzieć, żeby sobie poszedł, ale panująca apatia chyba i mnie się udzieliła. Druga dłoń Jonathana spoczęła na moim brzuchu i rozpoczęła wędrówkę ku pierśsiom. Obojętnie przyjmowałam te zabiegi; skoro tego chce, proszę bardzo.

Na pokładzie Angela chichotała histerycznie, próbując w chwilach spokoju złapać trochę powietrza. Wyobrażałam sobie, jak odchyła głowę, potrząsając włosami. Jonathan rozpiął szorty i pozwolił im opaść. Ofiarowanie jego napletka Bogu zostało przeprowadzone po mistrzowsku, a j"ego wzwód był tak nieskazitelny w swoim entuzjazmie, że wydawał się celem samym w sobie. Pozwoliłam jego ustom przykleić się do moich, pozwoliłam jego językowi badać moje dziąsła; robił to natarczywie jak palec dentysty. Jonathan zsunął moje figi przymierzając się. Ustawiał się chwilę, a potem wszedł.

Za jego plecami zaskrzypiały schody. Zerknęłam przez jego ramię i zobaczyłam Raya, jak

schyla się nad lukiem, wpatrzony w pośladki Jonathana i nasze splecione ręce. Zastanawiałam się, czy widzi, że nic nie odczuwam, czy rozumie, że robię to beznamiętnie, że tylko zastąpienie głowy, grzbietu i fiuta Jonathana przez jego walory wzbudziłyby we mnie pożądanie. Bezszelestnie wycofał się ze schodów, potem minęła chwila, w czasie której Jonathan wyznał, że mnie kocha, i wreszcie Angela znów wybuchnęła śmiechem, słuchając opowieści Raya o tym, co właśnie oglądał. "A niech sobie ta dziwka myśli, co chce; wszystko mi jedno."

Jonathan wciąż jeszcze obrabiał mnie wyważonymi, ale pozbawionymi duszy ruchami, marszcząc brew jak uczeń, próbujący rozwiązać jakieś skomplikowane równanie. Jego orgazm nadszedł bez ostrzeżenia, zasygnalizowany jedynie przez nieco silniejszy nacisk na moje ramiona i głębszy mars na czole. Pchnięcia stały się wolniejsze, a w końcu ustały. Przez krótki, gorący moment nasze spojrzenia spotkały się. Chciałam go pocałować, ale stracił ochotę. Wycofał się, nadal twardy. Skrzywił się.

--Zawsze po wytrysku robię się drażliwy -- wymamrotał, wciągając szorty. -- Było ci dobrze?

Kiwnęłam głową. Było śmiesznie; cała sprawa była śmiechu warta. Utknęłam na tym pustkowiu z tym dwudziestosześcioletnim chłopaczkiem, Angela i mężczyzną, którego nie obchodziło, czy żyję, czy też nie. Może zresztą i mnie było to obojętne? Ni stąd, ni zowąd, pomyślałam o pomyjach, unoszących się w wodzie, czekających na falę, która je zabierze.

Jonathan wymknął się już na górę. Zaparzyłam kawę i wyjrzałam przez bulaj. Czulałam, jak na moich udach zasycha nasienie, zamieniając się w perłową skorupę.

Kiedy wyszłam z kawą, Raya i Angeli już nie było. Udali się w głąb wyspy, najprawdopodobniej w poszukiwaniu pomocy.

Jonathan zajął moje miejsce na rufie. Wpatrywał się w mgłę.

--Sądzę, że trochę się podniosła -- powiedziałam głośno po to, by przerwać milczenie.

--Rzeczywiście?

Postawiłam koło niego kubek czarnej kawy.

--Dzięki.

--Gdzie reszta?

--Rozglądają się.

Odwrócił się do mnie, zakłopotany.

--Nadal czuję się gównianie. Zauważyłam obok niego butelkę ginu.

--Trochę wcześniej na picie, nie?

--Chcesz łyka?

--Nie ma nawet jedenastej.

--Kogo to obchodzi? -- Wskazał na morze. -- Popatrz na mój palec -- powiedział.

Oparłam się o jego ramię i zrobiłam, o co prosił.

--Nie, nie patrzysz tam, gdzie trzeba. Patrz na mój palec. Widzisz?

--Nic nie ma.

--Na skraju mgły. Pojawia się i znika. Jest! Znowu!

Coś było w wodzie, dwadzieścia albo trzydzieści jardów od rufy "Emmanuelle". Coś brązowego i pomarszczonego, przewracało się.

--To foka -- powiedziałam.

--Nie sądzę.

--Morze nagrzewa się od słońca. Pewnie przyplływają tu, by taplać się na płyciźnie.

--To nie wygląda na fokę. Zabawnie się obraca...

--Może pozostałość po jakimś wraku?

--Możliwe. -- Pociągnął z butelki.

--Zostaw trochę na wieczór.

--Tak, mamusiu.

Przez kilka minut siedzieliśmy w milczeniu. Tylko fale uderzały o plażę.

Co jakiś czas to coś w wodzie -- foka czy też nie -- wynurzało się, przewracało i ponownie znikalo w morzu.

"Jeszcze godzina i zacznie się odpływ -- pomyślałam. -- Ściągnie nas z tej niewydarzonej pamiątki po akcie stworzenia".

--Hej! -- Z oddali doleciał do nas głos Angeli. -- Hej, kolesie!

Nazwała nas kolesiami.

Jonathan wstał, osłaniając oczy przed blaskiem rozpalonej słońcem plaży. Pojaśniało, z każdą chwilą powiększał się też skwar.

--Macha do nas -- stwierdził obojętnie.

--Niech macha.

--Kolesie! -- zaskrzeczała, wymachując rękami. Jonathan zwinął dłonie wokół ust i odkrzyknął:

--Czego chcesz?

--Chodźcie tu.

--Chce, żebyśmy tam poszli.

--Słyszałam.

--Rusz się -- powiedział. -- Nic nie tracimy.

Nie chciało mi się ruszać, ale ciągnął mnie za rękę. Nie warto było się klócić. Miał łatwopalny oddech.

Droga pod górę nie należała do łatwych. Kamienie były nie tyle mokre, co pokryte śliską powłoką szarozielonych alg; coś jak czaszki zlane potem.

Jonathanowi szło jeszcze gorzej niż mnie. Dwukrotnie stracił równowagę i wylądował na tyłku, klnąc do żywego. Tył jego szortów przybrał barwę brudnych oliwek, a przez rozdarcie prześwitywały pośladki.

Żadna ze mnie balerina, ale powoli, krok po kroku, pięłam się pod górę, omijając co większe glazy, tak by w razie poślizgu nie spadać zbyt długo.

Co kilka jardów natrafialiśmy na pasy cuchnących wodorostów. Przeskakiwałam przez nie w miarę elegancko, ale Jonathan, podcięty i niezbyt pewny swojej równowagi, brnął na przelaj, zanurzając w tej brei bosa stopy. Nie wodorosty były tu najgorsze, ale typowy śmietnik, jaki morze zostawia na każdej plaży: stłuczone butelki, pordzewiałe puszki po coli, oślizłe kawalki korka, bryłki smoły, szczątki krabów, bladeżółty dureks. Po owych cuchnących kupach śmieci laziły długie na cal, wylupiastookie, niebieskie muchy. Całe ich setki obsiadły to gównno, bzycczeniem oznajmiając, że żyją; żyjąc po to, by bzycczeć.

Były pierwszymi żywymi istotami, na jakie tu trafiliśmy.

Przechodząc przez któreś z kolei pasmo wodorostów, robiłam wszystko, by się nie wywalić, kiedy po lewej posypały się kamyki. Trzy, cztery czy pięć, potracając się wzajemnie

po drodze ku morzu, pociągnęły z tuzin następnych.

Trudno było wyczuć, co spowodowało ten ruch.

Jonathan nawet nie podniósł głowy, zbyt wiele trudu sprawiało mu utrzymanie nabytej po przodkach pionowej postawy ciała.

Lawina ucichła. Zaraz jednak posypała się następna, tym razem pomiędzy nami a morzem. Ruszyły się kamienie większe niż poprzednio, wyżej też podskakiwały spadając. Trwała też nieco dłużej. Kamienie wprawiały w ruch następne, aż w końcu kilka z nich pograżyło się w morzu, kończąc ów taniec.

Zapadła głucha cisza, przerywana tylko pluskiem fal.

Zza jednego z wielkich głazów, wieńczących plażę, wyłonił się Ray. Cieszył się jak głupi.

--Na Marsie jest życie -- wrzasnął i zniknął tam, skąd przyszedł.

Minęło jeszcze kilka niebezpiecznych chwil i dotarliśmy do niego. Spocone włosy przywierały do naszych głów jak czapki.

Jonathan wyglądał niewyraźnie.

--Co to za sensacja?-- zapytał.

--Patrzcie, co znaleźliśmy -- rzekł Ray i poprowadził nas za głazy.

Pierwszy szok.

Ledwie wspięliśmy się na szczyt, zobaczyliśmy drugą stronę wyspy. Taka sama monotonna plaża i dalej morze. Żadnych ludzi, łodzi, ani śladu obecności człowieka. Wyspa miała najwyżej pół mili średnicy jak grzbiet jakiegoś ogromnego wieloryba.

Istniało tu jednak życie i to był drugi szok.

Wewnątrz kręgu potężnych, nagich głazów, górujących nad wyspą, znajdowała się zagroda. Wprawdzie paliki nieco przegniły, ale rozciągnięty pomiędzy nimi zardzewiały drut kolczasty wciąż tworzył coś w rodzaju ogrodzenia. Wnętrze zagrody porastała zwyczajna trawa. Na owej pożałowania godnej łączce stały trzy owce. I Angela.

Stała na środku tej kolonii karnej, głaszcząc jedną ze współlokatorek i szczebiocząc w jej obojętny pysk.

--Owce -- oświadczyła triumfalnie. Jonathan zareagował szybciej niż ja.

--No to co? -- warknął.

--Czy to nie trochę dziwne? -- zapytał Ray. -- Trzy owce na takiej wysepce?

--Nie wyglądają najlepiej -- zauważyła Angela.

Miała rację. Zwierzęta, nie posiadające żadnego schronienia, wyglądały fatalnie. Oczy miały zaropiałe, a skoltunione runo odsłaniało ciężko poruszające się boki. Jedna z owiec opadła na drut kolczasty i nie miała siły się podnieść, wyczerpana, a może chora.

--To okrutne -- powiedziała Angela.

Musiałam się z nią zgodzić. Zamknięcie tych stworzeń tutaj, gdzie miały tylko kilka źdźbeł trawy i obtłuczone koryto ze stęchlą wodą, było sadyzmem.

--Dziwne, nieprawdaż? -- spytał Ray.

--Skaleczyłem się w nogę. -- Jonathan usadowił się na którymś z bardziej płaskich głazów, oglądając podbicie prawej stopy.

--Na plaży leżało potłuczone szkło -- powiedziałam, wymieniając puste spojrzenie z jedną z owiec.

--Są kompletnie zobojętniale -- powiedział Ray. -- Prostaczkowie niebiescy.

Dziwne, ale nie wyglądały na nieszczęśliwe; patrzyły na wszystko z dystansem. Ich oczy mówiły: "Jestem tylko owcą, nie oczekuję, że mnie polubisz, będziesz się o mnie troszczyć, zaopiekujesz się mną, chyba że dla dobra twojego żołądka". Nie zdobyły się na gniewne beczenie czy na pełne desperacji walenie kopytem.

Po prostu -- trzy szare owce, czekające na śmierć.

Ray odpuścił sobie ten problem. Powlókł się z powrotem na plażę, kopiąc jakąś puszkę. Grzechotała i podskakiwała; przypominały mi się kamienie.

--Powinniśmy je wypuścić -- oznajmiła Angela. Zignorowałam ją; cóż na tej wyspie znaczyła wolność? Angela jednak nie ustępowała.

--Nie sądzicie, że powinniśmy?

--Nie.

--Zdechną.

--Ktoś nie przypadkiem je tu umieścił.

--Ale zdechną.

--Jeśli je wypuścimy, zdechną na plaży. Nie znajdą tam nic do jedzenia.

--Nakarmimy je.

--Tostami i ginem -- zasugerował Jonathan, wyciągając ze stopy kawałek szkła.

--Nie możemy ich tu zostawić.

--To nie nasza sprawa -- odparłam. To robiło się już nudne. Trzy owce. Kogo obchodziło, czy żyją, czy...

Przed godziną myślałam to samo na swój temat. Te owce i mnie coś łączyło. Rozboląła mnie głowa.

--Zdechną -- zaskomlała po raz trzeci Angela.

--Głupia kurwa z ciebie -- powiedział do niej Jonathan. Powiedział to bez złości; spokojnie podkreślił oczywisty fakt.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

--Co? -- Wyglądała, jakby coś ją ugryzło.

--Głupia kurwa -- powtórzył. -- Kurwa. Angela, czerwona ze złości i zakłopotania, natychmiast wybuchnęła.

--Przez ciebie tu siedzimy -- powiedziała, krzywiąc się szyderczo.

--Zrobiłem to specjalnie -- oznajmił, plując na palce i wcierając ślinę w skaleczenie. -- Chciałem sprawdzić, czy uda się tu ciebie porzucić.

--Jesteś pijany.

--A ty głupia. Ale ja do jutra wytrzeźwieję. Stare teksty nadal trafiały w samo sedno. Pokonana, ruszyła w ślad za Rayem, próbując powstrzymać lzy, dopóki nie zniknie nam z oczu. Niemal jej współczułam. W utarczkach słownych była z góry przegrana.

--Kiedy chcesz, wyłazi z ciebie sukinsyn -- powiedziałam do Jonathana. Spojrzał na mnie szklanym wzrokiem.

--Lepiej zostanmy przyjaciółmi. Nie chcę być sukinsynem i dla ciebie.

--Nie boję się.

--Wiem.

Owca znów się na mnie gapiała. Odpowiedziałam jej tym samym.

--Pieprzone owce -- powiedział.

--Nic na to nie poradzą.

--Gdyby miały jakąś godność, poderżnęłyby swoje szpetne, pieprzone gardziele.

--Wracam na łódkę.

--Szpetne pierdziele.

--Idziesz?

Złapał mnie za rękę, szybko i mocno, przytrzymał, jakby już nigdy nie miał mnie wypuścić.

Wbił we mnie wzrok.

--Nie idź.

--Za gorąco tutaj.

--Zostań. Kamień jest ciepły i przyjemny. Połóż się. Tym razem nam nie przeszkodzą.

--Wiedziałaś? -- zdziwiłam się.

--Myślisz o Rayu? Jasne, że wiedziałem. Sądzę, że daliśmy niezły pokaz.

Przyciągał mnie do siebie stopniowo, jakby ściągał linę. Zapach jego ciała przypominał mi kambuz, zmarszczoną brew, wyszeptana wyznanie i jego cichą ucieczkę.

Deja vu.

Ale cóż można było zrobić w taki dzień, jak nie błąkać się w ponurym kole niczym owce w zagrodzie? W koło i w koło. Oddychać, jeść, kochać się, srać.

Gin dotarł już do jego krocza. Jonathan robił, co mógł, ale sprawa wyglądała beznadziejnie. Równie dobrze można było próbować przewlec makaron przez ucho igielne.

Wściekły, stoczył się ze mnie.

--Pieprzone. Pieprzone. Pieprzone.

Słowo wciąż powtarzane traciło sens. Robiło się puste.

--To nieważne -- pocieszyłam go.

--Odpierdol się.

--Naprawdę nieważne.

Nie spojrział na mnie, cały czas wpatrywał się w swojego fiuta. Gdyby miał teraz w rękę nóż, odciąłby go chyba i złożył na nagrzanym skale w ofierze.

Zostawiłam go pogrążonego w zadumie i wróciłam na "Emmanuelle". Kiedy szłam, uderzyło mnie coś dziwnego, na co przedtem nie zwróciłam uwagi. Niebieskie muchy nie uciekały przede mną, pozwalały się tratować. Pogrążone w letargu albo łaknące śmierci. Siedziały na nagrzanym kamieniach i tylko strzelały pod moimi stopami; ich rozbrzęczone życie gasło jak miriady światełek.

Mgła wreszcie prysła, a powietrze nagrzało się, pozwalając wyspie wyciągnąć z zanadru kolejną nie miłą sztuczkę: smród. Zapach był równie zdrowy, jak w pomieszczeniu pełnym gnijących brzoskwiń, intensywny i mdlący. Wsączał się przez nozdrza i pory skóry jak syrop. A pod słodyczą kryło się coś innego, gorszego od brzoskwiń, świeżych albo zgniłych. Smród przywodzący na myśl dół pełen starego mięsa lub rynsztoki rzeźni, zapchane łojem i czarną krwią. Przyjęłam, że to wodorosty, choć na żadnej plaży nie czułam dotąd takiego smrodu.

Byłam już w połowie drogi do "Emmanuelle", z zatkanym nosem przechodziłam przez pasma gnijących wodorostów, kiedy z góry doleciał przedśmiertny kwik. Rozpaczliwy jęk zabijanej owcy utonął zaraz we wrzasku Jonathana, pełnym diabelskiej euforii. Czułam, co zrobił ten pijany sukinsyn.

Zawróciłam, ślizgając się na szlamie. Dla jednego ze zwierząt było już za późno, ale może

dałoby się jeszcze powstrzymać go przed zmasakrowaniem pozostałej pary. Nie widziałam zagrody -- kryła się za głazami -- ale słyszałam triumfalne okrzyki Jonathana i loskot uderzeń. Wiedziałam już, co tam zastanę.

Szarozielona trawa zalana była krwią. Jonathan znajdował się wewnątrz zagrody. Owce, które przeżyły, miały się tam i z powrotem w panicznym lęku, przeraźliwie becząc, a chłopak, teraz w pełni sił męskich, stał nad trzecim zwierzęciem. Ofiara na pół leżała: przednie, patykowate nogi ugięły się, tylne zesztyniały. Tułów dygotał spazmatycznie, a w oczach więcej było bieli niż brązu. Czaszka, niemal całkowicie strzaskana, odsłaniała szarą masę mózgowia, pokancerowaną przez odłamki kości, zmiażdżoną owalnym kamieniem, który wciąż znajdował się w rękach Jonathana. Jeszcze na moich oczach rąbnął nim w łeb owcy. Strzępy tkanki rozbryznęły się na wszystkie strony, ochlapując i mnie. Jonathan wyglądał teraz jak obłąkaniec z koszmarnego snu i chyba nim był. Nagie ciało, do niedawna białe, zbryzgane było krwią jak fartuch rzeźnika po ciężkim dniu w jatce. Błada twarz również unurzana była w owczej posoce.

Zwierzę było już martwe. Całkowicie ucichły jego rozpaczliwe skargi. Upadło niezdarnie, jak postać z kreskówki; jedno z uszu nadziało się na drut. Jonathan przyglądał się temu, pod jego krwawą maską malował się uśmiech. Ten uśmiech służył tak wielu celom. Czyż nie tym samym uśmiechem Jonathan zniewalał kobiety? Obiecywał rozpustę i miłość? Teraz jednak ujawniło się jego prawdziwe znaczenie: był bezmyślnym grymasem zaspokojonego dzikusa, stojącego nad łupem z kamieniem w jednej ręce i swoim członkiem w drugiej.

Uśmiech powoli gasł, chłopak dochodził do siebie.

--Jezu -- jęknął Jonathan z obrzydzenia, a żołądek podszedł mu do gardła. Widziałam wyraźnie, jak wymiotował pochylony nad trawą, wyrzucając z siebie na pół strawiony gin i resztki grzanki.

Nie drgnęłam. Nie zamierzałam nieść mu ulgi, koić go, pocieszać, nie byłam w stanie mu pomóc. Odwróciłam się.

--Frankie -- powiedział poprzez żółć.

Nie zdobyłam się na to, by na niego spojrzeć. Owcy nie można było już pomóc. Leżała martwa, a ja pragnęłam jedynie uciec z tego niewielkiego kamiennego kręgu i zatrzeć w pamięci ów widok.

--Frankie.

Najszybciej, jak tylko było to możliwe na tak zdradliwym gruncie, ruszyłam z powrotem na plażę, ku względnej normalności "Emmanuelle".

Smród jeszcze się nasilił; bił spod ziemi ohydnyimi falami prosto w moją twarz.

Okropna wyspa. Zła, cuchnąca, obłąkana.

Przedzierając się przez wodorosty i śmieci, myślałam tylko o nienawiści. "Emmanuelle" była już całkiem blisko...

I znów rozległ się rumor kamyków, podobnie jak przedtem. Zatrzymałam się, chwiejnie balansując na śliskim glazie. Spojrzałam w lewo, gdzie zatrzymywał się właśnie jeden z kamieni. Ledwie znieruchomiał, inny, większy, mający prawie sześć cali średnicy, drgnął bez żadnej wyraźnej przyczyny i potoczył się w dół, objijając się o swych sąsiadów i inicjując kolejną wędrówkę ku morzu. Zmarszczyłam brwi.

Czy kamienie poruszało jakieś zwierzę -- może krab? -- znajdujące się pod ziemią? A

może to żar w jakiś sposób budził w nich życie?

I znów -- większy kamień...

Poszłam dalej, a za mną wciąż z rumorem i grzechotem spadały kamyki, powodując nieustającą kanonadę.

Poczułam nagle nieokreślony, niewytłumaczalny lęk.

Angela i Ray opalali się na pokładzie "Emmanuelle".

--Jeszcze parę godzin i spróbujemy ruszyć stąd tę dziwkę -- powiedział do mnie Ray, mrużąc oczy.

Początkowo sądziłam, że chodzi mu o Angelę, potem pojęłam, że mówi o łodzi i o wypłynięciu w morze.

--Tymczasem możemy złapać trochę słońca -- uśmiechnął się blado.

--Racja.

Angela albo spała, albo mnie ignorowała. Wszystko jedno. I tak mnie to urządzało.

Walnęłam się na pokład u stóp Raya, chłonąc w siebie słońce. Plamki krwi zaschły mi na skórze niczym maleńkie strupy. Zdrapywałam je leniwie, wsłuchana w grzechot kamieni i szum morza.

Usłyszałam szelest stronic. Obejrzałam się. Ray, niezdolny do dłuższej bezczynności, kartkował książkę o Hebrydach, którą przywiózł z domu.

Spojrzałam znów na słońce. Moja matka mawiała, że jeśli się spojrzy prosto w słońce, wypali dziurę w oku, ale ono przynajmniej było gorące i żywe. Chciałam poczuć jego ciepło. Czulałam chłód -- nie wiem, skąd się wziął -- chłód w trzewiach i pomiędzy nogami i nie mogłam się od niego uwolnić. Może przy pomocy słońca uda się go zwalczyć.

Wypatrzyłam w oddali Jonathana, drepczącego ku morzu. Z tej odległości kontrast krwi i białej skóry sprawiał, że chłopak wyglądał jak laciaty dziwoląg. Ściągnął szorty i kucnął nad wodą, starając się zmyć ślady po owcy.

I wtedy usłyszałam głos Raya, niezwykle cichy.

--O Boże! -- powiedział tak niepewnie, że już wiedziałam, iż nie usłyszę dobrych wieści.

--Co jest?

--Odkryłem, gdzie jesteśmy.

--Świetnie.

--Nie, nie świetnie.

--Dlaczego nie? Coś nie tak? -- Usiadłam, odwracając się do niego.

--Znalazłem to tutaj, w tej książce. Jest tu rozdział o tym miejscu.

Angela otworzyła jedno oko.

--I co? -- zapytała.

--To nie jest jakaś tam wyspa. To cmentarzysko.

Chłód między moimi nogami narastał. Słońce nie było dość gorące, by rozgrzać mnie tam, gdzie powinnam być najgorętsza.

Odwróciłam głowę, znów spoglądając na plażę. Jonathan mył się jeszcze, ochlapując pierś wodą. Cienie kamieni wydały mi się nagle czarne i ciężkie...

Widząc, że patrzę, Jonathan zamachał.

Czy to możliwe, że pod tymi kamieniami są trupy? Pochowane twarzami do słońca jak wczasowicze opalający się na plaży w Blackpool?

Świat jest monochromatyczny. Słońce i cień. Na wierzchu życie, a pod spodem śmierć.

--Cmentarz? -- spytała Angela. -- Jaki cmentarz?

--Ofiar wojny -- odparł Ray.

--Myślisz o Wikingach czy kimś takim? -- dopytywała się dalej.

--Pierwsza wojna światowa, druga wojna światowa. Żołnierze ze storpedowanych transportowców, marynarze zmyci przez fale. Ściągnięci tu przez Golsztrom. Najwidoczniej prąd kieruje ich przez cieśniny i wyrzuca na brzegach okolicznych wysp.

--Wyrzuca? -- zdziwiła się Angela.

--Tak tu napisano.

--Ale to już przeszłość.

--Na pewno jeszcze teraz trafiają tu ciała rybaków -odparł Ray.

Jonathan wstał, wpatrując się w morze, już uwolniony od krwi. Oslaniając dłonią oczy, przyglądał się niebiesko-szarej wodzie. Podążyłam za jego spojrzeniem, tak jak poprzednio za palcem. Sto jardów dalej znów taplało się w morzu to samo zagadkowe stworzenie -- foka, wieloryb, a może coś zupełnie innego. Przewracając się wyrzucało w górę płetwę, jakby kogoś przywołując.

--Ilu ludzi tu pogrzebano? -- nonszalancko zapytała Angela. Zdawało się, że fakt, iż tu siedzimy na grobach kompletnie jej nie dotknął.

--Zapewne setki.

--Setki?

--Książka podaje tylko "wielu zmarłych".

--Chowano ich w trumnach?

--Skąd mogę wiedzieć?

Oczywiście, ta zapomniana przez Boga skała mogła być tylko cmentarzem. Spojrzałam na wyspę nowymi oczyma, jakbym dopiero teraz widziała ją całą. Zyskałam powód, by czuć wstręt do jej garbatego grzbietu i obskurnej plaży, wstręt do zapachu brzoskwiń.

--Ciekawe, czy grzebano ich, gdzie popadło -- zastanawiała się Angela -- czy tylko na szczycie wzgórza, gdzie znaleźliśmy te owce? Prawdopodobnie, tylko na górze, poza zasięgiem wody.

Tak, wody zapewne mieli już dosyć; nieszczęsne, zielone twarze, obgryzione przez ryby, przegnile mundury, dystynkcje zdobione algami. Co za Śmierć i co gorsza, cóż za wędrówka pośmiertna, ramię w ramię z martwymi towarzyszami broni, z biegiem Golsztromu na to żalosne cmentarzysko. Oczyma wyobraźni widziałam ciała żołnierzy, posłuszne wszystkim kaprysom nurtu, kolebiące się na wszystkie strony w morskiej pianie, dopóki któraś z kończyn nie zahaczy o skałę, pozbawiając morze władzy nad zwłokami. Ciała odkrywane z każdym odpływem, napęczniałe, zmienione w słoną galaretę, wypluwane przez morze, cuchnący pokarm dla mew.

Owładnęło mną nagle upiorne pragnienie, by znów zejść na plażę -- z bagażem tej wiedzy -- i poprzewracać kilka kamieni, odsłonić kość albo dwie.

Myśl ta dopiero nabierała kształtów, a już moje ciało podjęło za mnie decyzję. Stałam; schodziłam z "Emmanuelle".

--Dokąd idziesz? -- zapytała Angela.

--Do Jonathana -- wymamrotałam, stawiając stopę na plaży.

Źródło smrodu przestało być tajemnicą; miałam do czynienia z odorem umarłych. Może -- tak jak zasugerował Ray -- nadal chowano tu topielców, grzebano pod zwałami kamieni? Nieuważnego żeglarza i beztroskiego pływaka -- o przegnitych twarzach. Muchy były teraz mniej ociążałe niż przedtem; zamiast biernie czekać na śmierć, zrywały się i wypełniały powietrze brzęczeniem, znów pełne życia.

Nigdzie nie widziałam Jonathana. Jego szorty leżały wciąż na kamieniach, tuż nad wodą, ale on sam zniknął. Spojrzałam na morze; nic, żadnej głowy wylaniającej się z fal, żadnego stworzenia przewracającego się w oddali. Zawołałam go.

Mój głos przstraszył chyba muchy, hałaśliwe roje wzbily się w powietrze. Jonathan nie odpowiadał.

Ruszyłam wzdłuż brzegu, czując niekiedy dotyk leniwych fal. Uświadomiłam sobie, że nie powiedziałam Angeli i Rayowi o martwej owcy. Może miało to zostać sekretem nas czworga: Jonathana, moim i zwierząt, którym udało się przetrwać?

I wtedy go zobaczyłam. Był kilka jardów dalej: biały tors, czysty, wolny od najmniejszej nawet plamki krwi. "A zatem to sekret" -- pomyślałam.

--Gdzie byłeś? -- zawołałam.

--Musiałem to przechodzić -- odkrzyknął.

--Co przechodzić?

--Nadmiar ginu -- uśmiechnął się.

Odwzajemniłam ten uśmiech całkiem spontanicznie. W kambuzie wyznał, że mnie kocha, a to już było coś.

Za jego plecami zagrzechotały osypujące się kamienie! Dzielilo nas już najwyżej dziesięć jardów: nadchodził, bezwstydnie nagi, chyba trzeźwy.

W grzechocie kamieni pojawiła się teraz pewna regularność. Znikła gdzieś lawina przypadkowych dźwięków, wywoływanych przez zderzające się kamyki -- słycać było wyraźny rytm, ciąg powtarzających się uderzeń, puls.

Nie przypadkowy -- celowy.

Nie ślepy traf -- Świadome działanie.

Jakaś siła kierowała ruchem kamieni, podnosiła je...

Jonathan był już blisko. Skąpiana w słońcu skóra zdawała się świecić na tle ciemności.

"Zaraz... skąd się wzięła ta ciemność?" -- gorączkowo szukałam odpowiedzi.

W powietrzu, przecząc prawom grawitacji, unosił się kamień. Gładki, czarny glaz, wyrwany z ziemi. Był wielkości dziecka, gwizdzące dziecko, które rosnąc z każdą chwilą, mknęło ku głowie Jonathana.

Plaża, ciskając kamienie do morza, naprężała swoje mięśnie. Przez cały czas wzmacniała też swą wolę, by teraz dźwignąć ów bezwładny glaz i rzucić nim w nieświadomą niczego ofiarę.

Kamień, narzędzie mordy, zwiększał się z każdą chwilą, ale nie byłam w stanie wydusić z krtani żadnego dźwięku, odpowiadającego memu przerażeniu.

Czyżby Jonathan ogłuchł? Znów rozchylił usta w uśmiechu. Myślał pewnie, że zgroza, malująca się na mojej twarzy, jest reakcją na jego nagość. Nie rozumiał...

Glaz zmiażdżył górną część głowy, pozostawiając szczątek nosa, nietknięte usta, wciąż jeszcze rozdziawione, i język, obłany teraz krwią. Trysnęła szkarłatna fontanna. Krwawe szczątki mózgu, przemieszane z odłamkami kości, poleciały wprost na mnie. Nietknięte oczy

zdawały się wpatrywać we mnie z bolesnym zdziwieniem.

Upadłam i kamień ze świstem przeleciał nade mną, zataczając łuk w kierunku morza. Nad wodą zabrakło mu chyba morderczej woli i zachwiał się w powietrzu, po czym runął w fale.

Krew utworzyła bajoro, rozciągające się od ciała Jonathana leżącego z rozłupaną czaszką aż do moich stóp.

Wciąż jeszcze nie wrzeszczałam, choć dla własnego dobra powinnam była uwolnić dławiającą mnie grozę. "Niech mnie ktoś usłyszy, weźmie w ramiona, zabierze stąd i wszystko wyjaśni, zanim spadające glazy ponownie odnajdą swój rytm. Albo, co gorsza, zanim istoty skryte pod plażą, nie zaspokojone morderstwem na dystans, odwałą kamienie nagrobne i same wstaną, by mnie ucałować" -modliłam się w duchu.

Nadal jednak nie byłam w stanie krzyczeć.

W uszach miałam jedynie stuk kamieni osypujących się na prawo i lewo. Tamci zamierzali zabić nas wszystkich za zbezczeszczenie ich sanktuarium. Ukamienować jak heretyków.

I nagle ten głos:

--Na litość boską...

Głos mężczyzny, ale nie Raya.

Miałam wrażenie, że jestem świadkiem nagłej materializacji. Tuż nad wodą stał niski, krępy człowiek. W ręku trzymał wiadro, a pod pachą miał wiązkę siana. "Karma dla owiec -- pomyślałam, szukając właściwych słów. -- Karma dla owiec".

Mężczyzna przyjrzał się najpierw mnie, a potem ciału Jonathana. W jego zmęczonych oczach pojawił się popłoch.

--Co tu się stało? -- zapytał. Miał szorstki, gaelicki akcent. -- W imię Chrystusa, co tu się stało?

Pokręciłam głową. Odniosłam wrażenie, że nie jest połączona z karkiem i mogłabym ją strząsnąć. Może wskazałam na zagrodę, może nie. Tak czy inaczej, pojął chyba, o czym myślę, i ruszył ku szczytowi wyspy, odrzucając po drodze wiadro i wiązkę siana.

Oglupiała, poszłam za nim, ale nie dotarłam nawet do glazów, a już wyłonił się z ich cienia. Na jego twarzy malował się paniczny lęk.

--Kto to zrobił?

--Jonathan -- odpowiedziałam. Machnęłam ręką w kierunku trupa, nie odważywszy się na niego spojrzeć. Mężczyzna zaklął po gaelicku i wybiegł z kamiennego kręgu.

--Coście zrobili? -- krzyknął. -- Chryste, coście zrobili? Zabijacie dary.

--Tylko jedną owcę -- odparłam. Pamięć w kółko odtwarzała mi scenę śmierci Jonathana.

--Potrzebują ich, rozumiesz? Inaczej powstaną...

--Kto powstanie? -- zapytałam, znając odpowiedź. Widziałam ruch kamieni.

--Oni wszyscy. Pochowani bez płaczu i ceremonii. Ich żywiołem jest przecież morze.

Rozumiałam, o czym mówi; nagle stało się to dla mnie oczywiste. Zgadza się -- na wyspie byli umarli. Pod kamieniami. Związani rytmem morza, nie znali spoczynku. Żeby ich zjednać, uwięziono w zagrodzie owce, składając je w ofierze.

Czy umarli żywią się baraniną? Nie, to nie jedzenia chcieli. To był wyraz akceptacji i nic więcej.

--Topielcy -- mówił. -- Wszyscy, którzy utonęli.

I znów rozległ się znajomy rumor, stukot kamieni. Znienacka przerodził się w ogłuszający

łoskot, jakby się cała plaża ruszyła.

A w owej kakofonii dało się wyróżnić trzy inne dźwięki: plusk, wrzask i serię trzasków.

Odwróciłam się i ujrzałam falę kamieni, wzbijającą się w powietrze po drugiej stronie wyspy...

I znów ten potworny krzyk, wydarty z dręczonego, miażdżonego ciała.

Zaatakowali "Emmanuelle". Zaatakowali Raya. Pobieglam w kierunku łodzi. Plaża pulsowała mi pod stopami. Z tyłu dobiegał stukot butów owczarza. W miarę jak się zbliżaliśmy, hałas narastał. Kamienie wirowały w powietrzu jak tłuste ptaki, przesłaniając słońce, po czym spadały, waląc w jakiś niewidoczny cel. Może w łódź? A może w ludzi?...

Przeraźliwy wrzask Angeli ucichł.

Obiegłam cypel, wyprzedzając o kilka jardów owczarza. Zobaczyłam wreszcie "Emmanuelle". Łodzi i jej załodze nie sposób było już pomóc. Na jacht spadały nie kończące się zwały kamieni różnej wielkości i kształtu. Dziób był zmiażdżony: maszt i pokład -- zdruzgotane. Angela leżała rozciągnięta na szczątkach nadbudówki, najwyraźniej martwa. Wściekły grad jednak nie ustawał. Kamienie bębniły o resztki dziobu, rozrywały na strzępy zwłoki Angeli.

Nigdzie nie było widać Raya.

Dopiero teraz wrzasnęłam. Łoskot ucichł; na moment odroczonego ataku. Potem znów się zaczęło: kamienie i glazy, fala za falą, zrywały się z plaży, spadając na nic już nie czujące ofiary. Zdawało się, że nie spoczną, dopóki "Emmanuelle" nie zamieni się we wrak, a z ciała Angeli nie zostaną strzępy dostatecznie małe, by zaspokoić krewetki.

Owczarz złapał mnie za rękę tak mocno, że niemal zdrętwiała.

--Chodź -- powiedział. Słyszałam, co mówi, ale nie drgnęłam. Czekałam, aż pojawi się twarz Raya -- albo na to, że usłyszę jego głos. A jednak nic, tylko łoskot kamieni. Ray leżał martwy gdzieś pod szczątkami łodzi, doszczętnie zmiażdżony.

Owczarz ciągnął mnie gdzieś w głąb plaży.

--Łódka -- mówił. -- Uciekniemy moją łódką... Pomysł ucieczki wydał mi się niedorzeczny. Wyspa dźwigała nas na swoim grzbiecie; to do niej należeliśmy.

Ale poszłam za nim. Potykając się i ślizgając na mokrych skałach, brnęłam przez stopy wodorostów tam, skąd przyszliśmy.

Po drugiej stronie wyspy kryła się wątła szansa na życie. Łódź wiosłowa, wyciągnięta na brzeg, niepozorna lupinka.

Czy zdołamy wypłynąć nią w morze?

Nie opierałam się, kiedy ciągnął mnie ku naszemu wybawieniu. Z każdym krokiem nabierałam jednak pewności, że plaża poderwie się nagle, by nas ukamienować. Może -- jak już będziemy o krok od naszej szansy -- przemieni się w mur albo wieżę? Mogła igrać z nami, jak chciała. Ale z drugiej strony, może umarli nie lubią gier? Gry toczą się o jakąś stawkę, a oni już przegrali. Może umarli uznają tylko pustkę, matematyczną pewność?

Na pół wrzucił mnie do łodzi i zaczął spychać ją na wodę. Nie pojawiły się żadne kamienne mury, zdolne przeszkodzić nam w ucieczce. Nie wyrosły żadne wieże, nie posypał się morderczy grad. Ucichł nawet szturm na "Emmanuelle".

Czyżby zaspokoili ich trzy ofiary? A może chroniła mnie obecność owczarza, niewinnego sługi umarłych.

Łódź zsunęła się z kamieni. Kolysaliśmy się trochę na grzbietach małych fal, aż znaleźliśmy się na tyle głęboko, że mogliśmy już sięgnąć po wiosła, a potem już tylko oddalaliśmy się od brzegu. Mój wybawca siedział naprzeciw mnie; wkładał w wiosłowanie wszystkie swoje siły. Widziałam na jego czole krople potu, których przybywało z każdym pociągnięciem wiosel.

Plaża pozostała w tyle; byliśmy wolni. Owczarz chyba się odprężył. Utkwił wzrok w kałuży brudnej wody, jaka powstała na dnie łodzi, i kilkakrotnie głęboko odetchnął. Potem spojrzał na mnie. Z jego poradlonej twarzy nie sposób było nic wyczytać.

--To się musiało stać któregoś dnia -- powiedział cicho i ze smutkiem. -- Ktoś musiał zakłócić nasze życie, zaburzyć rytm.

Tak monotonny był ten ruch wiosel: do przodu i do tyłu. Pragnęłam zasnąć, owinać się brezentem, na którym siedziałam i zapomnieć o wszystkim. Plaża rysowała się w oddali już tylko jako cienka kreska. Nie mogłam dostrzec "Emmanuelle".

--Dokąd płyniemy? -- zapytałam.

--Wracamy do Tiree -- odpowiedział. -- Tam zobaczymy, co się da zrobić. Znajdziemy jakiś sposób, by wszystko naprawić, by znów mogli zasnąć.

--Czy oni żywią się owcami?

--Na co umarłym jedzenie? Nie. Nie ląkną baraniny. Przyjmują te zwierzęta jako wyraz pamięci. Pamięć. Skinęłam głową.

--W ten sposób ich oplakujemy...

Przestał wiosłować, zbyt przygnębiony, by doprowadzić do końca wyjaśnienia -- zbyt wyczerpany, by zdobyć się na coś więcej niż powierzenie nas falom, które doprowadzą łódź do domu.

Zapadła cisza.

Przerwało ją to skrobanie.

Nic wielkiego, jakby jakaś mysz; takie drapanie, jakby ktoś muskał paznokciami spód łodzi prosząc, by go wpuścić. Nie jeden, wielu. Skrobanie narastało. Przegniłe palce tarły o drewno.

Nie drgnęliśmy, słowem się nie odezwaliśmy, nie mogliśmy uwierzyć. Nawet kiedy usłyszeliśmy najgorsze, wciąż jeszcze nie wierzyliśmy.

Plusk za sterburtą. Odwróciłam się i zobaczyłam tego, który zbliżał się do mnie, sztywny niczym figura na dziobie okrętu, dźwigany przez niewidocznych lalkarzy. To był Ray, cały pokryty ranami i sińcami. Najpierw go ukamienowali, a potem przynieśli tutaj jako ponurą maskotkę, straszliwy dowód swej potęgi. Miał luźno opuszczone ręce i stopy skryte w pianie; zdawał się iść po wodzie. Przyjrzałam się jego twarzy: była pokaleczona i zmiądzona. Jedno oko niemal zamknięte, drugie wybite.

O dwa jardy od łodzi lalkarze znów ukryli go w morzu; zniknął w różowym wirze.

--Twój towarzysz? -- zapytał owczarz.

Potwierdziłam. Widocznie spadł z burty "Emmanuelle". Teraz był jak tamci: był topielcem. Przyjęli go jako towarzysza zabaw. A więc jednak lubili igraszki; przyciągnęli go z plaży jak dzieci zapraszające nowego kolegę, by z nimi pofiglował.

Skrobanie ucichło. Ciało Raya zniknęło bez śladu. Odwieczne morze milczało, tylko fale uderzały o burty.

Złapałam za wiosła...

--Wiosłuj! -- krzyknęłam na owczarza. -- Wiosłuj, bo nas zabiją.

Miałam wrażenie, że pogodził się z losem, jaki nam przeznaczyci. Potrząsnął głową i splunął do wody. Pod powierzchnią, na której unosiła się jego flegma, coś się poruszyło. Przewracały się tam i koziolkowały jakieś blade sylwetki, zbyt głęboko zanurzone, by można było rozróżnić szczegóły. Na moich oczach ruszyły w stronę łodzi, wyciągając ręce, by nas pochwycić. Z każdym sążniem coraz wyraźniej widziałam ich zżarte przez morze twarze.

Ławica trupów. Tuziny umarłych, objedzonych przez kraby i ryby; szkielety, ledwie oblepione ciałem.

Łódź zakołysała się lekko, kiedy jej dotknęli.

Wyraz rezygnacji ani na moment nie opuścił twarzy owczarza; nawet gdy łódź zakołysała się, huśtana najpierw łagodnie, a potem coraz bardziej zajadle, tak że miotało nami jak lalkami. Zamierzali ją wyrzucić i nic nie mogliśmy na to poradzić. W chwilę później przekręciła się do góry dnem.

Woda była lodowata, o wiele zimniejsza niż przypuszczałam. Z miejsca pozbawiła mnie tchu. Ale zawsze dość dobrze radziłam sobie w wodzie. I teraz pewnymi ruchami cięłam spienione fale, oddalając się od łodzi. Owczarz miał mniej szczęścia. Najwidoczniej, jak wielu ludzi żyjących za pan brat z morzem, nie umiał pływać. Poszedł na dno jak kamień, bez krzyku i bez modlitwy.

Na co liczyłam? Że cztery ofiary wystarczą; że zostawią mnie w spokoju, aż natrafię na jakiś prąd, który poniesie mnie w bezpieczne miejsce? Na co bym nie liczyła, niedługo to trwało.

Poczułam, że coś delikatnie -- niezwykle delikatnie, niemal pieśczośliwie -- ociera się o moje kostki i stopy. Coś innego wynurzyło się na chwilę tuż koło mojej głowy. Mignął mi szary grzbiet. Może wielka ryba? Miękkie muśnięcia zmieniły się w uścisk. Gąbczasta ręka, spęczniała od długiego przebywania w wodzie, chwyciła mnie, nieodwołalnie ofiarowując morzu. Nabierając po raz ostatni powietrza, zobaczyłam głowę Raya, wynurzającą się nie dalej niż jard ode mnie. Wyraźnie widziałam rany -- wyplukane przez wodę płyty białej tkanki odsłaniały kość. Wybite oko gdzieś odpłynęło, a włosy, przylepione do czaszki, nie zakrywały już łysinki.

Morze zamknęło się nade mną. Oczy wciąż miałam otwarte i widziałam, jak z trudem zdobyte powietrze uchodzi w roju srebrnych baniek. Ray był tuż przy mnie, troskliwy, czuły. Jego ręce unosiły się nad głową, jakby w geście poddania. Ciśnienie wody zniekształciło jego twarz, wydeło policzki, wyciągnęło z oczodołu przerwane nerwy, niczym macki maleńkiej ośmiornicy.

Nie opierałam się. Otworzyłam usta i poczułam, jak wypełnia je zimna woda. Sól paliła mi gardło, chłód mroził oczy. Piana wypełniła usta; chciwa woda wdzierwała się tam, gdzie nigdy nie powinna była trafić -- wyplukując powietrze z płuc -- aż zawładnęła moim organizmem.

Dwa trupy o targanych przez prąd włosach trzymały mnie za nogi. Ich głowy kołysały się i tańczyły na przegniłych sznurach mięśni karku i choć wpijałam się w ich ręce, a ciało odchodziło od kości szarymi płatami, czuły uścisk nie zelżał. Pragnęły mnie, och, jak bardzo mnie pragnęły.

Ray też mnie trzymał: owinał się wokół mnie, przyciskając swą twarz do mojej. Myślę, że nie robił tego celowo. Nic nie rozumiał, nie czuł, nie znał miłości ani troski.

A ja, z każdą sekundą tracąc życie -- absolutnie poddając się morzu -- nie znajdowałam żadnej rozkoszy w zbliżeniu, o którym od tak dawna marzyłam.

Za późno na miłość, a i słońce już było wspomnieniem. Czy to świat gasł, znikając wraz z moją śmiercią, czy znaleźliśmy się już tak głęboko, że słońce nie mogło tu przeniknąć? Panika i przerażenie opuściły mnie -- serce już chyba nie biło -- nie łapałam już rozpaczliwie powietrza jak przedtem. Nastal swoisty spokój.

W końcu palce mych towarzyszy zwolniły uchwyt i łagodny nurt zajął się mną po swojemu. Zgwałcił moje ciało: zniszczył skórę i mięśnie, trzewia, oczy, język i mózg.

Czas się zatrzymał. Może dni przechodziły w tygodnie? Nie wiem. Kile jachtów przemykały w górze i może wtedy wyglądaliśmy z naszych skalnych nisz, by zobaczyć, jak przepływają. Upierścieniony palec rył wodę, łódka bez plusku przecinała niebo, żyłka wlokła robaka. Jedyne oznaki życia.

Może w godzinie mojej śmierci, a może w rok później prąd wywołuje mnie z mej niszy i obdarza odrobiną litości. Wyciąga mnie spomiędzy morskich anemonów i oddaje przypluwowi. Ray jest ze mną. Jego czas również nadszedł. Morze nas przemieniło. Nie ma już dla nas powrotu.

Przypluw niesie nas bez ustanku -- czasem na powierzchni, jako spęczniałe tratwy dla mew; czasem na wpół zanurzonych, obgryzanych przez ryby -- niesie nas ku wyspie. Rozpoznajemy plażę i -- choć pozbawieni uszu -- słyszymy grzechot kamieni.

Morze już dawno zmyło wszystkie odpadki z tego talerza. Angela, "Emmanuelle" i Jonathan przepadli. Tylko my, Topielcy, jesteśmy tu u siebie. Pod kamieniami, zwróceniu twarzami ku górze, upajamy się rytmem cichych fal i absolutną bezmyślnością owiec.

CIEŃ CZŁOWIEKA

(HUMAN REMAINS)

Pewne profesje najlepiej uprawiać za dnia, inne w nocy. Gavin był specjalistą tej drugiej kategorii. Zimą czy latem, opierając się o ścianę lub stercząc w bramie z papierosem w ustach, sprzedawał wszystkim chętnym to, co pociło się w jego džinsach.

Czasem obsługiwał przyjezdne wdowy, bogatsze w pieniądze niż w miłość, które wynajmowały go na weekend pełen nieprzyzwoitych chwil, gorzkich, natarczywych pocałunków i -- jeśli tylko zapomniały o dawnych partnerach -- jałowych uścisków na łóżku, pachnącym lawendą. Czasem opuszczonych małżonków, głodnych swej własnej płci i na tyle zdesperowanych, że łaknęli godziny współżycia z chłopcem, który nie spyta ich o nazwisko.

Gavinowi było wszystko jedno. Jego dewizą -- a równocześnie walorem -- była obojętność. To ułatwiało rozstanie z nim, kiedy już było po wszystkim i pieniądze przechodziły z rąk do rąk. Komuś, kogo nie obchodzi, czy żyjesz, czy nie, łatwo jest powiedzieć "Cześć" lub "Do widzenia".

A Gavinowi fach ten odpowiadał bardziej niż wszystkie inne. Raz na jakiś czas dawał nawet okruczeństwa fizycznej, a w najgorszym razie stawał się seksualną harową. Ale do tego Gavin zdołał przez lata przywyknąć

Fach przynosił dochody. Pozwalał mu zachować klasę. Za dnia Gavin przeważnie spał. Z głową osłoniętą ramionami przed nadmiarem światła, spowity w pościel jak mumia, wygniatał w łóżku ciepły dołek. Około trzeciej wstawał, golił się i brał prysznic, po czym spędzał pół godziny przed lustrem, studiując swoje ciało. Był aż przesadnie samokrytyczny, nigdy nie pozwalał sobie na odejście o więcej niż jeden czy dwa funty od wybranego ideału wagi.

Dbal o to, by odżywiać skórę, gdy robiła się zbyt sucha, przecierał ją, o ile była tłusta, polował na każdy pryszcz, mogący skazić jego policzki. Uważał zwłaszcza na najdrobniejsze nawet oznaki chorób wenerycznych. Ze sporadycznie łapanymi mendowszkami radził sobie bez trudu, ale rzeźączka, której dorobił się dwukrotnie, wyłączyła go z roboty na trzy tygodnie, co odbiło się fatalnie na finansach. Dlatego obsesyjnie studiował swe ciało, spiesząc do lekarza z najdrobniejszą nawet wysypką.

Ale to rzadko się zdarzało. Jeśli więc nie wchodziły w grę kłopoty z mendami, owe pół godziny spędzał przeważnie na podziwianiu mądrości natury, która go stworzyła. Bo Gavin był cudowny. Ciągłe mu to mówiono. "Twarz, ta twarz" -- powtarzali, obejmując go mocno, jakby mogli przez to skraść cząstkę jego uroku.

Rzecz jasna, w branży pracowali i inni pięknie, osiągalni przez agencje albo nawet na ulicach, jeśli tylko wiedziało się, gdzie ich szukać. Jednakże większość znanych Gavinowi dziwek miała w porównaniu z nim nie dopracowane twarze. Twarze, które wyglądały jak wstępne szkice, a nie skończone dzieła. On natomiast był w pełni dopracowany. Nie zapomniano o żadnym szczególe, pozostało jedynie utrwalać tę doskonałość.

Zakończywszy lustrację, Gavin ubierał się, czasem stał przed lustrem jeszcze przez pięć minut, a potem wnosił opakowany towar na ulicę.

Ostatnimi czasy coraz mniej pracował na ulicy. To stawało się ryzykowne: trzeba było uważać na stróżów prawa, a czasem pojawiał się psych, pragnący oczyścić Sodomę. Zresztą, zawsze mógł załapać klienta przez Agencję Towarzyską, tyle że tamci kasowali niezły procent wypłaty. Miał oczywiście i starych klientów, którzy co miesiąc rezerwowali sobie jego względy.

Wdowa z Fort Lauderdale, goszcząca co roku w Europie, za każdym razem wynajmowała go na kilka dni. Inna kobieta, której twarz widział w magazynie ilustrowanym, dzwoniła do niego czasem tylko po to, by zjeść z nim kolację i zwierzyć się

ze swych problemów małżeńskich. Mężczyzna, którego Gavin nazwał Roverem -- na cześć samochodu tamtego -co kilka tygodni kupował sobie noc pełną pocałunków i wyznań.

Kiedy jednak nie miał zaklepanego klienta, sam musiał brać na siebie szukanie okazji. Tę sztukę opanował perfekcyjnie. Nikt inny na "ulicy" nie znał lepiej języka zachęt, subtelnej mieszaniny ośmielania i odpychania, delikatności i rozpasania. Tego specyficznego przerzucenia ciężaru ciała z lewej nogi na prawą, które prezentowało krocze pod najlepszym kątem. Nie nazbyt krzykliwie, nigdy nie kurewsko. Po prostu -- obiecująco.

Szczycił się tym, że nigdy nie czatował na klienta aż godzinę; zajmowało mu to kilka minut. Jeżeli rozgrywał wszystko z właściwą sobie dokładnością, to namierzywszy rozczarowaną żonę czy smętnego męża, doprowadzał do tego, że go nakarmili, niekiedy nawet ubrali, przespali się z nim, życząc na koniec "spokojnej nocy", jeszcze zanim uciekł ostatni pociąg do Hammersmith. Lata półgodzinnych numerów -- co wieczór trzy dymanki i jedno rżnięcie -- miał już za sobą. Po pierwsze, nie było mu to już potrzebne; po drugie zaś, przymierzał się do zmiany zajęcia. Z ulicznej dziwki na żigolaka, z żigolaka na utrzymanka, z utrzymanka na małżonka. Któregoś dnia, wiedział o tym doskonale, poślubi jedną z wdówek, może tę matronę z Florydy. Mówiła mu, jak to sobie wyobraża jego, wylegującego się na skraju basenu w Fort Lauderdale. Gavin podsycił te jej marzenia. Może jeszcze nie był gotów, ale zamierzał prędzej czy później wykręcić taki numer. Sęk w tym, że takie bogate kwiatki wymagały ciągłej pielęgnacji; szkoda też, że tak wiele wiedło na długo przed owocowaniem.

W tym roku jednak to robi. Tak, na pewno w tym roku, to musi być ten rok. Jesienią coś zmieni się na lepsze, czuł to.

A na razie obserwował pogłębiające się, zmarszczki wokół jego cudownych ust i próbował przewidzieć, jakie przeszkody czyhają na niego w owym wyścigu z czasem.

Była już dwudziesta pierwsza piętnaście dwudziestego dziewiątego dnia września i nawet w hallu hotelu Imperial panował chłód. W tym roku na ulicach nie zagościło babie lato. Londyn znalazł się w paszczy jesieni; drżał z zimna.

Zimno wkradło się nawet w głąb zęba Gavina, parszywego, próchniejącego zęba. Gdyby tylko, zamiast przewracać się na łóżku, skrócił sobie sen o godzinę i poszedł do dentysty, nic by teraz nie dolegało. Cóż, było już za późno, zrobi to jutro. Jutro będzie mnóstwo czasu. Nawet nie będzie musiał zamawiać wizyty. Wystarczy, że uśmiechnie się do rejestratorki, a już tamta zmięknie i powie, że znajdzie dla niego jakąś lukę. Wtedy on uśmiechnie się po raz drugi, rejestratorka się zarumieni i z miejsca wpuści go do gabinetu. Nie będzie musiał czekać dwa tygodnie jak ci biedni frajerzy, którym los poskąpił cudownych twarzy.

Dzisiejszą noc będzie musiał przetrzymać. Przydałby się jakiś cholerny klient -- mężulek, który za wzięcie w usta zapłaciłby hojną garścią -- a potem pełny relaks w całonocnym klubie w Soho, gdzie można upajać się swoimi odbiciami. O ile nie trafi na maniaka zwierzeń, już o wpół do jedenastej wypluje kichę i będzie miał z głowy całą sprawę.

A jednak to nie była jego noc. W recepcji Imperialu urzędowała nowa twarz, pociągła, wyzywająca, zwieńczona niedopasowaną szczecina, przyklejoną do łysiny. Przypatrywała się krzywo Gavinowi już niemal od pół godziny.

Stary recepcjonista, Madox, był cichą wodą; Gavin raz czy dwa widział, jak włóczył się po barach. Był też mięczakiem, jeśli się wiedziało, jak do niego podejść. Gavin urabiał go jak wosk; miesiąc czy dwa temu Madox kupił nawet godzinę jego towarzystwa. Dostał wtedy zniżkę -w ramach rozsądnej polityki. Ale ten nowy recepcjonista był inny -- złośliwy, niechętny takim jak Gavin.

Gavin obojętnie ruszył w kierunku automatu z papierosami, stąpając po kosztownym dywanie w rytm muzyki. Parszywa, pierdolona noc.

Recepcjonista czekał, aż odwróci się od automatu z paczką winstonów w rękę.

--Przepraszam... sir. -- Wymawiał słowa bardzo starannie, aż nienaturalnie. Gavin popatrzył na niego słodko.

--Tak?

--Czy pan jest aktualnie gościem hotelowym... sir?

--Aktualnie...

--Jeśli nie, to kierownictwo będzie wdzięczne, jeśli natychmiast opuści pan hotel.

--Czekam na kogoś.

--O?

Recepcjonista nie wierzył w ani jedno słowo.

--Proszę mi zatem podać nazwisko...

--Nie ma potrzeby.

--Proszę podać nazwisko -- nalegał tamten. -- A ja z przyjemnością sprawdzę, czy pański... przyjaciel... przebywa w hotelu.

Ten sukinsyn nie zamierzał popuścić, a to zawężało możliwości działania. Gavinowi pozostało jedynie rozegrać to na chłodno i opuścić hali albo zagrać rozsierzonego klienta i zmiążyć tamtego wzrokiem. Wybrał, raczej ze złości niż z rozsądku, to drugie wyjście.

--Pan nie ma prawa... -- zaczął się pienić, ale recepcjonisty to nie ruszyło.

--Słuchaj, synku... -- powiedział. -- Wiem, co kombinujesz, nie próbuj więc się rzucać, bo wezwę policję. -- Stracił kontrolę nad swoim akcentem; każda sylaba lokowała go coraz dalej na południe od Tamizy. -- Mamy tu miłą klientelę, która nie chce się zadawać z takimi jak ty, jasne?

--Pojob -- stwierdził bardzo cicho Gavin.

--To o jedną klasę wyżej od obciążacza, tak? Trafione.

--A teraz, synku, zmyjesz się stąd na własnym paliwie czy niebiescy chłopcy mają cię wynieść w obręczkach? Gavin zagrał ostatnią kartę.

--Gdzie jest pan Madox? Chcę się widzieć z panem Madoxem. On mnie zna.

--Jestem pewien, że zna -- parsknął recepcjonista. -- Jestem cholernie pewien, że zna. Zwolniono go za nieodpowiedzialne zachowanie. -- Sztuczny akcent wracał na miejsce. -- Na twoim miejscu nie próbowałbym więc tu szermować jego nazwiskiem, OK? W tył zwrot.

Wziąwszy górę na każdym polu, recepcjonista cofnął się niczym matador i gestem nakazał bykowi wyjść.

--Kierownictwo dziękuje za pańskie wsparcie. Proszę już tu nie przychodzić.

Gem, set i mecz dla człowieka ze szczecią. Co u licha, są jeszcze inne hotele, inne halle, inni recepcjoniści. Gavin nie musiał się babrać w tym gównie.

Otwierając drzwi, posłał przez ramię uśmiech typu "Do zobaczenia". Może dzięki temu

ów palant spoci się nieco którejś nocy, kiedy wracając do domu, usłyszy za sobą kroki jakiegoś młodego człowieka. Drobną satysfakcją, ale zawsze coś.

Drzwi zamknęły się, odcinając Gavina od ciepła hotelowego hallu. Było teraz o wiele zimniej, niż kiedy wchodził do hotelu. Kiedy spieszył w dół Park Lane, w kierunku South Kensington, zaczęło kropić i zanosilo się na burzę. Przy High Street znajdzie się parę hoteli, w których da się przeczekać -- jeżeli nic z tego nie wyjdzie, będzie musiał przyznać się do klęski.

Sznury samochodów, majestatyczne i lśniące, mknęły do Knightsbridge lub Victorii, mijając Hyde Park Corner. Gavin wyobraził sobie, jak stoi na betonowej wysepce między dwoma strumieniami pojazdów, wpychając w kieszenie dżinsów końce palców -- były zbyt ciasne, by wsunąć palce poza pierwszy staw -- samotny i zagubiony.

Spląnęła na niego fala przygnębienia. Miał dwadzieścia cztery lata i pięć miesięcy. Tylko zarabiał już od siedemnastego roku życia, obiecując sobie, że zanim skończy dwadzieścia pięć lat, znajdzie sobie jakąś chętną do ożenku wdówkę albo legalne zajęcie.

Czas jednak mijał i nic nie wychodziło z jego planów. Gavin stracił impet i dorobił się kolejnej zmarszczki pod oczami.

A auta wciąż mknęły lśniącymi strumieniami, błyskając ślepiami reflektorów, pełne ludzi, na których chętnie by wlaź i których fiutami mógłby się pobawić. Rwąca rzeka, która oddzielała go od brzegu, od bezpiecznego schronienia,

Gavin nie był zadowolony z siebie. Dręczyło go ukryte głęboko jego "ja". A młodość minęła wczoraj.

Dokąd miał teraz pójść? Nawet gdyby wypalił nieco trawki, by poszerzyć granice pokoju, mieszkanie i tak byłoby więzieniem. Chciał, nie, musiał tę noc spędzić w czyimś towarzystwie. Choćby po to, by zobaczyć swe ciało w cudzych oczach. Wysłuchiwać, jak doskonale jest zbudowany. Być goszczony winem i kolacją, obsypywany komplementami -- nawet jeśli miałby mieć do czynienia z bogatszym i szpetniejszym bratem Quasimoda. Dziś potrzebował podkreślenia swej wartości.

Podryw wyszedł tak diabelnie łatwo, że epizod w hallu Imperialu zatarł się w pamięci Gavina. Facet mniej więcej pięćdziesięcioletni, dobrze podkuty: buty od Gucciego, płaszcz dobrej klasy. Jednym słowem, ktoś.

Gavin stał w drzwiach niewielkiego, ambitnego kina, przyglądając się planowi seansów, na których puszczali film Truffaut'a, i nagle odkrył, że przygląda mu się jakiś frajer. Zerknął więc na faceta, żeby upewnić się, czy w grę wchodzi podryw. Wyglądało na to, że to spojrzenie speszyło gościa. Facet ruszył z miejsca, potem chyba zmienił zdanie. Wymamrotał coś pod nosem i wrócił, niby to wielce zainteresowany repertuarem kina. "Wyraźnie nie obyty z tą grą -- pomyślał Gavin. -- Nowicjusz".

Gavin niedbale wyjął winstona i zapalił go. Okryty dłońmi płomień zapalki nadał jego policzkom złoty połysk. Tysiąc razy robił tę sztuczkę, często też przed lustrem -- dla własnej przyjemności. To zerknięcie znad małego płomyka było bezbłędne, zawsze skutkowało. Tym razem, kiedy spojrzał w oczy frajera, tamten nie odwrócił wzroku.

Gavin zaciągnął się papierosem, pstryknięciem wyrzucając zapalkę. Od kilku miesięcy nie miał takiego podrywu, ale był zadowolony, że nie wypadł z formy. Bezbłędnie rozpoznaje potencjalnego klienta; cicha propozycja zawarta w wyrazie oczu i ust, w razie pomyłki przechodząca w niewinną życzliwość

Ale tym razem pomyłka nie wchodziła w grę, towar był dobry. Facet wlepił wzrok w Gavina. Był nim urzeczony niemal do bólu. Rozdziawiał usta, jakby zabrakło mu słów na powitanie. Niespecjalna twarz, ale daleka od szpetoty. Facet opalał się zbyt często i to za szybko; może mieszkał gdzieś za granicą. Gavin przyjął, że gość jest Anglikiem -- świadczyła o tym jego niepewność.

Wbrew swoim przyzwyczajeniom Gavin zrobił pierwszy ruch.

--Lubisz francuskie filmy?

Zdawało się, że facet odetchnął z ulgą. Cisza została przerwana.

--Tak -- odpowiedział.

--Wchodzisz?

Mężczyzna zrobił głupią minę.

--Ja... Ja... chyba nie.

--Trochę zimno...

--Tak. Zimno.

--Trochę za zimno, żeby tu stać.

--O... tak.

Frajer złapał przynętę.

--Może... miałbyś ochotę na drinka?

Gavin uśmiechnął się.

--Pewnie. Czemu nie?

--Mieszkam niedaleko stąd.

--W porządku.

--Wiesz, trochę mi smętnie w domu.

--Znam ten ból.

Teraz tamten się uśmiechnął.

--Jesteś...

--Gavin.

Mężczyzna wyciągnął rękę w skórzanej rękawiczce. Bardzo formalnie jak w interesach.

Uścisk miał silny; wcześniejsze wahanie zniknęło bez śladu.

--Ja jestem Kenneth -- powiedział. -- Ken Reynolds.

--Ken.

--Zabieramy się z tej zimnicy?

--Pasuje.

--Mieszkam kawalek stąd.

Kiedy Reynolds otworzył drzwi mieszkania, owionęła ich fala stęchłego, nagrzanego powietrza. Wspinaczka na trzecie piętro pozbawiła Gavina tchu, ale Reynolds nie zwalniał. Może maniak zdrowia? Zawód? Coś związanego z miastem. Uścisk dłoni, skórzane rękawiczki. Może administracja państwowa?

--Wejdz, wejdz.

Czuło się pieniądze. Włochaty dywan był tak puszysty, że tłumił ich kroki. Ale w przedpokoju było zaledwie kilka sprzętów: kalendarz wiszący na ścianie, mały stolczyk z telefonem, stos książek telefonicznych, wieszak.

--Tu jest ciepłej.

Reynolds uwolnił się od płaszcza i powiesił go. Nie zdejmując rękawiczek, poprosił Gavina do dużego pokoju.

--Daj kurtkę -- powiedział.

--A... jasne.

Gavin zdjął kurtkę, a Reynolds zniknął z nią w przedpokoju. Wracając męczył się z rękawiczkami -- kiepsko schodziły ze spoconych rąk. Facet był wciąż zdenerwowany, nawet na swoim gruncie. Zwykle, kiedy byli już u siebie, za zamkniętymi drzwiami, natychmiast się uspokajali. Ten nie, był kłębkim nerwów.

--Mogę ci zrobić drinka?

--Tak, przydałby się.

--Jaką lubisz truciznę?

--Wódkę.

--Oczywiście. Coś do tego?

--Kroplę wody.

--Purysta, co?

Gavin nie bardzo rozumiał tę uwagę.

--Tak -- odparł.

--Człowiek w moim typie. Przepraszam, tylko przyniosę lód.

--Nie ma sprawy.

Reynolds rzucił rękawiczki na krzesło i zostawił Gavina w pokoju. Podobnie jak w przedpokoju, tak i tu było niemal duszno, ale nie z powodu domowej, swojskiej atmosfery. Jaki by nie był zawód Reynoldsa, facet był kolekcjonerem. Pokój zastawiono antykami. Zajmowały wszystkie ściany, stojąc szeregami na półkach. Niewiele tu było mebli, a te, które były, wyglądały dziwnie -- sfatygowane krzesła z giętych rurek nie pasowały do tak bogatych apartamentów. Może Reynolds był wykładowcą uniwersyteckim albo dyrektorem muzeum, jakimś naukowcem? Ten pokój nie należał do maklera giełdowego.

Gavin nie znał się na sztuce, a jeszcze mniej obznajomiony był z historią, eksponaty niewiele mu więc mówiły, ale postanowił się im przyjrzeć -- choćby po to, by zrobić dobre wrażenie. Facet na pewno spyta go, co sądzi o tych zbiorach. Z półek wiało beznadziejną nudą. Szczałki glinianych naczyń i rzeźb. Nic w całości, same fragmenty. Na niektórych odłamkach pozostały jeszcze ślady wzorów, ale czas zatarł kolory. Część rzeźb musiała przedstawiać ludzi; kawałek torsu, stopa, twarz, tak zniszczona, że nie sposób było określić, czy należała do mężczyzny, czy do kobiety. Gavin stłumił ziewnięcie. Zaduch, eksponaty, perspektywa seksu -- wszystko to podziało na niego usypiająco.

Skierował przytępioną uwagę na antyki na ścianach. Kobity większe wrażenie niż te z półek, ale i tu trudno było znaleźć coś kompletnego. Nie mógł pojąć, czemu ktoś chciałby przypatrywać się takim rupieciom. Co w nich było takiego fascynującego? Kamienne reliefy były tak podziurawione i zwietrzałe, że skóra wyobrażonych postaci zdawała się być dotknięta trądem, a łacińskie napisy stały się nieczytelne. Nie było w nich nic z piękna, zbyt były zniszczone. Patrząc na nie, sam czuł się brudny, jakby ich stan się udzielał.

Tylko jeden z eksponatów wydał mu się interesujący: nagrobek -- albo coś w rodzaju nagrobka -- większa od innych płaskorzeźba i w nieco lepszym stanie. Mężczyzna na koniu, uzbrojony w miecz, górujący nad bezgłowym wrogiem. Pod spodem kilka łacińskich słów.

Przednie nogi konia odpadły, a zamykające obraz kolumnienki z czasem uległy zniekształceniu, ale mimo to wizerunek miał coś w sobie. W topornie zarysowanej twarzy dawało się nawet odczytać jakiś ślad osobowości: długi nos, szerokie usta. Coś indywidualnego.

Gavin wyciągnął rękę, by dotknąć napisu, ale cofnął ją, słysząc wchodzącego Reynoldsa.

--Nie, dotknij jej, proszę -- powiedział gospodarz. -- Jest tu po to, by się nią zachwycić.

Dotknij.

Teraz gdy zachęcono go do tego, stracił nagle ochotę. Czuł się głupio, złapany na gorącym uczynku.

--No już -- nalegał Reynolds.

Gavin dotknął płaskorzeźby. Zimny kamień, nieco chropowaty.

--Rzymski -- wyjaśnił Reynolds.

--Nagrobek?

--Tak. Znaleziony w pobliżu Newcastle.

--Kto to był?

--Nazywał się Flawinus. Był chorążym swojego oddziału.

To, co Gavin uznał za miecz, po bliższym zbadaniu okazało się drzewcem sztandaru. Zakończony było jakimś słabo czytelnym motywem; może pszczołą, kwiatem albo kołem.

--Jesteś zatem archeologiem?

--To wchodzi w zakres mojego zawodu. Poszukuję dawnych osad, czasem nadzoruję wykopaliska. Przeważnie jednak kontroluję antyki.

--Takie jak te?

--Mam obsesję na punkcie Brytanii pod rządami Rzymian.

Odstawił szklanki, które przyniósł, i podszedł do półek z ceramiką.

--Zebranie tego wszystkiego zajęło mi lata. Nigdy nie uwolniłem się od dreszczyku emocji, jaki towarzyszy zajmowaniu się przedmiotami, które od wieków nie widziały światła dnia. To jak wkraczanie w historię. Rozumiesz, co mam na myśli?

--Tak.

Reynolds zdjął z półki kawałek jakiejś skorupy.

--Oczywiście na najcenniejszych znaleziskach zaraz kładą rękę grube ryby. Ale jeśli ma się głowę na karku, można zataić kilka okazów. Rzymianie wywarli na nas niesamowity wpływ. Pozostawili po sobie budynki, drogi i mosty.

Nagle wybuchnął śmiechem, rozbawiony własnym entuzjazmem.

--Do licha -- powiedział. -- Reynolds znowu wyklada. Wybacz, poniosło mnie.

Położywszy skorupę z powrotem na półkę, podszedł do szklanek i zaczął je napelniać.

Odwrócony tyłem, zdobył się na pytanie:

--Czy jesteś drogi?

Gavin zawahał się. Wyraźnie czuł zdenerwowanie gospodarza, a nagle przejście od Rzymian do ceny dymania wymagało pewnego przestrojenia.

--To zależy -- wybrnął.

--A... -- domyślił się tamten, wciąż jeszcze zajęty szklankami. -- Chodzi ci o to, jaka dokładnie będzie natura moich... hm... wymagań?

--Tak. Oczywiście.

Odwrócił się i wręczył Gavinowi pokazną szklankę wódki. Bez lodu.

--Nie będę wymagający -- oznajmił.

--Nie należę do tanich.

--Jestem pewien, że nie. -- Reynolds próbował się uśmiechnąć, ale nie bardzo mu to wyszło.

-- A ja jestem gotów ci dobrze zapłacić. Będziesz mógł zostać tu na noc?

--A chcesz, żebym został?

Reynolds skrzywił się nad swoją szklanką.

--Sądzę, że tak.

--W takim razie zostaję.

Nastrój gospodarza uległ nagle zmianie, miejsce niezdecydowania zajął wybuch entuzjazmu.

--Zdrówko -- powiedział Reynolds, stukając swą pełną whisky szklaneczką w szkło Gavina. -- Za miłość, życie i wszystko inne, za co warto płacić.

Dwuznaczność tego toastu nie umknęła uwadze Gavina. Facet był niewątpliwie pokręcony.

--Też za to wypiję -- stwierdził Gavin i łyknął wódki.

Potem picie nabrało tempa i przy trzeciej wódce chłopak poczuł się po raz pierwszy od dłuższego czasu naprawdę zawiany. Tylko jednym uchem słuchał opowieści Reynoldsa o wykopaliskach i chwale Rzymu. Myśli gdzieś odpływały; przyjemne uczucie. Wszystko wskazywało na to, że spędzi tu noc, a przynajmniej zostanie do wczesnych godzin rannych, dlaczego więc nie miałby pić wódki tego frajera i rozkoszować się doznaniem, jakie mu dawała? Później, zapewne dużo później, sądząc po tym, jak się ów facet rozgadał, nadejdzie pora na jakiś rozrzedzony alkoholem seks w przyciemnionym pokoju i to już będzie wszystko. Miewał już takich klientów. Byli samotni, może chwilowo wól u i przeważnie łatwo było ich zaspokoić. Ten gość nie kupował seksu, ale towarzystwo kogoś, kto przez chwilę z nim posiedzi. Łatwy szmal.

I nagle ten hałas.

Początkowo Gavin miał wrażenie, że to łupie mu w głowie, ale Reynolds wstał, krzywiąc usta. Swobodna atmosfera prysła.

--Co to? -- Gavin też się podniósł. Od wódki kręciło mu się w głowie.

--Nic się nie stało. -- Dłonie Reynoldsa wcisnęły go w krzesło. -- Usiadł

Hałas przybrał na sile. Niewidoczny dobośz walił coraz mocniej.

--Proszę, zaczekaj chwilę. To tylko ktoś piętro wyżej.

Reynolds kłamał -- odgłos nie dochodził z góry. Ten rytmiczny stukot, który to przyspieszał, to zwalniał, miał swe źródło w mieszkaniu.

--Nalej sobie -- rzucił od drzwi gospodarz czerwieniąc się. -- Przeklęci sąsiedzi.

Wezwanie -- to nie mogło być nic innego -- ucichło.

--Tylko chwilę -- obiecał Reynolds i zamknął drzwi.

Gavin miewał już paskudne przygody. Babki, których kochankowie pojawiali się w najmniej odpowiednich momentach; facetów, którzy chcieli go wykantować; gościa, którego na tyle dręczyło poczucie winy, że rozniósł w drzazgi wynajęty w hotelu pokój. Takie rzeczy się zdarzały. Problem w tym, że Reynolds był inny, nic nie wskazywało, że ma świra. W głębi duszy Gavin upominał siebie jednak, że i tamci faceci nie wyglądali na psychicznych. "Diabła tam" -- pomyślał. Gdyby tak zaczął mieć cykora za każdym razem, gdy szedł z kimś nowym, rychło musiałby się wycofać z interesu. W tej branży musiał polegać na szczęściu i instynkcie, a

instynkt podpowiadał mu, że ten klient nie wywinie numeru.

Łyknąwszy szybko resztę drinka, napelnił szklankę ponownie. Czekał, co będzie dalej.

Teraz gdy hałas już ucichł, o wiele łatwiej było zebrać fakty. Może to rzeczywiście sąsiad z góry? Nie było przecież słyhać, że Reynolds chodzi po mieszkaniu.

Rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu czegoś, co na jakiś czas zajęłoby jego uwagę. Ponownie przyjrzał się wiszącej na ścianie płycie nagrobkowej.

Chorąży Flawinus.

W samej idei wyrzeźbienia w kamieniu czyjejs, choćby topornej podobizny i umieszczenia jej w miejscu, gdzie spoczęły jego kości, było coś krzepiącego, nawet jeśli potem jakiś historyk miałby oddzielić kamień od szczątków. Ojciec Gavina nie chciał kremacji, wolał spocząć w grobie. "Jak inaczej sprawić, że będą o mnie pamiętali? -- mawiał. -- Kto pójdzie pod tkwiącą w murze urnę, żeby się wyplakać?" Jak na ironię, nikt nie chciał chodzić na jego grób. Gavin był tam może ze dwa razy. Zwyczajny kamień z nazwiskiem, datą i jakimś frazesem. Chłopak nie potrafił sobie nawet przypomnieć, w którym roku zmarł jego ojciec.

Ale o Flawinusi ludzie pamiętali. Dowiedzieli się o nim nawet ci, którzy dotąd nie mieli pojęcia o jego istnieniu i nigdy nie znali takiego życia, jakie przypadło mu w udziale. Gavin wstał i dotknął imienia chorążego, niezgrabnie wyciosanego słowa "FLAVINUS".

Stukot się powtórzył, tym razem jeszcze bardziej natarczywy.

Gavin odwrócił się i spojrział na drzwi, niemal pewien, że zobaczy w nich Reynoldsa, który mu wszystko wyjaśni. Nikt się jednak nie zjawił.

--Cholera.

Nerwowe bębnienie nie ustawało. Ktoś się nieźle wkurzył. I tym razem nie było się co oszukiwać -- ten, kto bębnił, znajdował się tu, na tym piętrze, może o kilka jardów dalej. Gavina ogarnęła ciekawość. Opróżnił szklankę i wyszedł do przedpokoju. Ledwie zamknął za sobą drzwi, hałas ucichł.

--Ken -- zaryzykował. Zdawało się, że to słowo nawet nie opuściło jego warg.

Przedpokój tonął w mroku; jedyne światło dochodziło z jego drugiego końca. Gavin poszukał kontaktu. Nieczynny.

--Ken? -- powtórzył.

Tym razem doczekał się odpowiedzi. Usłyszał jęk i rumor, jakby się ktoś przewracał lub został przewrócony. Czyżby Reynoldsowi coś się stało? Jezu, może leży gdzieś tam -- o krok od Gavina -- bezradny. Trzeba mu pomóc. Czemu stopy tak opornie ruszają z miejsca? Czuł mrowienie, nieodłącznie towarzyszące nerwowemu wyczekiwaniu. Przywiodło mu to na myśl dziecięcą zabawę w chowanego i związany z nią dreszczyk. Niemal przyjemny.

Niezależnie od owego uczucia, czy rzeczywiście mógł teraz wyjść nie wiedząc, co przytrafiło się klientowi? Nie, musiał pójść w głąb korytarza.

Pierwsze drzwi były uchylone. Pchnął je. Zastawiony książkami pokój, który za nim znalazł, był jednocześnie sypialnią i gabinetem. Przez pozbawione zasłon okno wdierały się światła ulicy i padały na zawalone szpargałami biurko. Nie było tu ani Reynoldsa, ani tamtego, który hałasował. Ale pierwszy ruch został wykonany i Gavin dużo pewniej penetrował dalszą część korytarza. Następne drzwi -- do kuchni -- również były otwarte. Wewnątrz nie paliło się żadne światło. Gavinowi zaczęły się pocić ręce. Przypomniał sobie, jak Reynolds ściągał rękawiczki, które przylepiały mu się do skóry. Czego się obawiał? Tu chodziło o coś więcej niż

podryw. W mieszkaniu przebywał ktoś trzeci, ktoś bardzo gwałtowny.

Dostrzegł na drzwiach rozmazany odcisk ręki. Zemdlilo go. To była krew.

Pchnął drzwi, ale nie chciały się szerzej otworzyć. Coś je blokowało. Przepisnął się z trudem. W kuchni cuchnęło nie opróżnionym pojemnikiem na śmieci albo zapomnianymi dawno warzywami. Przesunął dłonią po ścianie, szukając kontaktu. Jarzeniówka rozbłysła pulsując.

Zza drzwi wystawała znajoma para butów od Gucciego. Gavin pchnął klamkę. Reynolds wysunął się ze swej kryjówki. Wszystko wskazywało na to, że wczółgał się tam, by się przed kimś ukryć. Było w nim coś ze zbitego psa. Dotknięty przez Gavina, zadygotał.

--W porządku... to ja.

Chłopak odchylił zakrwawioną dłoń, którą Reynolds zakrył twarz. Od skroni do podbródka archeologa biegła krecha, druga -- równoległa, lecz nieco płytsza, przecinała środek czola i nos. Wyglądało to, jakby oberwał widłami o dwóch zębach. Reynolds otworzył oczy.

Skoncentrowanie wzroku na Gavinie zajęło mu sekundę.

--Idź już -- powiedział.

--Jesteś ranny.

--Na litość boską, idź już. Natychmiast. Zmieniłem zdanie. Rozumiesz?

--Zawiadomię policję.

--Spierdalaj stąd, dobra? -- wyrzucił z siebie Reynolds. -- Pieprzona ciota!

Gavin podniósł się, próbując odnaleźć w tym wszystkim jakiś sens. Ból wzbudził w facecie agresję. Należało zignorować obelgi i skombinować jakiś opatrunek. To było to: opatrzeć ranę, a potem dać gościowi spokój. Skoro nie chciał policji, jego sprawa. Zapewne wolał uniknąć wyjaśnienia, skąd wziął się w jego muzeum taki piękniś.

--Tylko poszukam bandaża. Gavin cofnął się do przedpokoju.

--Nie rób tego -- zaprotestował Reynolds, ale dzieliły ich już drzwi i chłopak tego nie usłyszał. Zresztą i tak nic by to nie zmieniło. Gavin uwielbiał nieposłuszeństwo. Każde "nie rób tego" traktował jak zaproszenie.

Reynolds oparł się o drzwi i próbował wstać, podciągając się na klamce. Kręciło mu się jednak w głowie; karuzela potworności wirowała coraz szybciej. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa i upadł niczym zgrzybiały dureń -bo. przecież był zgrzybiałym durniem. "Cholera. Cholera. Cholera."

Gavin usłyszał odgłos upadku, zanedo był jednak przejęty poszukiwaniem jakiejś broni, by zaraz biec do kuchni. Jeżeli intruz, który napadł na Reynoldsa, wciąż jeszcze krył się w mieszkaniu, należało mieć się na baczności. Przerzucił notatki, zalegające biurko w gabinecie i natrafił na nóż do papieru, leżący tuż obok stosu nie otwartej jeszcze korespondencji. Dziękując Bogu za to znalezisko, złapał go. Nóż był lekki, o cienkim ostrzu, ale właściwie użyty mógł nawet zabić.

Nieco spokojniejszy, wrócił do przedpokoju i poświęcił chwilę na opracowanie planu działania. Najpierw należało zlokalizować łazienkę -- może tam znajdzie się jakiś bandaż, wystarczyłby nawet czysty ręcznik. A może potem uda się wyciągnąć z faceta coś sensownego; może da się go przekonać, by wyjaśnił, co tu jest grane.

Za kuchnią korytarz skręcał w lewo. Gavin przeszedł parę kroków i znów zobaczył uchylone drzwi. Za tymi jednak paliło się światło, na kafelkach połyskiwała woda. Łazienka.

Zaciskając palce lewej ręki na prawej, trzymając nóż, Gavin zbliżył się do drzwi. Lęk

usztynił mięśnie. Ciekaw był, na ile to pomoże, jeżeli dojdzie do starcia. Czuł się niepewnie.

Zobaczył na framudze krew, ślad dłoni Reynoldsa. A więc to stało się tutaj -- Reynolds, pchnięty przez napastnika, złapał za framugę, by nie upaść. Jeżeli tamten nie opuścił jeszcze mieszkania, znajdował się w łazience. Żadne inne miejsce nie wchodziło w grę.

Analizując później całą sytuację -- o ile, rzecz jasna, doczeka jakiegoś później -- będzie musiał wyzwać siebie od durniów za to rwanie się do walki. Ale tak właśnie Gavin postąpił, mimo iż wiedział, jaki to idiotyzm. Drzwi otworzyły się, ukazując posadzkę zalaną wodą i krwią. Jeszcze chwila i pojawi się dziko wrzeszcząca postać o szponiastych łapach.

A jednak nie. Nic z tych rzeczy. Nie było go w łazience, a to znaczyło, że nie ma go już w mieszkaniu.

Gavin odetchnął, bardzo powoli. Nóż zaciążył mu w rękę, najzupełniej zbędny. Mimo iż jeszcze przed chwilą chłopak pocił się z przerażenia, teraz czuł coś w rodzaju rozczarowania. Życie raz jeszcze go wykiwało -- wykradło przez kuchenne drzwi wielką szansę, zamiast medalu wciskając mu w garść miotłę. Pozostało mu jedynie opatrzeć starego, posprzątać i spadać stąd.

Wnętrze łazienki skomponowane było z różnych odcieni koloru cytrynowego. Czerwień krwi gryzła się z jasną zielenią kafelków. Prysznic zakrywała przejrzysta zasłona w stylizowane ryby i wodorosty, częściowo teraz odciągnięta. Wyglądało to na scenę z kiepskiego dreszczowca, ze scenografią przygotowaną przez jakiegoś durnego pacykarza.

Gavin zostawił nóż w umywalce i otworzył szafę o lustrzanych drzwiach. Pełna była płynów do ust, odżywek i zapomnianych tubek pasty do zębów, ale jedyną przydatną rzeczą, którą tam znalazł, była paczka elastoplastu. Zamykając drzwiczki, dostrzegł w lustrze swoje odbicie, swoją zmiętą twarz. Puścił zimną wodę i nachylił się nad umywalką. Kilka chlapnięć powinno go otrzeźwić i przywrócić kolor jego policzkom.

Ledwie zanurzył twarz w stulonych dłoniach, z głębi łazienki doleciał do niego jakiś odgłos. Czując jak serce tłucze mu się o żebra, Gavin wyprostował się i zakręcił kurek. Strużki wody ściekające z podbródka i rzęs, bulgocąc sływały do umywalki.

Nóż leżał w umywalce, w zasięgu ręki. Ów odgłos -niezbyt natrętny plusk wody -- dobiegał z wanny.

Wszystko działo się teraz o wiele intensywniej. Organizm przyspieszył proces produkcji adrenaliny. Ostry zapach mydła cytrynowego; na zasłonie turkusowy anioł morski, przemykający się pośród niebiesko-fioletowych wodorostów; zimne krople wody na twarzy; fala gorąca, uderzająca mu do głowy -- szczegóły, dotąd pomijane przez jego umysł, docierały do niego ostrzej i pełniej.

Jego umysł ostrzegał go, że dzieje się to naprawdę, przypominał mu o grożącym w każdej chwili niebezpieczeństwie. "Czemuś nie zajrzał do wanny, dupku? Czemuś tam nie zajrzał?"

--Kto tu jest? -- zapytał, mając absurdalną nadzieję, że Reynolds hoduje wydrę, pluskającą się teraz w wodzie. Idiotyczna nadzieja. Na Boga, widział przecież ślady krwi.

Gdy tylko plusk ucichł, Gavin odwrócił się od lustra i odciągnął umocowaną na plastikowych żabkach zasłonę. Spiesząc się, by odkryć ową tajemnicę, zapomniał o nożu, leżącym wciąż w umywalce. Już za późno, turkusowe anioły zafalowały i nagle zobaczył wodę.

Wypełniała wannę prawie po brzegi -- jej powierzchnię dzielił od krawędzi wanny cal, może dwa. Pokrywał ją wirujący leniwie, brunatny kożuch. Cuchnęło tu czymś zwierzęcym,

jakby wilgotną psią sierścią. Nic jednak nie maciło powierzchni.

Gavin wyteżył wzrok, próbując zidentyfikować kształt, widoczny na dnie wanny, prześwitujący przez szczeliny w kozuchu. Nie mogąc wychwycić żadnego związku łączącego tonące w mule zarysy, nachylał się coraz bardziej, aż wreszcie dopatrzył się tam niezgrabnych palców i pojął, że ogląda skulonego w pozycji embrionalnej człowieka, leżącego nieruchomo w brudnej wodzie.

Przesunął dłonią po powierzchni wody, rozgarniając kozuch i usuwając rzucany przez niego cień. Teraz widział wyraźnie. W wannie była rzeźba: śpiący mężczyzna, którego głowa, zamiast przywierać ciasno do ciała, odchyłona w tył wpatrywała się poprzez mgielkę osadu w świat ponad powierzchnią. Namalowane oczy były otwarte -- dwie niekształtne plamy na grubo ciosanej twarzy. Usta zrobiono jednym cięciem. Uszy przypominały absurdalne uchwyty, przytwierdzone do łysej czaszki. Mężczyzna był nagi; szczegóły anatomiczne potraktowano równie umownie, jak rysy jego twarzy. Dzieło rzeźbiarza amatora. Farba miejscami odłaziła -- być może, pod wpływem wody -- odrywając się od torsu szarymi płatami. Wylaniało się spod niej ciemne drewno.

Nie było się czego obawiać. "Arcydzieło" w kąpieli, które wsadzono do wanny, by usunąć tandetną powłokę. Plusk, który Gavin słyszał, powodowały zapewne banieczki powietrza, uwalniające się w wyniku jakiejś reakcji chemicznej. Tak, wszystko dawało się wyjaśnić. Żadnego powodu do paniki.

--Zapomnij, że to widziałeś.

W drzwiach stał Reynolds. Już nie krwawił. Do twarzy przyciskał zmiętą, zakrwawioną chusteczkę. W odbitym od kafelków świetle jego skóra wyglądała jak po żółtaczce. Bładości mógł mu pozazdrościć niejeden trup.

--Dobrze się czujesz? Nie wyglądasz najlepiej.

--Wszystko będzie grało... tylko idź już, proszę.

--Co się stało?

--Pośliznąłem się. Mokra podłoga. Pośliznąłem się, to wszystko.

--Ale ten hałas...

Gavin znów wpatrywał się w wannę. Fascynowało go coś w tej rzeźbie. Może jej nagość i ten strip-tease, jaki wykonywała pod wodą. Strip-tease ostateczny, pożegnanie ze skórą.

--To tylko sąsiedzi.

--Co to jest? -- zapytał Gavin, wciąż wpatrzony w nie dopracowaną niczym u lalki twarz.

--To nie twoja sprawa.

Gavin przeniósł wzrok na Reynoldsa. Zobaczył gasnący, najbardziej krzywy z uśmiechów, będący odpowiedzią na jego pytanie.

--Chcesz pieniędzy?

--Nie.

--Niech cię cholera! Przyszedłeś tu dla forsy, nie? Pieniądze leżą koło łóżka. Weź sobie tyle, ile ci się należy za stracony czas. -- Reynolds przyjrzał się bacznie Gavinowi. -- I za milczenie.

Rzeźba w wannie przyciągała chłopaka. Gavin nie mógł oderwać oczu od jej topornych rysów. Jego twarz odbijała się w wodzie, doskonałością swych proporcji ośmieszając tamtego artystę.

--Nie myśl o tym -- powiedział Reynolds.

--Nic na to nie poradzę.

--To nie twoja sprawa.

--Ukradłeś ją... Zgadza się? Jest warta grubego szmalu, a ty ją ukradłeś.

Reynolds zastanowił się nad odpowiedzią. Wyglądało na to, że jest zbyt zmęczony, aby kłamać.

--Tak. Ukradłem ją... -- I teraz ktoś tu po nią przyszedł?

--Masz rację. Ukradłem ją... -- powtórzył bezmyślnie Reynolds. -- I teraz ktoś tu po nią przyszedł.

--To tylko chciałem wiedzieć.

--Nie wracaj tu, Gavinie Jakiśtam. I nic tu nie kombinuj, bo już mnie tu nie zastaniesz.

--Mówisz o szantażu? -- domyślił się Gavin. -- Nie jestem złodziejem.

W baczne spojrzenie Reynoldsa wkradła się nagle wzgarda.

--Złodziej czy nie, możesz dziękować losowi, jeśli cię na to stać. -- Archeolog odsunął się od drzwi, robiąc mu przejście. Gavin nawet nie drgnął.

--Za co dziękować? -- zapytał. Zaczynał się wkurzać. Może to absurd, ale czuł się splawiony. Jakby poczęstowali go półprawdą uznając, że nie jest wart pełnego wtajemniczenia.

Reynoldswi zabrakło sił na dalsze wyjaśnienia. Wyczerpany, oparł się o framugę.

--Idź -- powiedział.

Gavin skinął głową i zostawił go w drzwiach. Gdy wychodził do przedpokoju, od rzeźby oddzielił się zapewne kolejny płat farby. Chłopak słyszał plusk wody. Mógł sobie wyobrazić, jak zmarszczki na wodzie nadają drewnianemu ciału pozór życia.

--Dobranoc -- krzyknął za nim Reynolds.

Gavin nie odpowiedział, nie skorzystał też z oferowanych pieniędzy. Niech się Reynolds udławi swoimi nagrobkami i tajemnicami.

Zaszedł jeszcze do salonu po kurtkę. Ze ściany przyglądał mu się chorąży Flawinus. "To musiał być jakiś bohater" -- pomyślał Gavin. Tylko bohaterów upamiętniało się w ten sposób. Jemu nikt nie zapewni takiego wyrazu pamięci, żadne kamienne oblicze nie utrwali jego istnienia.

Zamknął za sobą drzwi wejściowe, uświadamiając sobie nagle, że ząb wciąż go boli. Ledwo przestąpił próg, znów rozległ się ów hałas, przypominający walenie pięścią w ścianę.

Albo, co gorsza, furiackie łomotanie przebudzonego nagle serca.

Następnego ranka nie sposób już było wytrzymać z tym zębem. Gavin udał się więc do dentysty licząc, że oczaruje dziewczynę z rejestracji na tyle, iż ta wpuści go poza kolejnością. Okazało się jednak, że krucho jest z jego urokiem, a w oczach nie płoną owe wspaniałe iskierki. Dziewczyna oznajmiła, że o ile nie jest to nagły wypadek, będzie musiał poczekać do piątku. Wyjaśnił, że jest nagły. Nie przyjęła tego do wiadomości. Zapowiadał się paskudny dzień: ból zęba, lesbijka u dentysty, lód na kałużach, na każdym rogu gderające baby, szkaradne dzieci, szkaradne niebo.

I właśnie tego dnia ktoś zaczął go śledzić.

Nie raz już za Gavinem uganił się adoratorzy, ale tamto to było co innego. Amanci całymi dniami łazili za nim po barach i ulicach, tak wiernie, że niemal doprowadzało go to do szału. Noc w noc oglądał te same twarze, nie mające nigdy dość odwagi, by postawić mu drinka albo

zapropnować zegarek, kokainę, tydzień w Tunezji czy coś w tym guście. Nie znosił tego typu uwielbienia, które kisło równie szybko jak mleko, a potem już tylko cuchnęło na milę. Jeden z najbardziej wytrwałych wielbicieli -- uszlachcony aktor, jak mu mówiono -- nigdy się nawet do niego nie zbliżył, włóczył się tylko wszędzie za nim, gapiąc się i gapiąc. Początkowo było to nawet mile, rychło jednak satysfakcję zastąpiła irytacja i w końcu Gavin przycisnął faceta w jakimś barze grożąc, że rozwali mu łeb. Tamtej nocy miał już dosyć, rzygać mu się chciało na widok tego ciągłego pożerania go wzrokiem i gdyby ten żaloszny bękart nie skumał, o co chodzi, zapewne nieźle by oberwał. Gavin nigdy już nie widział tego faceta. Przemknęło mu przez głowę, że pewnie poszedł do domu i się powiesił.

Ten, który go teraz śledził, nie czynił tego jednak tak natrętnie; pozostawiał po sobie niewiele więcej niż niejasne wrażenie. Właściwie to Gavin nie miał nawet dowodów, że ktoś za nim łązi. Ot, czuł na sobie czyjś wzrok, a kiedy się odwracał, ktoś znikał w cieniu. Bywały też noce, kiedy ktoś dotrzymywał mu kroku, dostrajając się do każdego stuknięcia obcasów, do najdrobniejszego nawet zaburzenia rytmu. Zakrawało to na paranoję, tylko że Gavin nie był paranoikiem.

"Gdybym nim był -- przekonywał siebie -- ktoś by mi o tym powiedział".

Zresztą, miały miejsce i inne zdarzenia. Pewnego dnia wścibska baba, która mieszkała piętro niżej, zapytała od niechcena, co to był za gość, taki zabawny, który przyszedł późną nocą i godzinami czekał na schodach, obserwując jego drzwi. Nie miał żadnego gościa i nie znalazł nikogo pasującego do podanego przez nią opisu.

Innego dnia na zatłoczonej ulicy wyrwał się z tłumu do bramy jakiegoś sklepu i właśnie zapalał papierosa, kiedy kątem oka dostrzegł czyjeś odbicie, zniekształcone przez pokrywający szybę brud. Zapalka poparzyła mu palce; rzucając ją, spojrział w dół, a kiedy podniósł wzrok, obserwator rozplynął się w tłumie.

Czuł się paskudnie, naprawdę paskudnie, ale najgorsze miało dopiero nadejść.

Gavin nigdy nie miał okazji rozmawiać z Preetoriusem, choć od czasu do czasu kłaniali się sobie na ulicy, a w gronie wspólnych znajomych uchodzili za kumpli. Preetorius był Murzynem, gdzieś między czterdziestką piątką a gwałtowną śmiercią, osławionym alfonsem, który głosił, że jest potomkiem Napoleona. Od dobrych kilku lat prowadził wianuszek kobiet i trzech lub czterech chłopaczków, nieźle na tym wychodząc. Kiedy Gavin zaczynał, usilnie go nakłaniano, by zwrócił się do Preetoriusa o opiekę, ale za wiele miał w sobie z wolnego strzelca, by korzystać z takiej pomocy. Od tamtej pory ani Preetorius, ani nikt z jego klanu nie spoglądał na niego życzliwym okiem. A jednak odkąd Gavin odcisnął trwałe ślad na scenie, nikt nie podważył jego prawa do niezależności. Krążyły nawet słuchy, że Preetorius niechętnie przyznawał, że podziwia zaborczość Gavina.

Może i podziwiał, ale dzień, w którym Preetorius zdecydował się przerwać milczenie i porozmawiać z nim, nawet piekło przyprawilby o drżenie.

--Białe chłopce.

Dochodziła jedenasta i Gavin szedł właśnie z baru koło St. Martin's Lane do klubu w Covent Garden. Na ulicy wciąż jeszcze panował gwar, pośród bywalców kin i teatrów znalazłby się niejednego potencjalny klient, ale chłopak nie miał dziś na to ochoty. W kieszeni ciążyła mu zarobiona poprzedniego dnia stowa, której nie zamierzał lokować na koncie. Wystarczająco dużo, by się zabawić.

Kiedy zobaczył, jak Preetorius i jego laciata obstawa zastępują mu drogę, pomyślał tylko o jednym: "Chcą moich pieniędzy".

--Białe chłopcze.

I wtedy przejrzał ową płaską twarz. Preetorius nie okradał przechodniów, nie musiał tego robić.

--Białe chłopcze, chciałbym zamienić z tobą słowo. -- Wyjął z kieszeni orzeszek, rozłupał go i wrzucił do swoich szerokich ust. -- Nie masz nic przeciwko temu?

--Czego chcesz?

--Jak powiedziałem, zamienić słowo. Nie proszę o wiele, prawda?

--OK. Co jest?

--Nie tutaj.,

Gavin przyjrzał się obstawie Preetoriusa. Goście nie mieli w sobie nic z goryli, to nie byłoby w stylu Murzyna, ale i nie należeli do kilkudziesięciofuntowych cherlaków. Wszystko to wyglądało mało ciekawie.

--Dzięki, ale nie -- odparł Gavin i najspokojniej, jak tylko potrafił, oddalił się od owego tercetu. Ruszyli za nim. Nic nie pomogły jego modły. Preetorius mówił dalej, do jego pleców.

--Słyszałem brzydkie rzeczy na twój temat -- oznajmił.

--Tak?

--Obawiam się, że tak. Mówiono mi, że napadłeś na jednego z moich chłopców.

Gavin odpowiedział dopiero po sześciu krokach.

--To nie ja. Znalazłeś nie tego faceta.

--Rozpoznał ciebie, śmieciu. Dość wrednie go potraktowałeś.

--Powiedziałem już, to nie ja.

--Psych z ciebie, wiesz o tym? Powinni cię wsadzić za pieprzone kratki.

Preetorius podniósł głos. Ludzie przechodzili na drugą stronę ulicy, żeby uniknąć wiszącej w powietrzu awantury-

Gavin, niewiele myśląc, skręcił w Long Acre i nagle

uświadomił sobie, że popełnił błąd. Tutaj przechodniów było znacznie mniej, a od bardziej zaludnionych okolic dzielił go szereg ulic Covent Garden. Należało skręcić w prawo, wtedy znalazłby się na Charing Cross Road. Tam czułby się bezpieczniej. Cholera, nie mógł przecież zawrócić, nie mógł pchać się w ich łapy. Musiał iść dalej -nie biec, nigdy nie biegnij, jeśli masz za plecami wściekłego psa -- w nadziei, że wszystko da się załatwić polubownie.

--Nieźle mnie kosztowałeś -- oznajmił Preetorius.

--Nie rozumiem...

--Wylączyłeś z obiegu pierwszorzędnego chłopaczka. Minie dużo czasu, nim zdołam znowu puścić go na rynek. Sra ze strachu, rozumiesz?

--Posłuchaj... nic nikomu nie zrobiłem.

--Po co pieprzysz takie głupoty, śmieciu? Czym zasłużyłem na to, że mnie tak traktujesz?

Preetorius nieco przyspieszył. Zrównał się z Gavinem, wyprzedzając o kilka kroków współników.

--Słuchaj... -- wyszeptał. -- Takie dzieciaki wyglądają kusząco, nie? W porządku, mogę to zrozumieć. Jeżeli ktoś poda mi na tacy chłopięcą dupcię, nie będę kręcił nosem. Ale ty go skrzywdziłeś, a kiedy ktoś krzywdzi któregoś z moich chłopców, ja również krwawię.

--Czy gdybym zrobił to, o co mnie posądzasz, chodziłbym teraz po mieście?

--Wiesz, może masz nierówno pod sufitem? Nie gadamy tu o paru siniakach, człowieku. Mówię o tym, że pławiłeś się we krwi tego dzieciaka. Powiesiłeś go i pochlastałeś, a potem porzuciłeś na moich schodach, ubranego jedynie w pieprzone skarpetki. Już łapiesz, biały chłopcze? Złapałeś?

W głosie Preetoriusa czuło się autentyczną wściekłość. Gavin nie bardzo wiedział, co począć. Na razie szedł dalej, nie odzywając się słowem.

--Wiesz, że byłeś idolem tego dzieciaka? Uważał, że jesteś chodzącym samouczkiem dla początkujących kurwisonów. Jak ci się to podoba?

--Nie bardzo.

--A powinieneś być dumny jak diabli, człowieku, gdyż na więcej już sobie nie zasłużysz.

--Dzięki.

--Zrobiłeś karierę, chłopie. Szkoda, że to już koniec.

Gavin miał wrażenie, że połknął kostkę lodu. Do tej chwili liczył na to, że Preetorius zadowolony ostrzeżeniem. Najwidoczniej się przeliczył. Przyszli go załatwić.

Jezu, okaleczą go i to za coś, czego nie zrobił, za coś, o czym nawet nie miał pojęcia.

--Zamierzamy cię usunąć z ulicy, biały chłopcze. Na stałe.

--Nic nie zrobiłem.

--Dzieciak cię poznał. Poznał cię, choć miałeś na głowie pończochę. Ten sam głos, to samo ubranie. Przyjmij do wiadomości, że zostałeś rozpoznany. A teraz poniesiesz konsekwencje.

--Pierdolę.

Gavin rzucił się do ucieczki. Jako osiemnastolatek biegał w kadrze hrabstwa, a teraz znów musiał polegać na swojej szybkości. Usłyszał śmiech Preetoriusa i tupot dwóch par butów, uderzających o chodnik. Zbliżały się, a Gavin czuł, że wypadł z formy. Po kilkudziesięciu jardach rozboleły go uda, poza tym zbyt obcisłe dżinsy ograniczały swobodę ruchu. Przegrał ten wyścig już na starcie.

--Szef nie pozwolił ci odejść -- zbeształ go biały oprych, wpijając palce w jego biceps.

--Niezła próba -- uśmiechnął się Preetorius, podchodząc do swych ogarów i zdyszanego zająca. Niemal niezauważalnym ruchem głowy dał znak drugiemu z obstawy.

--Christian?

Christian nie odmówił, wbił pięść w nerki Gavina. Uderzenie wygięło chłopaka, wyzwoliło stek przekleństw.

--Tam -- wskazał Christian.

--Do dzieła -- rzucił Preetorius i już wciągali Gavina w jakiś zaułek. Rozdarli mu kurtkę i koszulę, drogie buty straciły połysk. Kiedy stawiali go na nogi, jęknął. W zaułku było ciemno i przed twarzą Gavina zaśnity ślepiec Preetoriusa.

--Oto jesteśmy -- powiedział Murzyn. -- Co za frajda.

--Ja... nawet go nie tknąłem -- wysapał Gavin.

Bezimienny oprych, nie-Christian, położył mięsistą dłoń na piersi chłopaka i pchnął go na drugi koniec zaułka. Obcas zarył się w błocie. Gavin próbował jeszcze złapać równowagę, ale nogi miał jak z waty. To nie był dobry moment na stawianie się. Gavin gotów był żebrać, paść na kolana i lizać im buty, jeśli zajdzie taka konieczność; wszystko, co zechcą, byle ich powstrzymać. Wszystko, byle tylko go nie oszpecili.

Oszpekanie było ulubioną rozrywką Preetoriusa, taka przynajmniej szła fama. Miał do tego wyjątkowy dryg, potrafił trzema pociągnięciami brzytwy zniekształcić nieodwracalnie oblicze ofiary, zmuszając ją jeszcze, by schowała na pamiątkę swoje wargi.

Gavin plasnął na mokrą ziemię. Jego dłoń trafiła na coś miękkiego i gnijącego.

Nie-Christian uśmiechnął się do Preetoriusa.

--Zdaje mi się -- stwierdził -- że ten facet znalazł w końcu swoje miejsce w życiu.

--Nawet go nie tknąłem -- skamlał Gavin. Mógł jedynie zaprzeczać i zaprzeczać, ale sprawa i tak była przegrana.

--Zawiniłeś jak diabli -- rzekł nie-Christian.

--Proszę.

--Naprawdę chciałbym załatwić to raz dwa -- powiedział Preetorius, spoglądając na zegarek. -- Czekają na mnie terminowe sprawy i ludzie, których trzeba zabawić.

Gavin podniósł wzrok na swoich katów. Gdyby tylko zdołał przedrzeć się przez tę żywą zaporę, od jasno, oświetlonej ulicy dzieliłoby go tylko dwadzieścia pięć jardów.

--Pozwól, że ci przefasonuję twarz. Takie wykroczenie przeciwko modzie.

Preetorius trzymał w ręku nóż. Nie-Christian wyciągnął z kieszeni sznur z kulą. Kulę wpycha się w usta, sznurem oplata głowę -- i już nie krzykniesz, choćby od tego zależało twoje życie. Taki patent.

Teraz!

Gavin wyrwał się z błota niczym sprinter zaczynający bieg, ale oblepione obcasy znów go zawiodły. Zamiast dać susa w kierunku upragnionej wolności, poleciał na bok i wpadł na Christiana, przewracając go.

Chwilę gramolili się bez tchu, a potem wkroczył Preetorius. Brudząc sobie białym śmieciem rękę, postawił go na nogi.

--Nie ma wyjścia, członie -- oznajmił, przyciskając czubek noża do podbródka Gavina. Tam najłatwiej było dotrzeć do kości, więc nie zastanawiając się dłużej, zaczął jechać wzdłuż zuchwy, zbyt napalony, by troszczyć się o to, czy ktoś zatkał mu usta. Gavin poczuł, że krew ścieka po szyi i zawył. Zaraz jednak umilkł; czyjeś grube paluchy znalazły i przytrzymały jego język.

Zatętniło mu w skroniach. Miał wrażenie, że spada w niebyt przez niezliczoną ilość otwierających się kolejno okien.

"Lepiej umrzeć. Lepiej umrzeć. Chcą mi zniszczyć twarz, lepiej więc umrzeć."

I znów wrzeszczał, choć nawet nie czuł, że ów krzyk opuszcza krtań. Mimo iż szumiało mu w uszach, spróbował skupić się na tym wrzasku i pojął, że to nie on krzyczy, ale Preetorius.

Język był znowu wolny, a Gavina nagle zemdlilo. Wymiotując odtoczył się od szamoczących się sylwetek. Wtrącił się tu ktoś nieznany, ktoś -- może nawet kilka osób -- kto zapobiegł dalszym torturom. Na ziemi leżało już jakieś ciało, zwrócone twarzą ku górze. Nie-Christian. Oczy miał jeszcze otwarte. Boże, ktoś zabił tego oprycha z powodu Gavina. Z jego powodu.

Delikatnie dotknął dłonią twarzy, badając obrażenia. Nóż pozostawił głęboki ślad, biegnący wzdłuż dolnej szczęki, od brody niemal do samego ucha. Kiepsko to wyglądało, ale Preetorius, jak zawsze metodyczny, największe atrakcje zostawił na koniec i nie zdążył jeszcze rozciąć nozdrzy ani obciąć warg. Taka blizna to nic pięknego, ale mogło być o wiele

gorzej.

Od walczących oddzielił się ktoś jeszcze. Preetorius. Na twarzy Murzyna widać było lzy, oczy przypominały piłeczki golfowe.

Christian uciekał chwiejnie w kierunku ulicy. Miał połamane ręce.

Preetorius nie pobiegł za nim. Dlaczego?

Murzyn otworzył usta. Na dolnej wardze zawisa wydłużająca się nitka perłowej śliny.

--Pomóż mi -- poprosił, jakby darowanie mu życia leżało w mocy Gavina. Uniósł w górę wielką dłoń, błagając o litość, ale w tym momencie pojawiła się jakaś inna ręka, która przesunawszy się nad ramieniem czarnego, wbiła mu w usta nóż. Krztusząc się próbował przełknąć to szerokie ostrze, ale napastnik szarpnął nóż do góry i w tył, dociskając kark Preetoriusa tak, by ostrze napotkało jak największy opór. Zdumiona twarz pękła, a Gavina oblała fontanna krwi z ciała Murzyna.

Broń glucho szczęknęła na bruku. Gavin zerknął na nią. Krótki miecz. Raz jeszcze spojrzął na trupa.

Preetorius wciąż stał przed nim, podtrzymywany przez nieznanego. Brocząca krwią głowa opadła na piersi. Zabójca cisnął ciało alfonsa tuż pod stopy Gavina. Nic już ich nie dzieliło i chłopak stanął twarzą w twarz ze swym wybawcą.

W ułamku sekundy rozpoznał te toporne rysy: zdziwione, martwe oczy, szczelinę ust, uszy jak uchwyty. Rzeźba Reynoldsa. Wyszczерzyła zęby, zbyt małe jak na taką głowę. Mleczaiki, które zgubi, nim dorośnie. A jednak w rysach posągu coś się zmieniło -- Gavin widział to wyraźnie nawet w mroku. Łuki brwiowe spęczniały, twarz nabrała proporcji. Wciąż jeszcze był malowaną kukłą, ale kukłą, która dążyła do czegoś więcej.

Kiedy posąg skłonił się sztywno, słychać było trzask stawów. Absurdalność, jawna absurdalność tej sytuacji sięgnęła szczytów. "Do cholery, ta rzeźba kłaniała się, uśmiechała, mordowała, a przecież nie mogła być żywą istotą. Nie pora jednak na sceptycyzm" -- powiedział sobie Gavin. Później znajdzie tysiąc powodów, by zakwestionować istnienie tego, co teraz oglądał. Zrzuci winę na niedokrwienie mózgu, oszołomienie, paniczny lęk. Tak czy inaczej upora się z tą fantastyczną wizją, tak jakby nigdy nie miał z nią do czynienia.

O ile przeżyje następne kilka minut.

Wizja wyciągnęła rękę i dotknęła szczęki Gavina, delikatnie przesuwając grubo ciosane palce wzdłuż rany zadanej przez Preetoriusa. Pierścień, jaki nosiła na małym palcu, błysnął w świetle lampy; Gavin miał identyczny.

--Będziemy mieli bliznę -- powiedział posąg. Gavin znał ten głos.

--O rany, szkoda -- mówił dalej tamten. Mówił głosem Gavina. -- Ale i tak mogło być gorzej. Jego głosem. Boże, jego, jego, jego! Gavin potrząsnął głową.

--Tak -- potwierdził posąg zauważywszy, że chłopak już pojął.

--Nie ja.

--Tak.

--Dlaczego?

Przeniósł dłoń ze szczęki Gavina na swoją własną, zaznaczył miejsce, w którym powinna być rana. Nie dokończył jeszcze tego gestu, a już powłoka pękła i na twarzy pojawiła się blizna. Nie krwawił, nie miał krwi.

Czyż jednak nie była to ta sama blizna? A te uwypuklające się łuki brwiowe i bystre oczy,

czyż one nie pochodziły od Gavina? A te wspaniałe usta?

--Chłopiec? -- zapytał Gavin, kojarząc fakty.

--Aha, chłopiec... -- Rzeźba posłała w niebo niedokończone spojrzenie. -- Prawdziwy skarb.

A jak wrzeszczał.

--Kąpałeś się w jego krwi?

--Potrzebuję krwi. -- Posąg klęknął przy ciele Preetoriusa i zanurzył palce w rozwalonej głowie. -- Ta jest stara, ale też się przyda. Chłopca była lepsza.

Pomazał swój policzek krwią Preetoriusa, zupełnie jakby nanosił na twarz barwy wojenne. Gavin nie krył niesmaku.

--Czy to aż taka strata? -- zapytał posąg.

Odpowiedź mogła być tylko jedna: "nie". Śmierć Preetoriusa nie była żadną stratą; podobnie fakt, że jakiś zaćpany, młodociany spec od ciągnięcia druta poświęcił nieco krwi i snu, żeby ten malowany dziwoląg mógł podsyć swój rozwój. Świat codziennie oglądał dużo okropniejsze sceny, prawdziwe koszmary. Ale mimo wszystko...

--Nie możesz mi tego darować -- odpowiedział mu posąg. -- Takie zachowanie jest ci obce, nieprawdaż? Wkrótce i ja będę tak to widział. Odrzucę dręczenie dzieci. Będę patrzył na świat twoimi oczyma, dzielił z tobą człowieczeństwo... -- Wstał. Jego ruchom wciąż jeszcze brakowało płynności. -- Ale na razie muszę robić to, co ja uważam za właściwe.

Skóra na jego policzku, tam gdzie rozmazał krew Preetoriusa, robiła się woskowata, coraz mniej przypominała malowane drewno.

--Jestem tworem bez imienia -- oznajmił. -- Jestem raną w boku świata. Ale jestem też uosobieniem nieznanego; tym nieznanym, który, zgodnie z twymi dziecięcymi modlitwami, miał przyjść i cię zabrać, nazwać ślicznym i unieść cię nagiego z ulicy w samo okno Nieba. Czyż nim nie jestem? Czyż nim nie jestem?

Jak wpadł na tę szczególną ideę? Skąd wiedział o chęci ucieczki z dotkniętej zarazą ulicy do domu zwanego Niebem?

--Ponieważ jestem tobą -- odpowiedziała na nie zadane pytanie rzeźba. -- Tobą, podatnym na udoskonalenia. Gavin wskazał ręką trupy.

--Nie możesz być mną. Ja nigdy bym tego nie zrobił. Może potępienie przybysza za jego interwencję nie było w najlepszym tonie, ale fakt pozostawał faktem.

--Nie zrobiłbyś? -- zdziwił się tamten. -- A ja sądzę, że zrobiłbyś to.

W uchu Gavina raz jeszcze zabrzmiały słowa Preetoriusa: "Takie wykroczenie przeciwko modzie". Znów poczuł dotyk zimnej stali, bezsilność i mdłości. Jasne, że zrobiłby to. Nawet tuzin razy i jeszcze nazwałby to wymiarem sprawiedliwości.

Posąg nie czekał na jego wyznanie, wszystko było jasne.

--Jeszcze się zobaczymy -- oznajmiła malowana twarz. -- A na razie, na twoim miejscu zabrałbym się stąd. -- Uśmiechnął się.

Gavin spojrział mu w oczy, a potem ruszył w kierunku ulicy.

--Nie tędy. Tam.

Posąg wskazywał drzwi w murze, niemal zasłonięte przez worki gnijących odpadków. To dlatego zjawił się tu tak nagle i cicho.

--Unikaj głównych ulic i trzymaj się w cieniu. Kiedy będę gotów, odnajdę cię.

Gavin nie potrzebował ponownej zachęty. Żadne wyjaśnienia nie mogły odwrócić tego, co

stało się tej nocy. Po cóż było pytać?

Wymknął się przez drzwi, nie oglądając się za siebie. Wystarczyło to, co słyszał. Głuchy plusk i bluźnierczy jęk rozkoszy -- dość, by mógł sobie wyobrazić ową kąpiel.

Następny ranek nie przyniósł rozwiązania nocnych zagadek. Ten dziwny sen na jawie nie odsłonił swojego drugiego dna. Pozostała po nim jedynie seria nagich faktów.

Pierwszy fakt, widoczny w lustrze -- szrama na szczęce, przysparzająca więcej bólu niż zepsuty ząb.

W gazetach -- informacja o tym, że w rejonie Covent Garden odkryto zmasakrowane ciała dwóch kryminali. Stów, ofiar -- jak to określiła policja -- "wojny gangów".

W mózgu Gavina -- niemal pewność, że prędzej czy później dotrą i do niego. Zapewne ktoś widział go z Preetoriusem i wypaple to policji. Może nawet Christian, tak na niego zawzięty. Zjawią się tu, na progu, z kajdankami i nakazem. I jak wówczas odpowie na ich zarzuty? Że morderca nie jest właściwie człowiekiem, ale posągiem, stopniowo przeobrażającym się w lustrzane odbicie

Gavina? Problem tkwił nie w tym, czy Gavina aresztują, ale gdzie go wsadzą: do więzienia czy do domu wariatów.

Rozdarty między rozpaczą i zdumieniem, poszedł do pogotowia, gdzie cierpliwie przeczekał w towarzystwie innych potrzebujących pomocy ofiar trzy i pół godziny.

Lekarz nie okazał mu współczucia. "Zakładanie szwów nie ma najmniejszego sensu -- powiedział. -- Najgorsze już się stało. Ranę trzeba oczyścić i opatrzyć, ale blizna pozostanie." "Dlaczego nie przyszedł pan w nocy, zaraz po tym zdarzeniu?" -- zapytała pielęgniarka. Wzruszył ramionami; a co to ich obchodzi? Udawana troska nie poprawiła mu samopoczucia ani na jotę.

Ledwie skręcił na swoją ulicę, zobaczył samochody stojące pod domem, niebieskie światła i krąg rozplotkowanych sąsiadów. Przybył zbyt późno. Zawładnęli już jego ciuchami, jego szczotkami, perfumami i listami. Pewnie już przetrząsali je jak małpy szukające wszy. Wiedział, jak bardzo skrupulatni potrafią być ci dranie, jeśli to im pasuje. Potrafili przecież kompletnie wymazać człowieka, przekształcić go w białą plamę.

Nie miał tu nic do roboty. Życie Gavina należało już do nich; mogli drwić z niego i się ślinić. Czekala ich jeszcze chwila emocji, kiedy zobaczą jego fotografie i zaczną się zastanawiać, czy którejs wesołej nocy sami nie kupowali jego wdzięków.

"Zabierajcie wszystko. Proszę bardzo." Od tej chwili znajdował się poza prawem, gdyż prawa chronią posiadaczy, a on nic już nie miał. Oskubali go do cna albo prawie do cna. Co najważniejsze, pozbawili go nawet lęku.

Odwrócił się plecami do owej ulicy i domu, w którym spędził cztery lata. Czuł jakby ulgę; był szczęśliwy, że zabrano mu całe to rozlazłe życie. Przynajmniej tyle zyskał.

W dwie godziny i wiele mil później sprawdził zawartość swoich kieszeni. Miał przy sobie kartę kredytową, niecałe sto funtów gotówką, pliczek fotografii -- na niektórych byli jego rodzice i siostry, na większości on sam -- zegarek, pierścionek i złoty łańcuszek. Korzystanie z karty kredytowej mogło być niebezpieczne -- z pewnością zdążyli już powiadomić banki. Pozostawało jedynie zastawić pierścionek i łańcuszek i ruszyć stopem na północ. Miał w Aberdeen przyjaciół, gotowych ukryć go na jakiś czas.

Ale najpierw -- Reynolds.

Odnalezienie domu, w którym mieszkał Ken Reynolds, zajęło Gavi nowi godzinę. Od ostatniego posiłku minęło już sporo czasu i kiedy chłopak stanął przed Livingstone Mansions, żołądek przypominał o swoich prawach. Gavin zwalczył głód i wśliznął się do budynku. Za dnia wewnątrz robiło mniejsze wrażenie. Chodnik na schodach był wytarty, a farba na poręczy brudna od częstego dotykania. Nie tracąc czasu, wspiał się na trzecie piętro i zastukał do drzwi Reynolds'a.

Nikt nie odpowiedział, z wnętrza nie dobiegł nawet najslabszy szelest. Oczywiście, Reynolds powiedział: "Nie wracaj, już mnie tu nie zastaniesz". Czyżby wiedział, co przyniesie wypuszczenie tego potwora?

Gavin znów zabębnił w drzwi. Tym razem był pewien, że usłyszał czyjś oddech.

--Reynolds... -- powiedział, przysuwając usta do drzwi. -- Słyszę cię.

I znów nikt nie odpowiedział, ale Gavin wiedział już, że mieszkanie nie stoi puste. Uderzył dłonią w drzwi.

--No już, otwieraj. Otwieraj, draniu. Chwila ciszy, a potem stłumiony głos:

--Odejdź.

--Chcę z tobą porozmawiać.

--Odejdź, powtarzam ci, odejdź. Nie mam ci nic do powiedzenia.

--Na litość boską, jesteś mi winien wyjaśnienie. Jeśli nie otworzysz tych pieprzonych drzwi, ściągnę kogoś, kto to załatwi.

Pusta groźba, a jednak trafiła do Reynolds'a.

--Nie! Zaczekaj. Czeka.

Klucz szczęknął w zamku i drzwi uchyliły się o kilka marnych cali. Z panującego w mieszkaniu mroku zerknęła na Gavina jakaś twarz. Tak, to był Reynolds, ale nie ogolony i zmarnowany. Nawet przez szczelinę w drzwiach wionęło od niego nie mytym ciałem. Miał na sobie poplamioną koszulę i portki, podtrzymywane przez zawiązany na węzeł pasek.

--Nie potrafię ci pomóc. Odejdź.

--Zaraz wszystko wyjaśnię... -- Gavin naparł na drzwi. Reynolds był zbyt słaby, by temu zapobiec. Zatoczył się w głąb ciemnego przedpokoju.

--Co tu się dzieje, do cholery?

Mieszkanie cuchnęło zepsutym zarciem. Reynolds pozwolił, by Gavin zatrzasnął za sobą drzwi, po czym wyciągnął z kieszeni poplamionych spodni nóż.

--Nie nabierzesz mnie -- zaśmiał się. -- Wiem, co zrobiłeś. Pięknie. Bardzo sprytnie.

--Chodzi ci o te zabójstwa? To nie ja. Reynolds dźgnął nożem powietrze.

--Ile krwawych kąpielii zaliczyłeś? -- zapytał ze łzami w oczach. -- Sześć? Dziesięć?

--Nikogo nie zabiłem.

--...Potworze.

Reynolds miał w ręku ten sam nóż do papieru, który Gavin zostawił w umywalce. Archeolog podszedł bliżej. Niewątpliwie zamierzał go użyć. Gavin cofnął się, a jego lęk dodał otuchy Reynoldsowi.

--Już zapomniałeś, jak to jest, kiedy się ma ciało i krew?

"Facet dostał świra."

--Słuchaj... Przyszedłem porozmawiać.

--Przyszedłeś mnie zabić. Mógłbym cię zdemaskować... a więc przyszedłeś mnie zabić.

--Czy wiesz, kim jestem? -- spytał Gavin.

--Nie jesteś tamtym pedziem. -- Reynolds uśmiechnął się szyderczo. -- Wyglądasz jak on, ale nim nie jesteś.

--O rany... jestem Gavin... Gavin... -- Nie przychodziło mu do głowy nic, co mogłoby uchronić go przed nożem. -- Jestem Gavin, pamiętasz? -- Na więcej nie potrafił się zdobyć.

Reynolds zawahał się. Przyjrzał mu się uważnie.

--Pocisz się -- stwierdził. Z jego oczu zniknął groźny błysk.

Ga vi novi tak zaschło w ustach, że mógł jedynie skinać głową.

--Widzę. Pocisz się -- powtórzył Reynolds. Opuścił ostrze. -- Tamten się nie poci -- powiedział. -- Nigdy się nie pocił i już się nie nauczy, tępak. Jesteś tym chłopaczkiem... nie tamtym potworem. Chłopaczkiem. -- Mięśnie jego twarzy zwiotczały, skóra przypominała pusty worek.

--Potrzebuję pomocy -- wychrypiał Gavin. -- Musisz mi powiedzieć, co tu jest grane.

--Szukasz wyjaśnień? -- odparł Reynolds. -- Bierz, co chcesz.

Poprowadził Gavina do salonu. Story były zaciągnięte, ale nawet w tym mroku chłopak dostrzegł, że wszystkie starożytności zostały zniszczone. Skorupy rozbito na drobne kawałki, a owe kawałki roz tarto na proch. Ktoś potłukł płaskorzeźby; po nagrobku chorążego Flawinusa pozostała zaledwie kupka gruzu.

--Kto to zrobił?

--Ja -- odpowiedział Reynolds.

--Dlaczego?

Archeolog przedarł się przez gruzy i wyjrzał przez szparę w zasłonach.

--On wróci, zobaczysz -- powiedział, ignorując pytanie.

--Ale po co było to niszczyć? -- upierał się Gavin.

--To choroba -- wyjaśnił Reynolds. -- Potrzeba życia przeszłością.

Odwrócił się od okna.

--Większość tych rzeczy ukradłem -- dodał. -- To trwało całe lata. Nadużyłem cudzego zaufania. -- Kopnął jakiś kawałek gruzu, wzbijając chmurę kurzu. -- Flawinus żył i skonał. To wszystko, co należy wiedzieć. Fakt, że się poznało jego imię, nie oznacza nic albo prawie nic. To go nie ożywi. Jest martwy i szczęśliwy.

--A posąg w wannie?

Reynoldswi na chwilę zabrakło tchu. Przed oczami znowu stanął mu drewniany posąg.

--Myślałeś, że ja to on, prawda? Tam pod drzwiami?

--Tak, myślałem, że już dopiął swego.

--On kopiuje? Reynolds skinał głową.

--O ile zrozumiałem jego naturę, masz rację -- odpowiedział. -- Kopiuje.

--Gdzie go znalazłeś?

--Nie opodal Carlisle. Prowadziłem tam wykopaliska. Znaleźliśmy go w łaźni; posąg, przedstawiający zwiniętego w kłębek człowieka, a tuż obok szczątki dorosłego mężczyzny. Prawdziwa zagadka. Rzeźba i nieboszczyk, ramię w ramię. Nie pytaj, co mnie zafascynowało. Nie wiem. Może on działa swą wolą nie tylko na ciała, ale i na umysły? Dość, że go wykradłem i przywiozłem tutaj.

--Karmileś go? Reynolds zeszywniał.

--Lepiej nie pytaj.

--Pytam. Karmileś go?

--Tak.

--Chciałeś mojej krwi, tak? Po to mnie tu sprowadziłeś? Żeby mnie zabić i urządzić mu kąpiel w...

Gavin przypomniał sobie, jak potwór tłukł pięściami w wannę niczym dziecko w swoje łóżeczko, niecierpliwie domagając się pokarmu. Otarł się o śmierć; był barankiem przeznaczonym na rzeź.

--Dlaczego nie zaatakował mnie, tak jak ciebie? Dlaczego nie wyskoczył z wanny, by mnie zabić? Reynolds otarł usta wierzchem dłoni.

--Zobaczył twoją twarz.

"Jasne, zobaczył moją twarz i zapragnął jej dla siebie, a skoro nie mógł skraść twarzy trupowi, darował mi życie." W zdemaskowanej nagle logice działań potwora było coś fascynującego. Gavin czuł przedsmak tego, co tak pasjonowało Reynoldsa -- uchylił rąbka tajemnicy.

--A tamten człowiek w łaźni? Tamten, którego szczątki odkryłeś?

--Tak...

--Uniemógłwił przeprowadzenie takiego samego procesu, zgadza się?

--Zapewne dlatego nigdy nie usunięto jego ciała, a tylko zapieczętowano łaźnię. Nikt nie rozumiał, że zginął, walcząc z potworem okradającym go z życia.

Obraz był już niemal kompletny; należało tylko dać upust wzburzeniu. Ten facet o mało go nie zamordował, żeby nakarmić posąg. Gavin nie mógł już dłużej tłumić wściekłości. Złapał Reynoldsa za koszulę i skórę i potrząsał nim. Co tak zagrzechotało: kości czy zęby?

--Już prawie ma moją twarz. -- Utkwił wzrok w przerażonych oczach Reynoldsa. -- Co się stanie, kiedy postawi na swoim?

--Nie wiem.

--Podaj najgorszy wariant, powiedz mi!

--To wszystko przypuszczenia -- odparł Reynolds.

--No to przypuszczaj!

--Sądzę, że kiedy stworzy doskonałą imitację strony fizycznej, sięgnie po to jedno, czego nie potrafi skopiować: twoją duszę.

Reynolds przestał się obawiać Gavina. W jego głosie pojawiła się nuta ciepła, jakby rozmawiał ze skazańcem. Nawet się uśmiechnął.

--Skurwiel!

Gavin przyciągnął go do siebie. Starannie mierząc; plunął mu w twarz.

--Wszystko ci jedno! Gówno cię to obchodzi, tak?

Dał Reynoldsowi w twarz, raz i drugi. I jeszcze, i jeszcze. Tłukł, aż zabrakło mu tchu.

Stary człowiek przyjmował ciosy w absolutnym milczeniu. Po każdym uderzeniu odwracał głowę w oczekiwaniu na następne, ocierając coraz bardziej opuchnięte oczy z napływającej wciąż krwi.

Wreszcie lawina ciosów ustala.

Reynolds klęcząc pluł krwią, przemieszana z kawałkami zębów.

--Zasłużyłem na to -- wymamrotał.

--Jak mam go powstrzymać? -- zapytał Gavin. Reynolds potrząsnął głową.

--Niemożliwe -- wyszeptał, łapiąc Gavina za rękę. -- Proszę.

Dotknął pięści chłopaka, otworzył ją i ucałował wewnątrz dłoni.

Gavin zostawił Reynoldsa pośród ruin Rzymu i zszedł na ulicę. Rozmowa z nim nic mu nie dała. Pozostawało mu jedynie znaleźć ową bestię, która zaważnęła jego twarzą i przechytryć ją. Jeśli mu się nie uda, utraci to, co miał najcenniejszego: swoją cudowną twarz. Gadką o duszy nie zaprzętał sobie głowy. Chciał swojej twarzy.

Zdeterminowany, podążał przez Kensington. Po tych wszystkich latach, kiedy to rządziły nim okoliczności, postanowił wziąć inicjatywę w swoje ręce.

Reynolds odchylił zasłonę, by zobaczyć wieczorną panoramę miasta. To ostatnia noc, nie będzie więcej spacerów ulicami miasta. Pozwolił zasłonie opaść i podniósł krótki miecz. Ostrze przytknął do piersi.

--Do dzieła -- powiedział do siebie i miecza, po czym pchnął rękojeść. Ostrze weszło w ciało zaledwie na pół cala, a już zakręciło mu się w głowie. Wiedział, że straci przytomność, zanim doprowadzi dzieło choćby do połowy. Podeszedł więc do ściany, oparł o nią rękojeść i pozwolił, by o reszcie zadecydował ciężar jego ciała. To załatwiło sprawę. Zastanawiał się, czy miecz przeszył go na wylot, ale potężny upływ krwi zdawał się potwierdzać, iż śmierć była blisko. Reynolds próbował jeszcze przekręcić ostrze, ale sfuszerował i przewrócił się na bok.

Agonia trwała dobre dziesięć minut, ale przez cały ten czas Reynolds oprócz bólu czuł także satysfakcję. Pomimo wszelkich błędów, jakie popełnił w ciągu pięćdziesięciu siedmiu lat swojego żywota -- a było ich wiele -- odchodził w sposób, jakiego nie powstydziliby się jego ukochany Flawinus.

Potem zaczęło padać, a szmer spadających na dach kropli utwierdził go w przekonaniu, że to Bóg grzebie jego dom, kładąc na nim wieczną pieczęć. Wraz z ostatnią chwilą nadeszło wspaniałe złudzenie: zdawało mu się, że przez ścianę przebiła się jakaś ręka, niosąca światło, odprowadzana chórem głosów. To duchy przyszłości przybyły, by utrwalić jego żywot. Powitał je uśmiechem i chciał zapytać, który obecnie mają rok, lecz uświadomił sobie, że już nie żyje.

Potwór unikał Gavina daleko zręczniejsz niż Gavin jego. Minęły już trzy dni, a szukający go chłopak nadal nie trafił na jego ślad.

A jednak tamten był blisko -- choć nigdy nie za blisko -- i temu nie sposób było zaprzeczyć. Ktoś w barze rzucił: "Zeszłej nocy widziałem ciebie na Edgware Road", choć noga Gavina nawet nie postąpiła w tamtej okolicy; ktoś inny pytał: "Jak ci poszło z tym Arabem?" albo "Co, nie zauważasz już przyjaciół?"

I na Boga, zaczynało mu się to podobać. Nieszczęście otworzyło drogę rozkoszy, jakiej nie zaznał od dzieciennych lat: poczuciu wolności.

Co z tego, że ktoś inny uprawiał jego ogródek, wymykając się zarówno prawu, jak i cwaniakom z ulicy? Co z tego, że ten wyniosły sobowtór kaleczył jego przyjaciół. Co z tego, że tamten przywłaszczył sobie jego życie i przykroił je do własnych potrzeb? Gavin mógł spać ze świadomością, że równocześnie jest -- on sam czy coś do niego podobnego, to nie robiło mu różnicy -- gdzieś tam na ulicy i ktoś go adoruje.

Zaczynał widzieć w tamtym nie terroryzujące go monstrum, ale swoje narzędzie, nieledwie swoje publiczne alter ego. Tamten był ciałem, on -- cieniem.

Obudził się śniąc.

Była czternasta piętnaście i z ulicy dobiegał warkot samochodów. Powietrze w pokoju było stęchłe. Od dnia, w którym zostawił Reynoldsa na pobojuwisku, minął już tydzień, a on tylko trzy razy opuścił swoją nową metę -malutka sypialnia, kuchnia i łazienka. Spanie było teraz ważniejsze niż jedzenie czy gimnastyka. Posiadał dość trawki, żeby podtrzymać stan szczęścia w chwilach, kiedy sen nie przychodził, co zdarzało się rzadko, a do tego z czasem polubił to stęchłe powietrze, strugi światła, wpadające przez pozbawione zasłon okno i tę świadomość, że gdzieś obok jest świat, w którym nie ma dla niego miejsca.

Obiecał sobie, że dziś wyjdzie zaczerpnąć świeżego powietrza, ale nie zdołał wykrzesać z siebie aż tyle zapалу. Może później, kiedy bary zaczną pustoszeć i nikt go nie zauważy, wypełnie ze swojej nory. A na razie... sen.

Woda.

Śniła mu się woda. Siedział nad basenem w Fort Lauderdale, nad basenem pełnym ryb. I ten plusk, wywołany przez ich skoki i igraszki, trwał nadal, wylewał się ze snu. A może odwrotnie? Tak, słyszał przez sen szum wody i jego umysł dopasował do tego odgłosu odpowiednie obrazy. Obudził się i wciąż słyszał wodę.

Dochodził z łazienki, właściwie już nie szum, ale chlupot. Ktoś musiał włamać się, gdy on spał i teraz urządzał sobie kąpiel. Przeleciał w myśli krótką listę potencjalnych intruzów -- tych nielicznych, którzy wiedzieli, że tu mieszka. To mógł być Paul, początkujący kurwiszonek, który dwie noce wcześniej koczował u niego na podłodze; mógł to też być Chink, handlarz trawką, a może nawet dziewczyna z dołu, Michelle czy jak jej tam. Kogo chciał oszukać? Żadna z tych osób nie wyłamałaby zamka, żeby się dostać do środka. Wiedział doskonale, kto go odwiedził.

Pragnąc tego spotkania, wysunął się z pościeli, okrywającej go jak druga skóra. Ledwie owionęło go chłodne powietrze, pokrył się gęsią skórką. Idąc przez pokój w kierunku drzwi, na których wisiał jego szlafrok, dostrzegł w lustrze swoje odbicie: fotos z jakiegoś szokującego filmu, pozór człowieka, kulący się z zimna, skąpany w prze-filtrowanym przez deszcz świetle. Odbicie niemal migotało, taki był bezcielesny.

Owijając się szlafrokiem, jedynym świeżo nabytym ciuchem, podszedł pod drzwi łazienki. Nie było już słyhać plusku. Otworzył drzwi.

Wypaczone linoleum, po którym stapał, było lodowate. Pragnął tylko zobaczyć swego sobowtóra i znów wpełznąć do łóżka. A jednak swojej ciekawości był winien więcej, musiał zadać kilka pytań.

W ciągu trzech minut, które dzieliły go od przebudzenia, światło przenikające przez matową szybę, przygasło. Nadchodzący wieczór i szalejąca ulewa utrwaliły mrok. Wanna była pełna po same brzegi, woda ciemna i prawie oleista. Powierzchnia była nie naruszona, tak jak tamtej nocy.

Ile już czasu minęło od chwili, gdy stał w cytrynowo-zielonej łazience nad cytrynowo-zieloną wanną i próbował przeniknąć wzrokiem wodę? Równie dobrze mogłoby to być wczoraj, jego życie od tamtego czasu przypominało jedną długą noc. Spojrzał w dół. Tamten leżał na dnie, skulony we śnie, wciąż jeszcze w ubraniu, jakby nie zdążył się nawet rozebrać. Łysinę zakrywała teraz wspaniała czupryna, a jego rysom nic nie brakowało. Po drewnianej twarzy nie pozostał nawet ślad. Był nieskazitelnie piękny -- urodą wiernie skopioną, aż po najmniejszy pieprzyk. Idealnie dopracowane ręce skrzyżował na piersi.

Zapadał coraz głębszy mrok. Chłopak mógł się jedynie przyglądać, jak tamten śpi, a to robiło się nudne. Skoro przybysz znalazł go nawet tutaj, nie zamierzał się chyba ulotnić, a zatem można było wracać do łóżka. Ulewa nasilała się. Wsłuchiwał się w szum deszczu, a sen przychodził i odchodził. Kiedy zbudziło go pragnienie, był już późny wieczór. Znow śnił o wodzie i znow ją słyszał. Posąg wychodził z wanny, kładł rękę na drzwiach, otwierał je.

Stał w drzwiach. Sypialnię rozjaśniały jedynie światła dochodzące z ulicy. Ledwie muskały gościa.

--Gavin. Nie śpisz?

--Nie -- odpowiedział.

--Pomożesz mi? -- zapytał tamten. Nie było w tym nic z groźby. Pytał tak, jak się pyta brata, odwoływał się do pokrewieństwa.

--Czego chcesz?

--Czasu, bym doszedł do siebie.

--Byś doszedł do siebie?

--Zapal światło.

Gavin zapalił lampę obok łóżka i przyjrzał się stojącej w drzwiach sylwetce. Nie krzyżowała już rąk na piersi i chłopak zobaczył teraz, że ów gest miał zakryć paskudną ranę postrzałową. Rozdarłe ciało nie zasłaniało już bezbarwnych wnętrzności. Krwi, rzecz jasna, nie było widać; nigdy nie płynęła w jego żyłach. Co więcej, z tej odległości Gavin nie mógł dostrzec tam nic, co by choć z grubsza przypominało organy człowieka.

--Boże wszechmogący -- powiedział.

--Pretorius miał przyjaciół -- wyjaśnił tamten, dotykając palcami skraju rany. Ten gest przypomniał Gavinowi obraz, który wisiał w domu jego matki.

--Czemu to cię nie zabiło?

--Bo jeszcze nie ożyłem.

"Jeszcze nie, to trzeba zapamiętać -- pomyślał Gavin. Sygnalizuje, że stanie się śmiertelny".

--Boli cię?

--Nie -- odpowiedział ze smutkiem, jakby tęsknił za tym doznaniem. -- Nic nie czuję. Wszystkie oznaki życia są czystą kosmetyką. Ale się uczę. -- Uśmiechnął się. -- Coraz lepiej wychodzi mi ziewanie i pierdzenie.

To było coś absurdalnego i zarazem niesamowitego; ów posąg dążył do tego, by pierdzieć. Ten komiczny objaw zaburzeń układu pokarmowego był dla niego cenną oznaką człowieczeństwa.

--A rana?

--...Goi się. Wkrótce nie będzie po niej śladu. Gavin nie zareagował.

--Budzę w tobie niesmak? -- zapytał obojętnie tamten:

--Nie.

Doskonale oczy przyjrzały się Gavinowi. Jego doskonale oczy.

--Co ci powiedział Reynolds? Gavin wzruszył ramionami.

--Niewiele.

--Że jestem potworem? Że karmię się ludzką energią?

--Nie całkiem tak.

--Mniej więcej?

--Mniej więcej -- zgodził się Gavin. Posąg pokiwał głową.

--Miał rację -- powiedział. -- Na swój sposób miał rację. Potrzebuję krwi i to czyni mnie potworem. Miesiąc temu plawilem się w niej. Zetknięcie z nią nadało drewnu pozór cielesności. Ale teraz już jej nie potrzebuję. Proces dobiega końca. Potrzebuję jedynie...

Zawahał się. "Chyba nie dlatego, że chciał skłamać" -pomyślał Gavin. Może nie mógł znaleźć słów, zdolnych oddać owe uwarunkowania?

--Czego ci trzeba? -- zapytał.

Posąg potrząsnął głową, wpatrując się w dywan.

--Wiesz, już kilkakrotnie żyłem. Czasem kradłem czyjeś życie i uchodziło mi to na sucho. Żyłem zgodnie z naturalnym cyklem, a potem zrzuciałem z siebie twarz i szukałem innej. Czasem zaś, tak jak ostatnim razem, musiałem walczyć i przegrywałem...

--Czy jesteś jakąś maszyną?

--Nie.

--A zatem czym?

--Jestem, czym jestem. Nie znam nikogo podobnego do mnie, ale właściwie dlaczego miałbym być wyjątkiem? Może są i inni, mnóstwo innych, a ja po prostu na nich nie trafilem. A więc żyję, umieram i znów żyję, niczego -- to słowo wymówił z goryczą -- nie dowiadując się o sobie. Rozumiesz? Ty wiesz, kim jesteś, gdyż widzisz innych ludzi, którzy są podobni do ciebie. Ale co byś wiedział, gdybyś sam jeden stąpał po tej ziemi? Tylko to, co podpowiedziałyby ci lustro. Reszta byłaby tylko mitem i domniemaniem -- podsumował, nie rozczulając się nad swym losem. -- Mogę się położyć? -- zapytał.

Ruszył w kierunku chłopaka i Gavin wyraźniej zobaczył to, co trzepotało się w rozdartej piersi: niespokojne, nieokreślone kształty, stłoczone tam, gdzie powinno być serce. Posąg westchnął i opadł na łóżko, twarzą do pościeli, nie ściągając mokrego ubrania.

--Podleczymy się -- powiedział. -- Tylko daj nam czas.

Gavin podszedł do drzwi i zasunął rygiel. Potem przyciągnął stół i wepchnął go pod klamkę. Nikt już nie przeszkodzi we śnie; będą tu bezpieczni, on i tamten. Zatrzasnąwszy bramę twierdzy, zaparzył sobie kawy i usiadł na krześle po drugiej stronie pokoju, przyglądając się śpiącemu.

Przez pierwszą godzinę deszcz walił w okno, przez następną już tylko je muskał. Wiatr ciskał na szybę wilgotne liście. Przyklepiały się do szkła jak ciekawskie ćmy. Chwilami zerkał na nie, znudzony patrzeniem na siebie samego, ale zaraz wracał wzrokiem do naturalnego piękna wyciągniętej ręki, gry światła na nadgarstku, wspaniałych rzęs. Około północy zasnął na krześle, słysząc jeszcze, że na ulicy zawodzi karetko, a deszcz znów się nasila.

Krzesło nie było jednak zbyt wygodne i co kilka minut budził się, nieznacznie unosząc powieki. Posąg już wstał; to postać chwilę przy oknie, to pogapił się w lustro, to znów zawędrował do kuchni. Puścił wodę -- Gavin śnił o wodzie. Rozebrał się -- Gavin śnił o seksie. Stał nad nim, pierś już się zrosła. Jego obecność podniosła chłopaka na duchu; przez moment śniło mu się, że ktoś zabiera go z ulicy i wprowadza przez okno do Nieba. Sobowtór ubrał się w jego ciuchy. Gavin przez sen wyraził zgodę na tę kradzież. Posąg pogwizdywał; za oknem wstawał dzień, ale Gavinowi nie chciało się jeszcze wstawać. Cieszył się, że tamten

pogwizdujący chłopak w jego ciuchach żyje za niego.

I wreszcie tamten nachylił się nad krzesłem, składając na wargach Gavina braterski pocałunek, po czym wyszedł z mieszkania.

Gavin słyszał jeszcze, że zamknął za sobą drzwi.

Kolejne dni -- nie był pewien, jak długo to trwało -spędził w pokoju, od czasu do czasu pijąc wodę. Tego pragnienia nie potrafił inaczej zaspokoić. Picie i sen, picie i sen -- tylko tego pragnął.

Sobowtór zostawił po sobie wilgotne łóżko, ale Gavin nie miał ochoty zmieniać pościeli. Wprost przeciwnie, przyjemnie było spać na mokrym płótnie, niestety, w zetknięciu z jego ciałem zbyt szybko wyschło. Kiedy to stwierdził, wykąpał się w wodzie, w której uprzednio pławił się tamten, i, nie wycierając się, wrócił do łóżka, przemarznięty i przesiąknięty zapachem pleśni. Później nie chciało mu się już ruszać i opróżnił pęcherz, nie wstając z pościeli. Znow się oziębiła, ale starczyło mu jeszcze własnego ciepła, by ją ogrzać.

Coś jednak sprawiało, że pomimo chłodu panującego w pokoju i pomimo tego, iż był nagi i głodny, nie mógł umrzeć.

Obudził się w środku szóstej czy siódmej nocy i usiadł na skraju łóżka, zastanawiając się, gdzie popełnił błąd. Nie znalazł odpowiedzi, a więc wstał i zaczął lazić po pokoju, podobnie jak tydzień wcześniej tamten. Stał przed lustrem, mierząc wzrokiem swe żałośnie zmienione ciało, popatrzył na śnieg topniejący na parapecie.

Wreszcie przypadkiem trafił na fotografię rodziców i przypomniał sobie, że sobowtór również się w nią wpatrywał. A może to tylko mu się śniło? Doszedł do wniosku, że nie; miał niejasne wrażenie, że tamten podniósł zdjęcie i długo mu się przyglądał.

Zdjęcie -- to właśnie była bariera, dzieląca go od samobójstwa. Należało uszanować zmarłych. Jak mógł liczyć na to, że umrze, nie dopełniwszy tego obowiązku?

Brnął przez mokry śnieg, mając na sobie tylko koszulkę i spodnie. Nie docierały do niego docinki dzieciaków i kobiet. Czyż to, że chodzenie boso mogło mu zaszkodzić, nie było wyłącznie jego sprawą? Trochę padało, niekiedy nawet deszcz gęstniał, zamieniając się w śnieg.

W kościele odprawiano nabożeństwo; przed wejściem czekał sznur burych samochodów. Gavin zsunął się po stoku na cmentarz. Rozciągał się stąd wspaniały widok, nawet przez ścianę deszczu mógł rozróżnić pociągi, wieżowce i nie kończące się rzędy dachów. Mijał nagrobki, nie mając pojęcia, gdzie szukać grobu ojca. Upłynęło już szesnaście lat, a tamten dzień nie zapisał się w jego pamięci niczym szczególnym. Nikt nie powiedział nic odkrywczego ani na temat śmierci w ogóle, ani na temat śmierci jego ojca; nie upamiętniła tego dnia żadna gafa, żadna ciotka nie puściła wiatrów przy stole, żaden kuzyn nie zabrał go na bok, by mu pokazać małego.

Ciekaw był, czy przychodziła tu reszta rodziny; czy byli jeszcze w kraju. Jego siostra wiecznie się odgrażała, że wyjedzie do Nowej Zelandii i zacznie wszystko od nowa. Matka pewnie borykała się z czwartym mężem, biednym frajerem, choć może to ona była pożałowania godna, nie kończącą się paplaniną tamowała swój paniczny lęk.

Oto i płyta. Tak, były świeże kwiaty w urnie, stojącej pośród okruchów zielonego marmuru. Stary nie wylegiwał się tutaj nie zauważony. Widocznie ktoś -- zapewne siostra Gavina -- potrzebowała od ojca odrobiny pociechy. Chłopak przejechał palcami po nazwisku, dacie i banalnej sentencji. Nic szczególnego -- i słusznie, gdyż i w spoczywającym tu człowieku

nie było nic szczególnego.

Kiedy tak przyglądał się płycie, z ust jego popłynęły słowa, jakby ojciec siedział na krawędzi grobu, maj tając nogami i przyczesując dłonią przerzedzone włosy -- jak zwykle, udając stroskanego.

--Co o tym wszystkim sądzisz? Ojciec nie przejął się tym zbyt.

--Niedaleko zaszedłem, prawda? -- wyrzucił z siebie Gavin.

--Ty to powiedziałaś, synu.

--Cóż, zawsze byłem ostrożny, tak jak mnie uczyłeś. Żadne dranie tu po mnie nie przyjdą.

Zadowolony, jak diabli.

--Zresztą niewiele by znaleźli, prawda?

Ojciec wydmuchał nos, wytarł go trzy razy. Dwa razy z lewa na prawo, na koniec odwrotnie. Nigdy się nie pomylił. A potem zniknął.

--Stary gnojek.

Pociąg-zabawka zagwizdał w oddali. Gavin podniósł wzrok. Był tutaj -- on sam -- stał o kilka jardów dalej, absolutnie nieruchomo. Miał na sobie to samo ubranie, w którym przed tygodniem opuścił mieszkanie. Wyglądało na zmięte i sfatygowane od ciągłego noszenia. Ale to ciało! Och, ciało było delikatniejsze niż za jego czasów. Prawie lśniło, a łzy na policzkach dodawały jeszcze rysom subtelności.

--Co się stało? -- spytał Gavin.

--Ilekoć tu przychodzę, zawsze zbiera mi się na płacz.

Posąg szedł ku niemu, mijał groby. Pod jego stopami chrząścił żwir, a trawa kładła się miękko. Taki był rzeczywisty.

--Byłeś tu już przedtem?

--O tak. Wiele razy, przez te wszystkie lata... Przez te wszystkie lata? Co to miało znaczyć? Przez te wszystkie lata? Czyżby grzebał tu tych, których zabił? I jakby w odpowiedzi:

--...Przychodziłem tu odwiedzić ojca. Dwa, trzy razy w roku.

--To nie twój ojciec -- sprostował Gavin, prawie rozbawiony tym urojeniem. -- Mój.

--Nie widzę łez na twojej twarzy -- stwierdził tamten.

--Czuję...

--Nic nie czujesz -- oznajmiła jego twarz. -- Powiedz szczerze, nic nie czujesz. To był fakt.

--A znów ja... -- Raz jeszcze popłynęły łzy. Pociągnął nosem. -- Aż do dnia swojej śmierci będę za nim tęsknił.

Rzecz jasna, grał, ale jeśli tak, to skąd wzięło się w jego oczach tyle smutku i dlaczego płakał, choć to go szpeciło? Gavin rzadko pozwalał sobie na łzy; z miejsca czuł się słaby i śmieszny. Ale tamten był dumny z łez, szczycił się nimi. Świadczyły o jego triumfie.

A Gavin nawet teraz, gdy tamten był górą, nie mógł odnaleźć w sobie ani krzty żalu.

--Weź je sobie -- powiedział. -- Weź sobie te łzy. Proszę bardzo.

Posąg nie zwracał na niego uwagi.

--Dlaczego to wszystko jest tak bolesne? -- zapytał po chwili. -- Dlaczego dopiero poczucie straty czyni mnie człowiekiem?

Gavin wzruszył ramionami. Cóż wiedział o pięknej sztuce bycia człowiekiem i co go to

obchodziło? Tamten wytarł rękawem nos, kichnął i spróbował się uśmiechnąć przez łzy.

--Przepraszam -- powiedział. -- Robię z siebie cholernego głupca. Proszę, wybacz mi.

Odetchnął głęboko, starając się wziąć w garść.

--W porządku -- rzekł Gavin. Był skrepowany tą sceną i cieszył się, że może odejść.

--Te kwiaty to od ciebie? -- zapytał, odwracając się od grobu.

Tamten skinął głową.

--Nie znosił kwiatów.

Sobowtór drgnął.

--Ach.

--Co on tam zresztą wie?

Nie spojrział już na swą podobiznę, po prostu odwrócił się i ruszył w górę alejki, biegnącej obok kościoła. Przeszedł już kilka jardów, kiedy posąg zawołał:

--Możesz mi polecić jakiegoś dentystę? Gavin uśmiechnął się i poszedł dalej.

Była już niemal pora powrotów z pracy. Ulicą, przy której stał kościół, sunęły sznurem samochody. Może to był piątek i ci, którzy urwali się wcześniej, spieszyli do domów?

Reflektory świeciły jaskrawo, trąbiły klaksony.

Gavin wszedł na jezdnię, nie patrząc ani na prawo, ani na lewo, ignorując pisk hamulców i przekleństwa. Szedł pośród pędzących aut, jakby włóczył się po pustym polu.

Zderzak jakiegoś wozu otarł się o jego nogę, kolejne auto omal na niego nie wpadło. Ich chęć, by gdzieś dotrzeć, by dojechać do miejsca, z którego zaraz znów będą chcieli się ulotnić, była naprawdę komiczna. Niech się na niego wściekają, niech klną, niech popatrzą na jego pozbawioną rysów twarz i wrócą do domów poruszeni. A jeśli okoliczności ułożą się właściwie, któryś z nich spanikuje, skreśli i rozjedzie go. Może być. Od tego momentu rządził nim przypadek. W tej drużynie z całą pewnością mógł zostać chorążym.

* * *

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-04-28

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

Table of Contents

KSIĘGA KRWI

II. GŁÓWNY WĄTEK

III. SCENY USUNIĘTE PRZEZ CENZURĘ

KRÓL TRUPIOGŁOWY

PORNOGRAFIA I CAŁUN

KOZŁY OFIARNE

CIEŃ CZŁOWIEKA